

HEATHER
LEWIS



DRUGI
PODEJRZANY

Lewis Heather

Drugi podejrzany

Perwersja zniewala dusze, zbrodnia zatruwa umysł, pieniądze
wyzwalają poczucie bezkarności.

Gabriel i Ingrid Santerre - niemłode, zamożne i bardzo wysoko
ustosunkowane małżeństwo - osiągają szczyt zdeprawowania.

Seksualne ekscesy to chyba jedyny znany im sposób na przyjemne
spędzanie czasu. Pewnego razu doprowadzają do śmierci prostytutki,
którą wynajęli do wspólnej "zabawy" w wytwornym apartamencie
hotelu Waldorf Astoria. Działali razem, ale czy rzeczywiście oboje są
winni tej straszliwej i wyuzdanej zbrodni? Kto tu jest potworem, a kto
prawdziwą ofiarą?

Od samego początku dla prowadzącej sprawę policjantki Caroline
Reese jest jasne, że Gabriel Santerre cynicznie i z wyrachowaniem
chce zrzucić winę na żonę. Zaczyna się walka o sprawiedliwość i rząd
dusz w tym zdeprawowanym związku.



PONIEDZIAŁEK

Rozdział pierwszy

Gdy już było po wszystkim, Ingrid przygotowała dziewczynie kąpiel. Wlała do niej wonnego olejku, który przywiozła z domu, gdyż po tylu latach ciągle jeszcze potrafiła sonie wmówić, że mąż zabierał ją do pięknych hoteli, takich samych powodów jak inni mężowie.

Długo sprawdzała, czy woda była ilość ciepła, lecz nie gorąca, czy wanna została dostatecznie napełniona, by z przyjemnością się w niej zanurzyć. Potem na małej, pokrytej aksamitem ławeczce naprzeciw umywalki starannie rozłożyła duże, białe, miękkie hotelowe ręczniki.

Trzeba było jeszcze przydzwigać dziewczynę do wanny. Nie poprosiła męża o pomoc. Nie zrozumiałby tego. Poza tym, oczywiście, miał własne sprawy na głowie. Chciała skończyć przed jego powrotem. Żeby tego też nic zepsuł.

Przeniesienie dziewczyny kosztowało ją mniej wysiłku, niż się spodziewała. Nie była ani młoda, ani silna, toteż ta łatwość jeszcze bardziej umocniła ją w przekonaniu, że posługuje właściwie. Dopiero gdy wsadziła dziewczynę do wanny, znowu wszystko szło jak po grudzie.

Zaczęła rozplątywać węzły. Myślała, że w wodzie pójdzie jej łatwiej, ale niepotrzebnie dołała olejku. Palce ślizgały się jej na skórzanym męzkowskim pasku. Zapięty na sprzączkę, zaciskał

dziewczynie szyję. Ten cienki pas skóry zadzierzgiwał się coraz mocniej, w miarę jak Ingrid usiłowała go rozluźnić, uwolnić ręce dziewczyny związane na plecach.

Ingrid musiała ją obrócić, lecz jednocześnie zanurzyła jej twarz w wodzie. A do tego rozplątywała skórzany węzeł po omacku, bo nie mogła uporać się z nim z otwartymi oczyma.

Gabriel Santerre najspokojniej w świecie szedł do najbliższego sklepu ze sprzętem sportowym. Przystanął przed stojakami z kijami do golfa, sprawdzając uchwyt, udając, że się zamierza. Czekał, aż podejdzie do niego ktoś z personelu.

Gdy pojawił się sprzedawca, Santerre uśmiechnął się. Ciągle trzymał w ręce kij golfowy.

- Chciałbym obejrzeć futerały - powiedział. - Któreś z tych większych.

Sprzedawca, nie żaden młodzieniaszek, lecz mężczyzna pod sześćdziesiątkę, miał na sobie garnitur. To był elegancki sklep.

- Mamy kilka usztywnionych futerałów - odparł. - Bardzo solidnych. I łatwych do przenoszenia.

Santerre udawał przez chwilę, że się zastanawia. Wstawił kij z powrotem na stojak, po czym skinął głową. - Proszę mi je pokazać - zdecydował.

Obaj udali się na zaplecze. Tu sprzedawca zaczął ściągać z półek futerały, jeden po drugim. Santerre, z lekkim uśmiechem, każdy uważnie oglądał. Przesuwał palcem po wypukłym plastiku, gładkich wnętrzach, wyściełanych aksamitem, po zatrzaskach. Zważył w dłoni ostatni, po czym zwrócił go ze słowami:

- Pewnie jestem staroświecki, ale wolałbym coś ze skóry. A może winylowe są lepsze?

- Proszę bardzo - rzekł sprzedawca, pochylając się, by otworzyć drewniane drzwi za półkami. Ze stosu futerałów wyciągnął jeden, owinięty w plastik.

Santerre wziął futerał i potrząsał nim z lekka, żeby go rozłożyć. Chciał rozprostować zagniecenia po zwinięciu. Teraz, rozciągnięty w pełni, od podłogi sięgał mężczyźnie do piersi. O to mu właśnie chodziło. Sprawdzał jeszcze tylko zamek

szeroki, z mocnego metalu - rozpinając go od dna i przesuwając aż do samej góry.

Drobiazgowo zbadał zamknięcie. Szew wzmocniały nity, zabezpieczające metalową płytkę pod materiałem. Do zamka dodano jeszcze małą klódeczkę - zbyt słabą, by powstrzymać złodzieja, ale przynajmniej zniechęcającą wścibskich, którzy chcieliby zerknąć do środka. Dawała też pewność, że zamek sam nie zacznie się rozsuwać.

Postawiwszy futerał na sztorc, znalazł taką samą metalową płytkę na początku zamka. Przekonało go to, że właśnie takiego futerału szukał.

- Może być - rzekł, wręczając go sprzedawcy.

- Czy kolor panu odpowiada?

- Co? zapytał Santerre.

- Kolor. Chodzi panu o jakiś określony?

- A co mam do wyboru?

- Czarny, naturalnie. Mamy też bardzo szykowny ciemnozielony, granatowy, czerwień w odcieniu burgunda. Aha, i jeszcze turkusowy. Bardziej nadaje się dla pań, ale też łatwiej go wypatrzeć przy odbiorze bagażu. - Chyba jednak burgund.

Sprzedawca przyklęknął przy przesuwanych drzwiach, by wyszukać futerał pożądanego koloru. Potem delikatnie go zwinął, odłożył i zamknął szafę z towarem.

Razem wrócili do sklepu. Santerre naturalnie zapłacił gotówką. Ekspedient włożył futerał do torby. Podziękowali sobie, po czym Gabriel Santerre wyszedł na ulicę i skierował się do hotelu.

Wrócił do małżeńskiego apartamentu zadowolony ze spaceru, lecz to, co ujrzał, gdy otworzył drzwi, wcale mu się nie spodobało. Wszędzie panował potworny bałagan. Rzeczy nie były spakowane. Ale prawdziwy rozgardiasz zobaczył w łazience.

Ingrid siedziała wciśnięta między wanną i ścianą. Ubrana byle jak, włosy miała splątane, rozmazaną szminkę i makijaż, wyglądała, jakby płakała aż do zupełnego wyczerpania. Teraz już chyba zubożniała na wszystko.

Dziewczyna w wannie, namokła, przedstawiała sobą żaloszny widok. Prawie naga, zwisała z rogu. Szyję i głowę miała nad wodą, przez co skórzany pasek wysechł i skurczył się. Jej ciało

nabrzmiało. A w pomieszczeniu unosił się odrażający fetor. Wszystko to pogarszało sytuację.

Santerre wyciągnął korek, staroświecki, umocowany na łańcuszku. Czekając, aż wanna się opróżni, napuścił gorącej wody do umywalki. Potem zdjął z wieszaka ręcznik i zmoczył go.

- Umyj się - rzeki, rzucając ręcznik żonie.

Wylądował na jej policzku, przywarł doń na chwilę, po czym opadł na jej kolana. Nadal się nic poruszyła. Gdyby Santerre choć przez moment na nią spojrział, zauważyłby szkliste oczy — otwarte, lecz nie dostrzegające niczego w tym pomieszczeniu.

Widzę, że nie będę miał z ciebie żadnego pożytku - powiedział. Absolutnie żadnego. - Po czym wyszedł.

W przyległym pokoju zdjął marynarkę i powiesił ją na oparciu krzesła. Ściągnął krawat, odpiął spinki, zrzucił koszulę. Na koniec włożył zegarek do popielniczki, w której umieścił spinki. Przesunął palcami po łańcuszku wokół szyi, potem po przyczepionej do niego szklanej błyskotce, lecz, jak zawsze, nie chciał się rozstawać z naszyjnikiem.

Wrócił do łazienki w samym podkoszulku, spodniach, skarpetkach i butach. Gdyby Ingrid w ogóle cokolwiek dostrzegła, zobaczyłaby, z jakim obrzydzeniem przychylił się, by wyciągnąć dziewczynę, oślizgłą od olejku i wody. Zaniósł ją na łóżko i położył obok futerału na kije golfowe, ciągle jeszcze owiniętego w plastik.

Może nieobecność dziewczyny dotarła do świadomości Ingrid, gdyż stała teraz w drzwiach, patrząc na męża. Zadzwoiłam na policję - odezwała się.

- Akurat.

I miał rację. Myślała o tym, lecz nie mogła się zdecydować. Może by i zadzwoniła, gdyby wpadła na to, zanim włożyła dziewczynę do wanny. Wówczas miała jeszcze dość siły. Ale wtedy wydawało się jej, że wszystko jest w porządku, że sama sobie poradzi i nic musi wzywać pomocy.

Ale kiedy dziewczyna tkwiła już w wannie, a Ingrid zamknęła oczy, by jej nie widzieć, gdy rozplątywała węzły w oleistej wodzie, tak straszliwie potrzebowała pomocy, że popadła w odrętwienie. I jak zawsze, gdy była wyczerpana nerwowo,

uciekła w marzenia. Marzyła, że gdy znów otworzy oczy, nie ujrzy żadnych okropności.

Gabriel Santerre zabrał się do dzieła. Przeszedłszy obok Ingrid, wziął z łazienki ręcznik. Wytarł nim ręce i znowu stanął przy łóżku. Czystymi już rękoma sięgnął do kieszeni spodni i wyjął z niej mały scyzoryk. Otworzył go i zaczął przecinać skórzany pasek.

- Zupełna tragedia - rzekł, mając na myśli wyłącznie pasek. — Popatrz tylko.

Te ostatnie słowa powiedział bardziej do siebie. Przeciął pasek na pół, dzięki czemu oddzielił go od szyi dziewczyny. Ręce nadal miała skrepowane węzłem, którego Ingrid nie udało się rozplątać. Zręcznymi ruchami wsunął ostrze pod węzeł i zaczął go przecinać. Nie chciał przypadkowo skaleczyć dziewczyny. Nie miałby już siły pozbywać się krwawych śladów.

Ingrid doszła do telefonu. Oczy miała utkwione w mężu, toteż po omacku naciskała na klawisze, nie wiedząc nawet, jak dodzwonić się do miasta. I choć ani na moment nie spuściła wzroku z Santerre'a, zdołał ją zaskoczyć, przechodząc przez pokój bardzo szybko, choć nie widać było po nim pośpiechu.

I ciągle nie uświadamiała sobie, co się dzieje, nawet gdy telefon nie znajdował się już w jej ręku, lecz w jego. Słyszała, jak słuchawka trzaska na jej szczęce. Cios powalił Ingrid na podłogę, lecz go nie poczuła. Nawet gdy mechanicznie podniosła rękę do twarzy, by pomasować uderzone miejsce, ból nie dał jeszcze o sobie znać. Nawet nie próbuj ostrzegł ją Santerre. Powrócił do łóżka. Znowu wziął nóż. Spokojnymi ruchami przeciął pas krepujący ręce dziewczyny. Teraz zebrał wszystkie jego kawałki. Położył je na łóżku obok ciała. Wytarł ostrze ręcznikiem, nim użył go ponownie, by rozciąć torbę, w którą zapakowany był futerał na kije golfowe. Następnie zamknął scyzoryk i włożył go z powrotem do kieszeni. Ingrid przez cały czas kulila się na podłodze. Siedziała teraz z rękoma splecionymi wokół kolan. Nie miała o co się oprzeć. Wpadła głową pod stolik, na którym stał telefon. Kiwała się z lekka, jak zawsze, co przynosiło jej ulgę. Znowu pograżyła się w marzeniach, nie widząc tego, co się wokół niej dzieje.

Santerre wytrząsnął futerał z opakowania. Włożył kawałki

paska do pustej teraz plastikowej torby. Następnie kilkakrotnie ją złożył, a potem zwinął.

Zdenerwował się z powodu paska nie tylko dlatego, że był już do niczego, choć to, oczywiście, też wchodziło w grę. Noszenie pasków, którymi do takich celów się posługiwał, było dlań źródłem rozkoszy. Tego używał od kilku lat, dokładnie od siedmiu. Ale pasek nie wyglądał na zniszczony, ponieważ właściciel bardzo o niego dbał, smarował olejkiem i czyścił.

Przeszedł z nim przez pokój. Położył go na stole, pod którym siedziała jego żona. Potem powrócił do łóżka. Teraz zajął się pokrowcem, rozprostował go, otworzył zamek.

Ten dźwięk zgrzytliwy, ostry - wstrząsnął Ingrid. Był tak głośny, że nie zdołała się przed nim obronić. Rozszerzonymi oczyma patrzyła na poruszającego się męża. Widziała go jak za mgłą, ale nie mogła odgrodzić się od tego widoku.

Miała przed sobą dziewczynę. Męża. Futerał. Wtaczał ją do futerału. Zakreśliło się jej od tego w głowie, a potem ścisnęło w żołądku. Chciała się podnieść, ale tylko się zatoczyła. Już nie siedziała, lecz leżała na podłodze, skurczona jak przedtem.

Gdy tylko zatopiła się w marzeniach, ten dźwięk rozległ się znowu. Tym razem był dłuższy, urywany, ostrzejszy po każdej przerwie. Zaczęła zgrzytać zębami, czyniąc kolejny, denerwujący hałas, do którego dołączył jeszcze oddech męża. Chciała zakryć uszy, ale nie mogła oderwać rąk od kolan. Potem dźwięk ustał. Teraz był tylko jej mąż i futerał. Widziała, jak podnosi go z łóżka i kładzie na podłodze kolo drzwi.

- Ubierz się - polecił. I doprowadź się do porządku, żebyś się mogła pokazać ludziom na oczy.

Najpierw musiałaby się umyć, ale on zabrał czysty podkoszulek do łazienki i odkręcił kran. Podniosła się i wtedy poczuła, że boli ją szczęka. To przypomniało jej o telefonie. Woda nadal leciała. Podniosła słuchawkę. Gdyby mogła zachowywać się tak jak on, wykonywać wszystko dokładnie, choćby tylko przez krótki czas! Zrób tę jedną rzecz jak należy, a wszystko się zmieni.

Tym razem uważnie naciskała klawisze, trzymając się instrukcji na aparacie. Usłyszała głos w słuchawce, potem swój

własny, który powiedział po prostu: „Popelniono morderstwo”.

Podala nazwę hotelu, ich nazwisko, odpowiedziała na wszystkie pytania, odłożyła słuchawkę, po czym znowu się schowała. Pod stół, a woda ciągle leciała. Skuliła się jak przedtem, na podłodze, zastanawiając się, czy naprawdę to zrobiła, czy kolejny raz tylko tak sobie wyobraża.

Rozdział drugi

Detektyw Caroline Reese ten poniedziałek spędziła przy telefonie, usiłując wytropić świadków przypadkowej strzelaniny w Central Park South. Niczego nie osiągnąwszy, chętnie poszła na wezwanie porucznika do jego biura.

Gdy zamykał za nią drzwi, czuła, że zaraz zleci jej jakąś grubszą sprawę. Porucznik Harris mówił pospiesznie, niemal konspiracyjnie ściszym głosem.

- Mam coś dla pani - zaczął.

Reese skinęła głową, czekając na dalszy ciąg.

Przed chwilą dostaliśmy telefon z Ascot Towers. Słyszała pani o Santerre'ach?

- Mało co. Nie studiuje kronik towarzyskich. Zadzwoniła do nas kobieta. Powiedziała, że popelniono

tam morderstwo. Przedstawiła się jako Santerre. Od razu zrobiło się wielkie halo - rozdzwoniły się telefony w całym mieście. Rozumie pani sytuację?

- O rany...

- Chcę, żebyście tam pojechali razem z Millerem, i to zaraz. Niech pani sprowadzi tu żonę. Inni przyskrzynią męża, ale niech pani nie odstepuje żony ani na moment.

- Jasne.

- Reese...

- Tak?

- Wie pani, czego macie szukać?

- Mam niejasne pojęcie.

- Dorwijcie ją jak najprędzej. Oddzielcie od męża.

- Jasne.

- I żeby nie było żadnych przekrętów. Wszystko zgodnie z przepisami. Rozumiemy się?

- Absolutnie.

- No dobra, robimy kocioł.

Gdy Reese wychodziła za Harrisem z jego gabinetu, czuła, jak podekscytowanie przenosi się wraz z nimi do pokoju operacyjnego. Detektywi wyglądali niczym nabuzowani uczniacy, z utęsknieniem wyczekujący na przerwę. Spojrzała na Gusa Millera, swego partnera, odkąd ją tu przeniesiono przed siedmioma miesiącami. Jak zwykle sprawiał wrażenie spokojniejszego; siedział rozparty na krześle, nie zaś pochylony ku przodowi – zawsze pod prąd.

- Słuchajcie - powiedział Harris, choć w zasadzie nie musiał prosić ich o uwagę. Rankiem nic szczególnego się nie działo, toteż wszystkie oczy zwróciły się na niego. - Dostaliśmy telefon z Ascot Towers. Kobieta zawiadomiła o zamordowaniu dziewczyny. Nie wiemy nic ponadto, więc załatwiajcie wszystko w białych rękawiczkach. Nie ma mowy o najmniejszej wpadce. Potrzebuję trzech zespołów.

Gdy Harris przydzielał zadania swoim ludziom, Reese przeszła przez pokój, do Millera. Jej partner stał teraz, podobnie jak czterech innych detektywów, których wybrał Harris.

Reese i Miller zajmą się żoną - mówił teraz Harris. - Wyjmijcie ich po cichu koło recepcji. Nie wciągajcie w to obsługi hotelowej. Szukacie mężczyzny z futerałem na kije golfowe.

- W Ascot? - zapytał Miller. - Ilu ich tam zatrzymamy? Reese przygryzła wargi, by powściągnąć uśmiech.

Lecz Harris, który zazwyczaj lubił żarty Millera, zrobił niespokojną minę.

- Słyszałeś, że mówiłem o Towers, Miller?

- Tak jest.

- Więc chyba sam się zorientujesz. A teraz zabierajcie się stąd. Wszyscy. Nie mamy chwili do stracenia.

Detektywi skierowali się do podziemnego garażu.

- Tak naprawdę co jest grane? - zapytał Miller, gdy tylko wsiedli do samochodu.

- Chodzi o grubą rybę. Właściwie znam tylko nazwisko: Santerre. Słyszałeś o nim?

Tak, to jeden z tych bogaczy, którzy trzymają się w cieniu.

- Jak to?

- No wiesz, urodził się, ożenił, potem zostanie czcigodnym nieboszczykiem.

Reese włączyła silnik i zaczęła wyjeżdżać z ulicy Czterdziestej Drugiej.

- Nie, nie wiem - odparła. Choć służyła w policji znacznie dłużej, Miller spędził o wiele więcej czasu w tamtym rejonie - w śródmieściu. To dzielnica, gdzie czynsze są wysokie, a raczej gdzie wysokie ocierają się o niskie. Reese przebywała głównie w Dzielnicy Dziewiątej, w której, jak sądziła, ludzie mają większy kontakt z rzeczywistością. Lecz z tego wynika, że i mieszkańcy tamtego rejonu niebezpiecznie zbliżyli się do realnego świata.

- Wiesz - odezwał się ponownie Miller tylko przy takich okazjach piszą o facecie w gazetach. To taki gość.

- Naprawdę?

- Skąd mogę wiedzieć? Na tym polega cały problem. Z nimi nigdy nic nie wiadomo. Reese czuła się nieswojo, że nadal musi polegać na Millerze. Ale jeszcze bardziej zaniepokoiło ją to, co robił - w sprawach zawodowych opierał się na kronikach towarzyskich. Więc co jeszcze wiesz? dociekała. - To jakaś grubsza ryba. Trzyma się na uboczu. A w każdym razie z daleka steruje swoimi sprawami. To tyle.

- A co to za wielkie halo z tym Towers?

- To hotel tylko dla wybranych. Mały, dyskretny. Tu przychodzą ludzie, gdy chcą, by nikt im nie zawracał głowy, nikt ich nie zobaczył. A co jeszcze wiesz? Co napadło Harrisa?

- Zdaje się, że ktoś za tym stoi, i to wysoko, tylko jeszcze nie wiem, jak wysoko. Dlatego powiedział, żeby działać ostrożnie. Zgodnie z przepisami. - Fantastycznie.

- Co?

- Że rzucili taką wielką rybę do naszego małego stawku. To nigdy dobrze nie rokuje. Wiesz, o co mi chodzi?

- No, o co?

- Że chcą, by ją albo złapać w jakiś szczególny sposób, albo odrzucić z powrotem.

Hotel znajdował się niedaleko, zaledwie o parę bloków na północny wschód. Rcese zaparkowała od frontu. Dwa inne samochody zatrzymały się za nią. Zgodnie z regulaminem okazała legitymację w recepcji, po czym sześciu detektywów zajęło stanowiska.

Ciasny hol bardzo odpowiadał ich celom. Pulpit recepcji, w kształcie litery L, sięgał do wind - dwu po każdej stronie stosunkowo wąskiego pomieszczenia, jeden zespół udał się na drugi koniec holu, by zastawić tam drzwi obrotowe.

Druga grupa czekała tuż przy recepcji. Rcese i Miller ustawili się nieco dalej, gdzie schody prowadziły do niewielkiej poczekalni. Wyczekiwali, starając się nie zwracać na siebie uwagi, choć w tak małym holu ich szóstka stanowiła tłum.

Na górze Santerre wyłonił się z łazienki swego apartamentu. Zobaczył, że żona stoi, lecz na razie nie zwracał na nią uwagi. Przeszedł przez pokój z przyborami do golenia, które położył na łóżku. Wygładził zagniczenia na kapie. Została na niej plama po dziewczynie. Olejek utrwalił ją dlatego nie zdążyła wyschnąć.

Ze swej małej podróźnej walizeczki wyjął następną czystą koszulę. Nic sądził, że będzie potrzebował ich tak wiele, lecz teraz był zadowolony, że zapakował aż cztery. Włożył ją, po czym poszedł po spinki i zegarek. Ingrid przez cały czas stała przy stole, nie wiedząc, co robić.

- Idź się ubrać przykazał.

Jego głos pobudził ją do działania. Poszła do łazienki, gdzie zaczęła wściekle szorować policzki. Po chwili zniknął rozmazany makijaż, spod którego wyjrzała pokryta plamami twarz. Kosmetyki miała pod ręką. Mechanicznie zaczęła je nakładać: podkład, róż, korektor.

Zatrzymała się przy oczach. Musiała się zmuszać do całego tego upiększania. Ledwo widziała, co robi. Ale jakoś jej poszło.

Gdy skończyła, miała poczucie, że wszystko zrobiła źle albo

w niewłaściwej kolejności, gdyż teraz nade wszystko pragnęła wziąć prysznic. Rozchyliła nawet zasłonę, którą jej mąż starannie zasunął. Lecz wtedy zatrzymała się - przecież to ta sama wanna, nie ma mowy, żeby do niej weszła.

Pospiesznie zasunęła zasłonę. Umyła się, jak się dało, w umywalce. Uwinęła się z tym błyskawicznie, bo chciała znaleźć się jak najdalej od wanny. Jak najszybciej opuścić łazienkę.

Zebrała swoje rzeczy i, ciągle w pośpiechu, wróciła do sypialni. Przedtem uważała, że powinna grać na zwłokę, by dać policji czas na przybycie. Ale teraz chciała tylko znaleźć się jak najdalej od tego wszystkiego - tego pokoju, apartamentu, hotelu. Była przekonana, że wezwanie policji to jeszcze jeden z jej snów na jawie.

Santerre przeszedł do saloniku. Jego walizka leżała na podłodze obok futerału na kije golfowe. Jej saszetka z przyborami do makijażu spoczywała na stoliku obok telefonu. Włożyła kosmetyki na górną półeczkę, po czym zamknęła saszetkę. Następnie położyła ją obok dwu innych bagaży, tuż przy drzwiach. Klódeczka na futerale w kolorze burgunda uśmierzyła jej pragnienie, by zajrzeć do środka. Sama nie wiedząc dlaczego, chciała spojrzeć po raz ostatni.

Zamiast tego zaczęła się ubierać. Nie miała nic na zmianę, nawet czystej bielizny. Jak zwykle mąż zaskoczył ją tym wypadem, twierdząc, że ją spakował, co ograniczyło się do zabrania jej przyborów do makijażu.

Zobaczyła, że jej rzeczy - ubrania - leżą starannie ułożone na krześle. Musiał to zrobić on, bo ona na pewno nie. Ostatnio, jak pamiętała, były porozrzucane po podłodze.

Podniosła pończochy i podwiązki. Od nich zaczęła, choć były frymuśne i ciągle wysuwały się jej z rąk. W końcu usiadła na krześle. Inaczej nie dałaby rady ich włożyć. Łatwiej jej poszło ze stanikiem, a w bluzkę i spódnicę ubrała się już bez najmniejszych kłopotów, choć musiała do tego wstać.

Wkładając żakiet, przez chwilę poczuła się już prawdę normalnie. Równie nagle musiała przysiąść, tak przytłoczył ją ciężar udawania. Wbiła wzrok w futerał na kije golfowe, po czym ujrzała mgłę przed oczami. Pomyślała, że się rozplacze, choć nic robiła tego od lat.

Niemile uczucie w żołądku, niepokój, który objawił się

pragnieniem szloch, szybko przeszły w zwykłe mdłości. Było to bardziej znajome doznanie, lecz i jego nigdy nie uzewnętrzniała, gdyż nieodmiennie nachodziło ją wtedy, gdy miała pusty żołądek. I zazwyczaj dopadało ją, gdy była w takim stanie odrętwienia.

Ciężka atmosfera w pokoju, świadomość, że jest sama z dziewczyną, przygniatała Ingrid. Z najwyższym trudem odsuwała od siebie tę myśl, wyobrażając sobie, że w tym ciężkim futerale, o nie całkiem prawidłowym kształcie, znajdują się kije golfowe, ręczniki i podstawki do ustawiania piłek.

W jej rozmyślania wdarł się głos męża. Przypominał Ingrid, jak bardzo go potrzebuje, jak mocno jest od niego uzależniona w takich sytuacjach. Odsuwał świadomość, że to on jest przyczyną tych tarapatów, wmawiając jej w zamian, że ratuje ją od siebie samej.

Tak się guzdrałaś, że musiałem opłacić kolejną dobę.....powiedział.

Uchwyciła się tych słów. To one podniosły ją na nogi. Teraz już wiedziała, że to kolejny raz jej wina.

Santerre skorzystał z możliwości ekspresowego wymeldowania się. Wydostali się z pokoju dzięki odbiornikowi telewizyjnemu i systemowi zdalnego sterowania. Podobał mu się sprawny przebieg tej operacji, ale żałował, że nie może iść do holu i oddać klucza recepcjoniście, zamiast zostawiać go w pokoju. Były to jego drobne przyjemności, tak jak noszenie paska. Człowiek mniej praktyczny, słabszy, pewnie by się ich nie wyrzekł.

Podniósł walizki, a Ingrid ruszyła jego śladem. Wzięła swą saszetkę z przyborami do makijażu, przytrzymała mu drzwi. Przeszli przez hol do windy, sami dojechali do recepcji.

Gdy tylko drzwi się otworzyły, podeszło do nich dwóch mężczyzn. A potem jeszcze dwóch. Ingrid całą siłą woli zmuszała się, by pozostać w miejscu. Zapomniała o tym

o istnieniu innych ludzi. I nie mogła zrozumieć, co oni mówią. Stała, niepomna swego związku z tym wydarzeniem. Ona i mąż na powrót stali się jednością, toteż gdy jeden z mężczyzn

powiedział, a potem nalegał, by odeszła na bok, stawiała mu opór.

- Proszę odejść na bok.

Słyszała te słowa raz za razem, nie zdołała jednak uchwycić ich znaczenia ani zmusić się do żadnego działania. Czowała na ramieniu silną dłoń, a potem delikatniejszą, gdy kobieta wzięła jej saszetkę z przyborami do makijażu i przeprowadziła Ingrid przez zatłoczony hol. Odwróciwszy się, Ingrid ujrzała męża, którego otaczało czterech mężczyzn, jeden miał w ręce walizkę, drugi futerał na kije golfowe, irzeci i czwarty przytrzymywali Santerre'a. Zobaczyła błysk metalu, pokazano jej odznakę policyjną. Czy tego chciała? Czy naprawdę właśnie tego chciała?

Rozdział trzeci

W hałaśliwym tłumie na chodniku na Manhattanie Ingrid poczuła się jeszcze bardziej dezorientowana. Nawet rześkie listopadowe powietrze nie przywróciło jasności jej myślom. Wsparta silną ręką policjantki, pozwalała się prowadzić przez tłum, który właśnie wylał się na poniedziałkowy lunch, aż doszły do czekającego na nie samochodu. Żaden z policjantów nie nosił munduru, wóz też był zwykły, nieoznakowany.

Policjantka usiadła z nią na tylnym siedzeniu. Tkwiła koło Ingrid w milczeniu, puściła też jej rękę, a wówczas, zupełnie nieświadomie, Ingrid obróciła głowę ku drzwiom hotelowym i ujrzała, jak jej mąż wychodzi bliższym wyjściem, tym z prawej strony drzwi obrotowych.

Założyli mu kajdanki. Skrywał je płaszcz, którego nigdy przedtem nie widziała, niemniej byto oczywiste, że ma skute ręce. Po bokach kroczyli policjanci, dwu innych szło z tyłu, niosąc bagaż - jeden trzymał zniekształcony futerał koloru burgunda, drugi podróżną walizkę Santerre'a.

Wyciągnąwszy szyję, ujrzała, że męża wsadzają do drugiego samochodu. Otwarta klapa bagażnika zasłoniła resztę. Policjanci tak się ustawili, że Ingrid nic dojrzała, jak podnoszą dziewczynę i wrzucają ją do środka. A choć nie oglądała tego widoku, wydał się jej przerażająco okrutny.

I rozdzielili ją z Gabrielem. To też było okrutne i wykańczające. Cała ta sprawa. Dlaczego jej posłuchali? Usiłowała przypomnieć sobie treść rozmowy telefonicznej. Jakich argumentów użyła, że potraktowali ją tak poważnie? Uwierzyli jej na słowo. Nie zdarzyło się to Ingrid od tak dawna, że aż zrobiło jej się niedobrze.

Znowu obróciła głowę i ujrzała metalową kratę, kark kierowcy. Bezwładnie osunęła się na siedzeniu. Broda opadła jej na pierś, oczy zamknęły się. Hałas włączającego się silnika ogłuszył ją. Ruch samochodu odjeżdżającego od krawężnika wydarł okrzyk z jej piersi.

Znowu poczuła na sobie dłoń policjantki. Potem jej ręka objęła ramiona Ingrid. Oparła się o nią i w tej chwili przypomniała sobie Ninę. Odpędzała od siebie myśl o niej, nie chciała jej w to wciągać, nawet w myślach. Ale nic mogła się powstrzymać.

Zajechali przed komisariat. Ingrid przemierzyła dziesiątki schodów z policjantką u boku. Kierowca wskazywał jej drogę. Zastanawiała się, czy w ogóle potrafiłaby się stąd wydostać. Od tych wszystkich zakrętów i nowych kondygnacji zakreśliło się jej w głowic, a do tego wpadała na przechodzących obok, którzy potracali ją i poszturchiwali.

Nareszcie znalazła się w ciszy pokoju, gdzie, siedząc przy stole, sączyła z tekturowego kubka kawę, nie mającą żadnego smaku. Również i kawa przypominała jej o Ninie. Poranki, które spędzały wspólnie. I jak im było dobrze razem.

Usiłowała się skupić, szeroko otworzyć oczy, usłyszeć, co ciągle powtarza tych dwoje ludzi. Ale dochodził do niej tylko własny, niespokojny głos, dopytujący się natarczywie: „Gdzie jest mój mąż? Coście z nim zrobili?”

- Spokojnie, szanowna pani.

Słowo, którego nie znosiła, wreszcie do niej dotarło. Niemiło jej było je usłyszeć, zwłaszcza z ust tego obcego, tłustego młodzieńca, którego miała przed sobą. Widok jego potężnych łap rozpostartych na stole, muskularnych ramion po prostu odebrał jej mowę. Potem oczom Ingrid objawiła się ręka kobiety, która dotknęła jego ramienia.

Mężczyzna odszedł od stołu. Ingrid ciągle wpatrywała się w ten sam punkt. Najpierw ujrzała talię kobiety, wąski pasek przytrzymujący jej spodnie. Ingrid zmierzyła go wzrokiem, rozszyfrowując, czego mógłby dokonać w rękach jej męża. Ale pasek skrył się zaraz pod krawędzią stołu, gdy kobieta usiadła.

Pani Santerre - zaczęła. - Niech pani mnie posłucha przez chwilę. To pani do nas dzwoniła.

Ingrid uniosła oczy, by napotkać spojrzenie tej kobiety. Przez chwilę zatoneła wzrokiem we włosach policjantki - długich, miękkich lokach, spływających nieco za ramiona. Przebiegła po nich spojrzeniem. Potem opuściła głowę i znowu ją uniosła, by zajrzeć kobiecie w oczy - głęboko osadzone, piwne, o łagodnym wejrzeniu. Tak bardzo przypominały jej oczy Niny, że ponownie opuściła głowę i skinęła potakująco, a policjantka powiedziała:

Zgadza się, prawda?

Nie, nieprawda - sprostowała szybko. - To nie pani dzwoniła? - spytała kobieta z niedowierzaniem, przymilnie.

Pani nic nie rozumie. Nie może pani tego zrozumieć.

Chyba dość dokładnie wiemy, co się tam stało. To znowu ten facet. Jego głos wtargnął w tę chwilę, prze-poławiając ją, przyciągając wzrok Ingrid ku mężczyźnie, co sprawiło jej ból, przeniosła więc z powrotem spojrzenie na kobietę, stwarzając mylne wrażenie, że potrząsa głową.

Gus, może zostawisz nas na moment? zapytała policjantka, nie patrząc nań. Utkwiła wzrok w oczach Ingrid, przykuła jej spojrzenie.

Gdy Ingrid usłyszała, jak drzwi się otwierają, a potem zamykają, zapytała:

Czy potrafi pani to zrozumieć?

Usiłuję, pani Santerre. Jestem detektyw Reese. Chcemy pani pomóc, lecz najpierw pani musi pomóc nam.

Gabriela Santerre'a zabrano do przyległego pokoju. Usiadł przy stole w otoczeniu czterech detektywów, tych samych, którzy go tu przyprowadzili. Tacy lepsi gońcy hotelowi -

pomyślał, gdy jeden z nich podniósł futerał w kolorze burgunda i cisnął go na stół przed nosem Santerre'a,

- Niech pan nam powie, co jest w środku - rzeki inny. Stał naprzeciw Santerre'a. Pochylony, trzymał ręce wyciągnięte w kierunku futerału, lecz nie dotykał go. Zawisł nad nim lekko przekrzywionym torsem, a twarz miał tak czerwoną i zaciętą, że Santerre aż się uśmiechnął.

- Czy jestem aresztowany? - zapytał wprost. Dojdziemy do tego. Teraz niech pan nam powie, co jest w środku.

- Chcę zadzwonić po mojego adwokata.

Oczywiście usiłowali go przekonać, że to nie jest konieczne ani nawet pożądane. Użyli wszystkich oklepanych sztuczek i argumentów ze swego arsenału. Robili, co mogli, jeden po drugim. Santerre nic odezwał się ani słowem.

Zastanawiał się, dlaczego po prostu nie otworzą futerału. Skoro go już tu przywieźli i sprawy zaszły tak daleko - nie wierzył, że nie mogą go otworzyć. W tych procedurach orientował się doskonale. Siedząc i obserwując policjantów, doszedł do przekonania, że to wcale nic jest z ich strony żadna taktyka, żadna kolejna żalonna zagrywka. Nie, uznał, że po prostu ich mdli.

Wyrobiwszy sobie takie zdanie na ich temat, patrzył już na nich innym okiem. Zauważył, że starali się nie dotykać futerału, że wzdrygali się z obrzydzenia, gdy przypadkiem im się to zdarzyło. Dziwiło go coś takiego. Stwierdził, że odczuwana do nich pogarda dodaje mu energii. Z tego zrodziło się pragnienie, by utrzyć im nosa.

Początkowo tłumił je w sobie. Nie poddawał mu się. Kalkulował wszystkie za i przeciw. Upewnił się, jak daleko może się posunąć, by nie stracić przewagi. Zanim pofolguje swej chęćce, podsunie im coś, czego mogą chcieć, co da się wykorzystać - dogodzi im.

Postanowił pogłaskać futerał, a właściwie czule go popieścić. Robił to leniwie, jedną ręką. Opuszkami palców łechtął winyl. Łagodnie, raz po raz, jakby myślał, a właściwie żałował, że nie kupi! skózanego futerału zamiast tej tandety. Ale przebaczył sobie. Skąd miał wiedzieć, że będzie dotykał czegoś więcej niż rączki.

To przywiodło mu na myśl żonę. Że ona tego dokonała. Ona postawiła go w takiej sytuacji. Zdziwiająca. Skierowało to jego rozmyślenia ku przyszłości, wręcz ku obietnicom, jakie ze sobą niesie. Podziwiał żonę, choć okaże to tylko poprzez zemstę, jaką na niej wyrze.

Na jego twarzy pojawił się ten sam uśmieszek. I nadal głąskał futerał. Bez ustanku, ciągle w ten sam sposób. Jego ruchy wywołały dziwny efekt. W pokoju pozostał tylko jeden policjant. Reszta nie wyszła razem, lecz wymykali się jeden po drugim. A zatem chyba prawidłowo ocenił sytuację.

Reese pozostała z Ingrid. Policjantka nadal siedziała naprzeciw niej, łagodnie usiłując wydobyć coś z tej kobiety. Ingrid opierała teraz ręce na stole. Złożyła je razem, a Reese naśladowała jej ruchy. Pochyliły się ku sobie, przejęte, napięte.

- Może mi pani opowie, co się wydarzyło - odezwała się Reese.

Ingrid cofnęła się, choć nie było tego widać. Jej ciało pozostało w tej samej pozycji, lecz policjantka dostrzegła chyba jakąś zmianę w jej spojrzeniu, bo położyła rękę na dłoniach Ingrid. Pogłaskała je tak, że nieco się rozluźniły.

Ingrid zakręciło się od tego w głowie; poczuła niebezpieczeństwo. Ta kobieta może rozluźnić w niej i inne rzeczy. Mogą z niej wypłynąć całe lata tego wszystkiego. Wyleją się na stół, a czy ta kobieta zdoła go wytrzeć? Prędzej sama się w tym utopi.

Ingrid próbowała ponownie wziąć się w garść, ale było już na to o wiele za późno. Choć za wszelką cenę starała się powstrzymać, zaczęła mówić.

Była jeszcze inna dziewczyna - rzekła, mając na myśli Ninę. - Przed laty. - Urwała, kalkulując w głowie - dokładna liczba była dla niej bardzo ważna. W tym wypadku będzie precyzyjna. - Siedem lat temu - przypomniała sobie. - jest pani do niej podobna.

Pani Santerre, niech mi pani opowie o tej dziewczynie. Jak to się stało.

Ale Ingrid ciągnęła, jakby nie dosłyszała. Liczyła lata, które upłynęły od czasu Niny.

- Teraz musiałyby mieć ze dwadzieścia jeden lat - oznajmiła w końcu, dumna, że zdołała dokonać tego wyliczenia. Znacznie młodsza od pani, oczywiście, ale...

Czy ona też nie żyje? - zapytała Reese prosto z mostu.

- Ależ żyje - odparła Ingrid, gwałtownie zdejmując ręce ze stołu. Prawie podniosła się na nogi, nim opadła wewnątrz. Sama zastanawiała się nad tym niezliczone razy. Nie chodziło tu o zwyczajną śmierć, o co pytała policjantka. Nina uważała siebie za Bóg wie co, poniosła klęskę - nie wiadomo, ile ją to mogło kosztować. I zaczęła opowiadać od tego samego miejsca, uważając - niesłusznie, ale tak właśnie sądziła że zabije to kobietę, która teraz przed nią siedzi.

Ale nie mogła się dłużej powstrzymać. Już nieraz coś się jej wymknęło. Okaleczona jaźń nie mogła już tego w sobie dławić, Zbyt długo z tym walczyła. Walczyła i przegrywała, od czasu Niny. Ciągłe tylko potyczki i potopy, i krew. Krew Niny. Skąpana w niej dniami i nocami, bo tyle wiedziała - kazał ją pociąć. To jej zdołał udowodnić. Oczywiście posiał do tego ludzi, bo sam nie posunąłby się do czegoś tak niskiego i niechlujnego. I zawsze nosił ten ohydny naszyjnik

żeby jej ciągle przypominał.

- Pani Santerre? Pani Santerre? To znowu Reese.

- Jak masz na imię? zapytała Ingrid, bo tylko to ją teraz interesowało. Chciała poznać imię tej kobiety, chciała, by podała jej swoje imię, czego Nina nigdy nie zrobiła. Dowiedziała się przypadkiem, a właściwie z konieczności, że posługuje się nim tylko w pracy, lecz wcale tak się nie nazywa. I z uporem Ingrid przystała na to, nigdy nic użyła prawdziwego imienia dziewczyny, nawet w marzeniach o niej.

- Jak masz na imię? - zapytała ponownie Ingrid. Pani Santerre, jestem detektyw Reese.

- Nie, nie, kochanie, tak łatwo ci... Jakie imię dali ci rodzice? Zadając to pytanie, napotkała wzrok policjantki.

- Pani Santerre - jeszcze raz powtórzyła Reese. Dźwięk nazwiska męża zranił ją bardzo hulośnie.

Proszę już się tak do mnie nie zwracać. Jestem Ingrid. Mów do mnie Ingrid.

- No dobrze, Ingrid. A teraz opowiedz mi, co się naprawdę stało.

Rozdział czwarty

W sąsiednim pokoju Gabriel Santetre nadal lechał palcami futerał. Jedyny pozostały policjant, detektyw, stał z dala od stołu, z rękami mocno splecionymi na piersi. Nie odzywał się.

Santerre odczekał jakiś czas, chcąc się przekonać, czy doprowadzi tego człowieka do mdłości. Ale szybko mu przeszła ta chętka. Nic stanowiła żadnego prawdziwego wyzwania.

- Chciałbym teraz zatelefonować — powiedział.

Santerre zauważył, jak detektyw na niego spojrzał jakoś tak dziwnie. Gdy otworzył usta, wydawało się, że chce palnąć mu do słuchu, lecz najwyraźniej powściągnął się i powiedział coś innego.

Załatwimy to jak najprędzej, panie Santerre. - Po czym wyszedł, zostawiając Santerre'a samego.

Również i Reese opuściła teraz Ingrid. Stała w holu ze swym partnerem i innymi detektywami. Gdy ostatni wyłonił się z pokoju Santerre'a, zapytał ją:

- Wydobyłaś coś z żony?

Niewiele, prócz tego, że to zdaje się dla niej nie pierwszozna.

- Prosiła o adwokata?

- Nie.

- On tak. Nie puścił pary z ust.

- Pozwolisz mu zadzwonić?

- Jeszcze nie w tej chwili, ale nie ma sensu długo zwlekać. To i tak nie zrobi żadnej różnicy.

Daj mi jeszcze trochę czasu - poprosiła Reese.

- Możesz wrócić, jeśli chcesz, ale ja pozwolę facetowi zatelefonować. Masz czas, póki nic przyjdzie adwokat.

- Przytrzymaj go trochę, co? Pogadaj ze mną, zanim go wpuścisz do Santerre'a.

- Dobra, dobra, ale pospiesz się. Nie masz za dużo czasu - przypomniał jej, po czym wróci! do Santerre'a. Inni detektywi gawędzili w grupkach. Reese przysunęła się do Millera.

- Miej oko na korytarz, dobrze? Dopilnuj, żeby mi powiedzieli, kiedy przyjdzie adwokat.

- Masz to jak w banku - obiecał Miller. Reese wróciła do pokoju, do Ingrid.

- Pani Santerre - zaczęła. Ingrid, posłuchaj mnie. Twój mąż wezwał swego adwokata. Chyba powinnaś zrobić to samo.

Ingrid uśmiechnęła się.

- Tommy przyjeżdża? - zapytała.

- Kiepsko to wszystko wygląda. Musi mi pani coś powiedzieć albo po kogoś zatelefonować.

- Dlaczego? Tommuv wszystko załatwi.

- Czy może pani do kogoś zadzwonić? Ma pani własnego adwokata?

- Po co?

- Nie jesteście z mężem po tej samej stronie.

- Jak to? Co ty opowiadasz?

Powiedziała to tak, jakby niedosłyszała, i w tym tkwił cały kłopot. Reese odparła łagodnie, z lekka tylko podnosząc głos:

- Wpadła pani w poważne tarapaty.

Słowa te unosiły się między nimi, nim zapadły w nicość, którą była Ingrid. Siedziała, niczego nie rozumiejąc. Reese pragnęła albo potrząsnąć nią, albo ją objąć. Najchętniej zrobiłaby jedno i drugie, gdyż prócz współczucia do tej kobiety czuła gniew - płomienną wściekłość koloru krwiaka, który teraz wylał się na szczęce Ingrid. Reese zatrzymała na nim wzrok. Spróbuje od tej strony.

- On to zrobił, tak? - spytała z wysiłkiem.

Ingrid nic odpowiedziała, lecz gdy unosiła rękę do twarzy, Reese zauważyła lekką zmianę w jej wzroku. Czując, że może w ten sposób coś osiągnie, Reese zapytała łagodnie: Często cię bije?

Ręka Ingrid opadła na stół, plasnęła nań, niczym kawałek drewna.

- Taka ze mnie niezdara odparła. - Jestem siraszną nic-zgrabą. - Wypowiedziała te słowa apatycznie, jakby przećwiczyła to już wiele razy.

- Ach tak - Reese nie ukrywała sarkazmu. - Więc wpadłaś na coś? Uderzyłaś się?

Właśnie. - Oczy kobiety zapłonęły dziko, patrzyła na policjantkę rozjuszonym wzrokiem schwytanego zwierzęcia, lecz głos nadal miała bezbarwny. Reese zmieniła taktykę.

Zrobił to już wcześniej, prawda, pani Santerre? Zabił jakąś dziewczynę. Gdzie pani wtedy była?

- Nie powiedziałam tego. Nina żyje. Mówiłam już, że żyje. Nic było innych?

- Nigdy nie mówiłam, że komukolwiek coś zrobił. Reese przypierała ją do muru.

Gdzie jest teraz ta Nina? Ingrid nie odpowiedziała.

No to jak? Żyje w końcu czy nie? Nie. To znaczy tak. Żyje.

- Więc gdzie jest? Głuche milczenie.

- Na ulubionym wysypisku śmieci jego czy pani? Nie. Ty w ogóle nie...

Reese chciała poprowadzić to przesłuchanie łagodnie, ale ponieważ jej wyrozumiałość nie przynosiła rezultatów, podniosła głos o ton wyżej.

- Co nie? - zapytała ostro.

...rozumiesz - dokończyła Ingrid. Zabrakło jej tchu, toteż ledwie wyjąkała to słowo.

No to mi wytłumacz - rzekła Reese, nadal szorstko, nienawidząc takiego sposobu przesłuchiwania. Nienawidziła, bo wiedziała, że poskutkuje.

Mówię ci, że nie mogę - zapewniła ją Ingrid głosem prawie błagalnym.

Im więcej rys i pęknięć wychodziło na powierzchnię, tym silniej Reese musiała walczyć ze sobą, by twardo się trzymać, pamiętać o celu tego przesłuchania. Wydawało się jej, może niesłusznie, że łatwo złamie tę kobietę, że wystarczy wrzeszczeć i pomstować - nawymyślać Ingrid tak, że rozpadnie się na kawałki, zaśmiecając cały stół.

Reese uważała, że nie ma sensu sięgać po takie środki, jeśli nie jest to absolutnie konieczne, jeżeli nie służą one

wyłącznie dobru kobiety. Zwróciła się więc już do niej bardziej łagodnie:

- No to powiedz mi wszystko, co wiesz. Powiedz, gdzie jest Nina.

Na dźwięk tego imienia Ingrid zaczęła bełkotać coś z rozmarzeniem. Reese skłęła się w duchu za to, że zmiękła. Ale nie mogła tak od razu powrócić do poprzedniego surowego trybu.

- Powiedz, gdzie ona jest - powtórzyła, ale na nic się to nie zdało. Kobieta nadal coś paplała.

Reese drugi raz nie popełni tego samego błędu. Podniosła rękę i trzasnęła nią o blat stołu. Stłumiła cień zadowolenia, gdy Ingrid skuliła się ze strachu.

- Gdzie ona jest?! - wrzasnęła teraz Reese. I, owszem, podziałało.

- W Westchester - odparła Ingrid. W Bedford. To niedaleko od naszego domu.

Ingrid podała adres, a ponieważ Reese nadal przypierała ją do muru, wyjawiała również i nazwisko:

- Carver, Lynn Carver.

- A więc nadal się z nią widzisz - ciągnęła Reese, odrobinę tylko popuszczając.

- Nic. Tego nie powiedziałam.

- Nie widzisz się z nią?

- Nie chce mnie widzieć. - Lecz w tym momencie oczy Ingrid przymknęły się. Głowa osunęła się na piersi.

Reese nie chciała stracić z nią kontaktu, nie była pewna, jak dalece kobieta utraciła świadomość. Widząc, jak przesłuchiwanej bezwładnie zwisa głowa, poczuła o nią lęk.

- Pani Santerre - spróbowała. Mimo wcześniejszego postanowienia spytała cicho: - Czy pani wie, gdzie pani jest? Co się stało? Co się teraz dzieje?

- Co?

- Czy pani wie, gdzie się pani znajduje?

Ingrid wyglądała na oszołomioną, ale powróciła jej świadomość.

Nic znam dokładnego adresu, jeśli o to chodzi odparła z lekkim oburzeniem.

Usłyszawszy tę dziwną odpowiedź, Reese zaczęła się zasta-

nawiać, czy ta kobieta jest bardziej nieprzytomna, niż się obawiała, czy też znacznie przytomniejsza, niż przypuszczała. Przyszło jej też nagle do głowy, że nie wiadomo, kto tu kim manipuluje.

Rozległo się stukanie do drzwi. Reese wstała i odrobinę je uchyliła. Wysłuchawszy wieści od Millera, skinęła głową. Teraz sprawy potoczą się o wiele szybciej.

Rozdział piąty

- Tom - powiedział Gabriel Santerre tak serdecznie, jakby spotkał znajomego na pierwszym podwyższeniu podczas gry w golfa. Nie podniósł się jednak. Wyciągnął tylko rękę przez stół, ponad futerałem, który nadal spokojnie tam leżał.

- Dzień dobry, panie Santerre - odrzekł Tom Burns z nieco mniejszym entuzjazmem. Znalazł na stole miejsce, gdzie mógł położyć teczkę, po czym usiadł naprzeciw Santerre'a i zapytał: - Jak pan chce to rozegrać?

- Zależy odparł Santerre, jakby miał nieograniczone możliwości do wyboru. - Na czym stoimy?

- Nic chcąc otworzyć futerału.

Cień niezadowolenia przemknął po twarzy Santerre'a, nim mężczyzna znowu przybrał rezolutną minę, doszedł bowiem do wniosku, że znacznie więcej zyskał, niż stracił.

- Zachowują się bardzo ostrożnie - ciągnął Burns. - Nie chcąc popełnić najmniejszego błędu. Ale liczą na twoją żonę.

Santerre prychnął na te słowa, po czym roześmiał się, przyduszonym, chrapliwym, rehotliwym śmiechem.

- Wykołowała ich - mówił dalej Burns. -- Są w ślepym zaułku. Teraz nasz ruch.

- To dobrze - skwitował Santerre. - Chyba ułatwiła nam zadanie. Co z futerałem?

- Będzie stanowił dowód, jeśli wniosą przeciw tobie oskarżenie. W przeciwnym razie możesz z nim stąd wymaszerować.

- A mogą wnieść oskarżenie?

- Tak łatwo nie odpuszczają. Ale wiedzą, kim jesteś. Wiedzieli, zanim jeszcze przyjechałem, dlatego są tacy ostrożni.

- Pytanie teraz, kogo oskarżają.
 - Na tym polega problem.
 - jeśli wszystko na nią zwalimy, ile mi się dostanie?
 - Nieletnia? - spytał Burns, robiąc lekki ruch głową w kierunku futerału.
 - Przypuszczalnie tak, ale skąd mogę wiedzieć?
 - W najgorszym razie uznają, że dopuściłeś się czynu ściganego prawem i pomagałeś w zacieraniu śladów. Oczywiście możesz zgodzić się na współpracę. Twoja żona najwyraźniej jej odmawia. Możemy im znacznie ułatwić sprawę, jeśli o to ci idzie.
- Oddamy im futerał.
- To brzmi rozsądnie. Bez niego nic by nie mieli, ale tak by tego nie zostawili. Nadal mogą go otworzyć. Może czekają tylko na zezwolenie. Jeśli z nim wyjdiesz, będą ciekawi, co z tym zrobisz. Rozsądnie byłoby go oddać na dobry początek.
 - Chcę uzyskać nietykalność.
 - W zamian? Owszem.
 - Nic wiem, CZY to się da zrobić.
 - No więc pogadaj, z kim trzeba.
 - Z czego jesteś gotów zrezygnować na tym etapie?
 - Z niczego. Nietykalność w zamian za współpracę. Tak im powiedz.
- Reese coraz mocniej przyciskała Ingrid do muru. Lecz teraz, gdy przybył adwokat Santerre'a, zmieniła kurs. Masz własne pieniądze? - zapytała.
- Tymi sprawami zajmuje się mój mąż. Podpisuję to, co mi każe. Jest jakiś majątek na moje nazwisko.
 - A konto w banku?
 - Nie mam konta. Mąż daje mi pieniądze. Potrzebujesz adwokata.
- W tym miejscu Ingrid znowu stanęła okoniem.
- Nie rozumiem. Tommy zawsze wszystko załatwiał.
 - Słuchaj, znam kogoś, kto mógłby ci pomóc. W tym momencie Reese zadeklarowała się po jej stronie nie dość, że zaproponowała adwokata, to w dodatku była to jej najlepsza

przyjaciółka. - Pójdę zadzwonić. - I z tymi słowami opuściła pokój,

Reese podeszła do swego biurka i nakręciła numer. Zastanawiała się, jak odciągnie przyjaciółkę od tej korporacji, mieszczącej się w samym centrum, w której tak się już zadomowiła. Ze strony Reese nie była to żadna zagrywka. Nie miała już czasu. Zaoferowała usługi przyjaciółki spontanicznie, instynktownie. A teraz przełączono ją zbyt szybko od recepcjonistki do prywatnej sekretarki. Lecz tu nastąpiła przerwa. Rzeński głos powiadomił ją, że pani Coffey rozmawia z drugiego telefonu, i poprosił, by poczekała.

W takich chwilach Reese nieomalże chciała brać nogi za pas. Ale właśnie usłyszała energiczny głos Eleanor Coffey.

- Caroline - spytała - o co chodzi?

Jesteś mi potrzebna. Coś się tu dzieje. Bez ciebie nie dam sobie rady.

- Dobrze, już jadę.

Reese odłożyła słuchawkę ze zdumieniem i ulgą. Eleanor nie zrezygnowała z walki. Była na nią gotowa, biorąc pod uwagę burzliwe okoliczności jej odejścia z biura prokuratora okręgowego przed paroma miesiącami. Eleanor skłęła cały pieprzony system, co ciągle powtarzała z wściekłością. Lecz nim Reese zdążyła bardziej wgłębić się w charakter przyjaciółki, drzwi do pokoju Santerre'a otworzyły się, po czym wyłonił się z nich Tom Burns.

- Czy ktoś tu chciał ze mną pomówić?! — zawołał, by przekrzyczeć wieczny hałas w pokoju.

Reese podeszła doń szybko, by uprzedzić ewentualnych innych interesantów.

- O co chodzi? - spytała.

Zawiadomiła już pani prokuratora okręgowego?

- Nie - odparła Reese - ale to się da zrobić.

Chciała doprowadzić choćby do krótkiej wymiany zdań, ale Burns powiedział tylko;

- Proszę się pospieszyć. Po czym szybko zniknął za drzwiami.

Miller stał teraz u jej boku. Szeroką dłonią trzymał ją za ramię.

- Dowiedziałaś się czegoś? - zapytał.

- Niewiele. Jest jeszcze jedna dziewczyna. Podobno przeżyła. Pójdziemy do niej, jeżeli ta Ingrid nic będzie chciała puścić pary. Wiesz, do czego tamci zmierzają?

- Nie, ale łatwo się domyślić.

- Słuchaj, załatwiłam jej adwokata. Nazywa się Eleanor Coffey. Reese spodziewała się, że ją walnie.

- Zawiadomię cię, kiedy się tu pojawi - powiedział tylko. Gus, czy uważasz... - zaczęła, chcąc załagodzić sytuację, lecz zamiast tego zapytała: - Ściągniesz tu dla nich prokuratora okręgowego? Skinął głową.

- Nic spiesz się z tym, dobrze? Zadzwoń do zastępcy prokuratora, tego zmęczonego, Holmesa. On ich powinien przyhamować.

Miller uśmiechnął się.

- Taak, teczkę otwiera ze dwadzieścia minut. I mnie też zejdzie ze dwadzieścia minut, zanim się do niego dodzwonię. - To mówiąc, zaczął kroczyć w kierunku swego biurka z przesadną powolnością.

Jego żarty pomogą jej stawić czoło tym dwu parom zamkniętych drzwi - jego żarty i to, że nie zapytał, dlaczego wezwała adwokata, dlaczego właśnie Eleanor. Wiedziała, że Miller zatrzyma to dla siebie. A jeśli jego zaczną nagabywać, wesprze ją, powie, że to Ingrid prosiła o adwokata i że Reese po prostu kogoś poleciła.

Nadal jednak musi stawić czoło dwóm parom drzwi. Zajrzała do gabinetu Harrisa, ale nie zobaczyła porucznika. W pokoju panowała normalna krzątanina. Zazwyczaj w tym rozgardiaszu czuła się jak w domu, lecz dziś miała wrażenie, że to wszystko odbywa się poza nią. Jeszcze raz zerknęła na Gusa. Pochwycił jej spojrzenie, a ona odwzajemniła jego uśmiech. Podnosił słuchawkę, gdy odwróciła się, by znowu stanąć przed tamtymi drzwiami.

Ciągle wahając się, uświadomiła sobie, że chce wejść do niewłaściwego pokoju, by się dokładnie dowiedzieć, co knują Santerre z Burnsem. Wróciła jednak do Ingrid.

Rozdział szósty

Eleanor Coffey przybyła niezwłocznie, zanim jeszcze pojawił się przedstawiciel prokuratora okręgowego. Reese spotkała się z nią w holu, przed drzwiami pokoju operacyjnego. Nie widziały się już od jakiegoś czasu i Reese z uznaniem oglądała fryzurę Eleanor. Zauważyła, że w krótkim afro pojawiło się więcej siwizny, i zdała sobie wówczas sprawę, że stęskniła się za przyjaciółką.

- Co mamy? - odezwała się Eleanor, przechodząc od razu do rzeczy.

- Martwą dziewczynę - odparła Reese, przywołując się z powrotem do rzeczywistości. - Złapaliśmy* parę, która usiłowała ją wynieść z Ascot Towers w futerale do golfa. Żona jest w szoku. Ciągle nie chce mówić. Za wszelką cenę kryje męża. Zdaje się, że nie pierwszy raz mu się to zdarza. To chyba jakaś grubsza ryba. Nie pamiętam, żeby z kimkolwiek tak ostrożnie się tu obchodzili, jak ze śmierdzącym jajem. Nie możemy nawet otworzyć futerału.

- To Santerre.

- Co? Znasz go? Wiesz już o wszystkim?

Wieści szybko się rozchodzą, zwłaszcza w moim mateczniku.

- Co o nim wiesz?

Trudno dowiedzieć się czegokolwiek prócz nazwiska odparła. - Trzyma się w cieniu. Ale to bardzo potężny cień. Jak ich dorwaliście?

Żona zawiadomiła telefonicznie.

- To już coś. Prokurator okręgowy już tu jest?

Jeszcze nie. Powiedziałam Gusowi, żeby zadzwonił po Holmesa. Pamiętasz go?

- Tego smętnego dupka? Zastępcę prokuratora okręgowego do końca życia? Pomyśl, kiedy ja stąd odeszłam. Ledwie po pół roku miałabym zapomnieć tego gryziopiórka?

No rzeczywiście. Tak, ściągamy tu Holmesa. Pomyślałam, że ich przytrzyma.

Przynajmniej na jakiś czas. Takiego typu nie da się zatrzymać na długo. Jego adwokat pewnie już tu jest? Reese skinęła głową.

- Więc po co mnie ściągałaś?

- Ze względu na żonę. Tylko ją mamy na niego, a do niej nawet nie dociera, że adwokat męża już dla niej nie pracuje. Prawie nic mi nie powiedziała, a oni na pewno o tym wiedzą. Wiadomo już, jak to rozegrają. To jego prawnik poprosił

o przysłanie prokuratora okręgowego. Ona będzie ślepa, niema i głucha, a oni zawrą układ, który ją pograży.

- No to bierzmy się do roboty. Przyjrzyjmy się tej kobiecie.

W pokoju przesłuchań Eleanor Coffey grała teraz pierwsze skrzypce. Najpierw przedstawiła się, po czym wyjaśniła:

- Wezwała mnie detektyw Reese. Będę reprezentować pani interesy. Ingrid ledwo się poruszyła.

- Pani Santerre zaczęła znowu Eleanor, lecz Reese jej przerwała:

- Ingrid, to adwokat, o której ci mówiłam. Czas, żebyś zaczęła nam pomagać.

Ingrid nadal nie doszła do siebie. Reese nie była nawet pewna, czy w ogóle dotarł do niej fakt przybycia Eleanor.

- Pani Santerre - powtórzyła Eleanor przymilnie, jakby zwracała się do nieznosnego dziecka.

Nadal żadnej reakcji.

Eleanor cisnęła teczkę na biurko. Hałas podrażnił Ingrid. Jej głowa podskoczyła, a gdy Eleanor usiadła, szurgot krzesła przesuwanego po podłodze sprawił, że Ingrid drgnęła.

Reese musiała zdecydować, gdzie ma się usadowić - czy usiąść obok Eleanor, czy obok Ingrid. Lecz instynkt podpowiedział jej, by usiadła pośrodku. Podniosła krzesło, nie chcąc przesuwając go po podłodze. Postawiła je przy końcu stołu, tuż koło drzwi. Gdy usiadła, rzuciła spojrzenia to jednej, to drugiej kobiecie.

Eleanor wyglądała na zirytowaną i zniecierpliwioną, Ingrid na zmaltretowaną i zmęczoną. Reese czuła się gdzieś pośrodku. Była jak podminowana ze złości, lecz zarazem mąciło jej się w głowie ze zmęczenia. Obawiała się, że niebawem znużenie weźmie nad nią górę.

Rozległo się stukanie do drzwi. Gdy Reese je otworzyła,

ujrzała Gusa Millera. Powiedział jej, że Holmes już przybył. Reese skinęła głową i znowu, zamknąwszy drzwi, wróciła do swego miejsca przy stole.

- Holmes przyjechał - powiedziała do Eleanor. Następnie odwróciła się do Ingrid. - Pani Santerre - rzekła - właśnie w tej chwili pani mąż i jego adwokat rozmawiają z prokuratorem. Mogę się założyć, że rozmawiają o pani. Jak to wszystko na panią zrzucić. Może jednak zacznie pani z nami rozmawiać.

- Współpraca z nami leży w pani interesie - wtrąciła Eleanor.

- Pani mąż działa, i to szybko - odezwała się znów Reese. - jeśli pani zaraz czegoś nie postanowi, nic go nie powstrzyma.

- Chce pani go powstrzymać, prawda? W przeciwnym razie po co zawiadamiałaby pani policję? — zauważyła Eleanor.

- Niech pani zrobi swój ruch, i to zaraz, bo gra się skończy, nim się pani zdąży zorientować - przekonywała Reese.

Ingrid usiłowała odróżnić od siebie obie te kobiety, gdyż ich głosy nakładały się na siebie, zlewały. Podobnie jak to, o czym mówiły. W końcu zasłoniła uszy dłońmi. A wtedy ta bliższa kobieta, policjantka, chwyciła Ingrid za rękę. Pociągnęła ją z całej siły i walnęła o stół.

W ten sposób poruszyła w Ingrid jakąś sprężynkę. Kobieta uświadomiła sobie, że coś się z nią dzieje, nim poczuła cios. Przez chwilę patrzyła policjantce w oczy, po czym głowa znowu jej opadła.

W przyległym pokoju znajdowali się Gabriel Santerre i Tom Burns. Czekali. W rozmowie przeszli już z aktualnego problemu na inne tematy. Przerwało im stukanie do drzwi.

Burns podniósł się, by wprowadzić prokuratora. Był to wysoki mężczyzna, po czterdziestce, przynajmniej z dziesięć lat młodszy od Burnsa, Santerre'a czy Ingrid. Jego garnitur, dobrze skrojony, lecz podniszczony i niemodny, zdradzał niezadowolenie właściciela, jakie nieodmiennie niosą ze sobą lata pracy w administracji państwowej. Na widok swych przeciwników lekko się zgarbił, potwierdzając tym pierwsze wrażenie.

Zmierzywszy go wzrokiem, Burns szybko zmienił taktykę.

- Załatwmy to szybko - rzucił lekceważąco. - Mój klient ma inne sprawy na głowie.

Pański klient usiłował wynieść trupa z hotelu.

- Nie zaczynajmy od sporów. Pan Santerre zaoferował pełną współpracę. Bez niej może pan tylko snuć przypuszczenia. Nic więcej.

Czego chcecie? niemal niedosłyszalnym, monotonnym głosem zapytał prokurator,

Santerre dostrzegł szansę i postanowił z niej skorzystać

- Może pan usiądzie, panie...? Tom, nawet się sobie nie przedstawiliśmy.

Prokurator próbował zachować niezależną pozycję, mówiąc: Och, wiem, kim pan jest, panie Santerre.

- No, ma się rozumieć, młody człowieku. Ale ja pana nie znam. To mnie stawia w nieco gorszej sytuacji, nie uważa pan? - Jego ostry, mdląco słodki ton świadczył wyraźnie o czymś wręcz przeciwnym.

Nazywam się Holmes.

- A więc, panie Holmes, proszę usiąść. - Santerre wskazał krzesło naprzeciw. Burns zajął miejsce obok swego klienta, tak że obaj wpatrywali się ponad futerałem w Holmesa. Patrzyli, jak posłusznie wcisnął swe długie ciało w krzesło, po czym odepchnął się od stołu. Trzymał teczkę pionowo na kolanach jak w autobusie czy w metrze. W istocie przytulał ją do piersi, tworząc fizyczną barierę pomiędzy sobą i futerałem.

- Tom - rzekł Santerre zrób miejsce na rzeczy pana Holmesa.

Burns pochylił się na całą szerokość biurka, by odebrać teczkę od prokuratora. On również unikał bezpośredniego kontaktu z pokrowcem.

Holmes położył teczkę, lecz nie otwierał jej.

- Więc czego chcecie? - zapytał. Teraz wkroczył Burns.

Pan Santerre odda futerał i zaoferuje pełną współpracę w zamian za nietykalność.

- To niemożliwe. Mamy nagranie zgłoszenia na policję. Wiemy, że to żona telefonowała.

Ona tak powiedziała? zapytał Burns, raczej z ciekawością, niż by podważyć jego stwierdzenie, Wiemy, że to ona dzwoniła.

- No i co wam to daje? Co dokładnie powiedziała? Czy wciągnęła w to mego klienta?

Wszyscy wiemy, co jest w tym futerale.

- Co pan powie? Naprawdę?

Podczas tej wymiany zdań Santerre zaczął zdradzać oznaki zniecierpliwienia. Pochylił się do przodu, obiema rękami mocno ujął futerał. Trącając go, rzekł:

- Marnuje pan mój czas, panie Holmes. Jeżeli pan sam nie może podjąć takiej decyzji, sprowadźcie tu kogoś, kto jest władny to zrobić.

Reese i Eleanor nadal usiłowały wyciągnąć coś z Ingrid, lecz mimo zaporowego ognia pytań nie wydobyły z niej żadnej odpowiedzi. Jedynie gdy Reese nawiązywała kontakt fizyczny, odciągając ręce kobiety od jej oczu czy uszu, Ingrid wykazywała jakieś oznaki życia.

Reese właśnie zrobiła to kolejny raz - trzasnęła ręką pani Santerre o stół - gdy następne stukanie do drzwi przeraziło je wszystkie trzy. Znowu podniosła się Reese. I znów ujrzała Millera. Tym razem potrzebował jej.

Spojrząwszy na Ingrid, zobaczyła, że głowa kobiety znowu poleciała do przodu. Podbródek zapadł się jej między piersiami, jakby specjalnie dla osiągnięcia efektu przecięto jej mięśnie szyi. Szybkość tego ruchu, lekkie drgnięcie głowy, nim kompletnie opadła, przyprawiły Reese o mdłości. Odwróciła wzrok i spojrzała na Eleanor.

Nie odpuszczaj jej - doradziła. Jeśli Ingrid usłyszała, niczego nie dała po sobie poznać.

Po wyjściu z pokoju przesłuchań, w pokoju operacyjnym, Reese dała upust swojej wściekłości. Nim Miller zdążył cokolwiek powiedzieć, ujrzała Holmesa, wychodzącego z innego pokoju. Zawsze uważała go za przeciwieństwo Eleanor - był słaby i nieskuteczny, lecz właśnie dlatego go wybrała. Wychodząc do holu, jeszcze bardziej niż zwykle wyglądał na wykończonego.

Reese podeszła do niego.

- Co tam się dzieje?

- Chcą, żeby zapewnić mu nietykalność. Muszę zatelefonować.

- Ma pan zamiar im to załatwić?

- Tego nie powiedziałem, ale gdybyście porządnie wykonali swoją robotę, moje zadanie byłoby o wiele łatwiejsze.

- Co to ma znaczyć?

- Siedzi tam i całkowicie panuje nad sytuacją. Gdybyście po prostu otworzyli ten cholerny futerał, nie tkwilibyśmy teraz w martwym punkcie.

- A co mieliśmy zrobić? Otworzyć go w jakimś pieprzonym holu bajeranckiego hotelu? Żeby natychmiast rozniosło się po całym mieście? A jeśli zrobilibyśmy to bez nakazu rewizji? Dopiero by się pan na nas wydierał. Wszędzie by pan rozpowiadał, jak spaskudziliśmy pańską cenną sprawę.

Reese ciskała się jeszcze przez jakiś czas, ale dobrze wiedziała, że to zwykle zwracanie głowy. Że w gruncie rzeczy się z nim zgadza. Wiedziała, że cała sprawa śmierdzi, że ściśle przestrzeganie reguł w tym wypadku oznacza przestrzeganie reguł wyznaczonych przez Santerre'a.

Holmes minął ją, zmierzając do najbliższego telefonu. Miller stał obok. - Gdzie jest porucznik? - spytała go.

- Wezwano go do miasta.

- Już?

- Jeszcze zanim wróciliśmy. To właśnie chciałem ci powiedzieć.

- A niech to szlag! - zakląła, robiąc gest głową w kierunku pokoju Santerre'a. - Kogo my tam właściwie mamy?

Przesłał jej uśmiech pełen napięcia.

Chyba oboje dobrze wiemy - odparł ściągając usta. I raczej nie dostaniemy nakazu.

- Nikt nam nic zrobi takiego prezentu.

Reese spojrzała na Holmesa. Ścisła! słuchawkę, mówił coś, rozgorączkowany, lecz jeszcze zanim skończył, otworzyły się drzwi do pokoju operacyjnego.

- Wielki Boże! - zdumiała się Reese. - Popatrz no tylko. Lecz Miller właśnie patrzył. Wkroczył Harris, mając po

bokach szefa policji i nie byle prokuratora okręgowego, lecz Karla Cherneya, który kierował całym biurem miejskim.

Reese usiłowała uchwycić wzrok porucznika, lecz on ledwie

zauważał jej obecność. Trzej mężczyźni stali jeszcze przez chwilę razem, po czym szef odwrócił się i wyszedł. Wkrótce potem Cherney skierował się do pokoju przesłuchań, tego bliższego, gdzie znajdowali się Burns i Santerre.

Wtedy dopiero wskazujący palec porucznika wyciągnął się w kierunku Reese, po czym zagiął się. Podeszła do niego wraz z Millerem.

- Cóż to, nie przybył prokurator generalny... zaczęła Reese, lecz zaraz przerwał jej zimnym głosem Harris.

- Idźcie do tego pokoju rzekł, wskazując teraz bliższe drzwi.

Reese i Miller wymienili spojrzenia, po czym wykonali polecenie.

Gdy Reese znalazła się w środku, usiłowała wchłonąć tyle informacji, ile się tylko dało. Odnotowała stoicki spokój Santerre'a, wianuszek otaczających go ważniaków. Był tam Cherney, zupełnie taki sam jak w telewizji gdzie jedynie Reese dotychczas go widziała. Właśnie wręczał Burnsowi jakieś papiery. Gawędzili przy tym przyjaźnie, obaj w niebieskich garniturach jak spod igły. Cherney był niezwykle ożywiony. Jego swobodny sposób bycia sprawił, że Reese odwróciła wzrok. Spojrzała na kolegów detektywów, którzy przyprowadzili tu Santerre'a, lecz do nich odniosła się z równą rezerwą. Mogła patrzeć tylko na Millera. Wymienili niespokojne spojrzenia.

Burns, skończywszy naradę z Cherneyem, zachowywał się teraz jak gospodarz czy mistrz ceremonii. Wydawał się tu najważniejszy, dyrygujący wszystkimi. Stał obok Santerre'a, gestykulując i rozmawiając niczym na jakimś przyjęciu towarzyskim. Najwyraźniej oczarował detektywów, którzy śmiali się z jego słów. Reese zeszywniała, czując, jak narasta w niej gniew.

Jeszcze raz spojrzała na Santerre'a. Tylko on siedział, a mimo to wydawał się wyższy od innych, fizycznie potężniejszy. Był postawny, lecz nie zwałisty. Santerre zachowywał się jak wielki pan, otoczenie traktował jak swoją własność.

Ubrany był nienagannie, a nawet modnie. Ciemne włosy

miał szesane do tyłu - coś lepkiego nie pozwalało im się zwinąć. Lecz prawdziwy kłopot sprawiały jego oczy. Głęboko osadzone, piwne, podobnie jak oczy jego żony. Zimne, lecz kuszące. Jego wzrok hipnotyzował, dając jednocześnie do zrozumienia, że może się też odwrócić, odciąć od człowieka w jednej chwili, a tego należy unikać, wręcz się obawiać.

Santerre podchwycił spojrzenie Reese. Uśmiechnął się do niej i odnotował jej obecność słowami: „Ach, jest wśród nas kobieta”.

Reese opancerzyła się przed jego wzrokiem. Nic ulegnie jego magnetycznemu urokowi. Nie da się wciągnąć do gry, w którą z zachwytem pogrążyli się jej koledzy. Chciała mu odwarknąć. Odpalić tak, by popamiętał. Ale dostrzegła gierkę. Jeśli się nie odezwie, Santerre odwróci od niej wzrok. I tak się stało, lecz tylko dlatego, że coś innego przyciągnęło jego uwagę.

Był to Burns, który odgrywał teraz rolę mistrza ceremonii. Nadal trzymał w ręku te papiery. Przeglądał je niedbale, jak program, po czym rzekł:

- No dobrze, zabierajmy się do tego.

Reese zrobiło się niedobrze na widok kolegów, którzy na wyścigi starali się zająć miejsce jak najbliżej futerału. Cofała się, podczas gdy oni parli naprzód. Interesował ją nie tylko futerał, lecz i reakcja innych na jego zawartość.

Wszyscy wstrzymali oddech, gdy Santerre wyjął z kieszeni mikroskopijny kluczyk, taki, który mógłby zamykać dziecięcą skarbonkę czy pamiętnik. Włożył go do małej kłódki przy futerał i obrócił. Potem wyjął kłódkę, wyciągnął z niej kluczyk i położył oba przedmioty obok siebie na stole.

Zaczął rozsuwać zamek błyskawiczny, lecz czynił to powoli, starając się, by futerał pozostał jak najdłużej zamknięty. Gdy skończył, odwinął winyl, nie tak teatralnym gestem, jak Reese się spodziewała, niemniej z werwą.

A wewnątrz? Reese nie doznała poczucia grozy, jak się spodziewała. Po prostu skamieniała. Nic mogąc ocenić, w jakim stanie jest ciało, wbiła wzrok w oczy dziewczyny. Głowa znajdowała się na końcu stołu, najbliżej niej, wygięta do tyłu.

I Reese ujrzała błaganie w oczach tej martwej istoty, której nie była jeszcze w stanie uznać za trupa.

Cichy gwizd Millera zabrzmiał jak dysonans, nie tylko dla Reese, ale zdaniem wszystkich zgromadzonych, którzy wlepili w niego wzrok, jakby naruszył zasady dobrego wychowania. Reese też się weń wpatrzyła, ujrzała jego dziwny uśmiezek, próbowała go odwzajemnić. Tylko on nie uległ magnetycznej sile Santerre'a, a ona stała przy nim, zwarli szeregi, bo tylko oni w tym pokoju wydawali się przy zdrowych zmysłach - tylko ich dwoje i dziewczyna,

Reese zmusiła się, by jeszcze raz spojrzeć na ciało. Było nagie, lecz dziwnie nieskalane, z wyjątkiem śladów po duszeniu, wyraźnie widocznych na szyi. Ręce, ściągnięte za plecami, wyglądały jak czymś związane - choć nic ich nie przytrzymało. Wystające uda kończyły się zgiętymi kolanami. Więcej nie było widać łydki i stopy nadal skrywał winyl w kolorze burgunda. To kończyło sprawę dla Reese - przekonała się, że ma przed sobą nieżywą istotę, i taką ta dziewczyna pozostanie - jeszcze nie w pełni ukształtowana, a już bez krzty życia. Reese jej nie ocali.

A potem, wiedząc, że Santerre nie będzie na nią patrzył, spojrzała nań. Miał zadowoloną minę. I zaczął mówić, opowiadać swoje bajdy. I kiedy się tego wcale nie spodziewała, może właśnie dlatego, że się nie spodziewała, Santerre popatrzył na nią, mówiąc:

- Wszyscy wiemy, jakie są kobiety.

- Naprawdę? Jakie? - odezwała się, przestraszona dźwiękiem własnego głosu, bo nic miała zamiaru wdawać się z Santerre'em w rozmowę.

- Zazdrosne, moja droga - powiedział, na ułamek sekundy podchwytyjąc jej spojrzenie, by później zmierzyć wzrokiem ją całą.

Reese pragnęła wdrzeć się do wnętrza tego zadowolonego z siebie człowieka, zwymyślać kolegów, którzy się przeciw niej zmówili - wszyscy, z wyjątkiem Millera, parskali z żarciku, który Santerre zrobił sobie jej kosztem. A przede wszystkim chciała rozedrzyć tę już złamaną żonę, wstrząsnąć jej samozadowoleniem, jej gotowością do współudziału w przestępstwie.

Rozedrzeć ją tak dokumentnie, by zyskała wgląd w siebie, przyznała, że maczała w tym wszystkim palce. Ale skoro Reese nie mogła zrobić niczego podobnego, stała tylko spokojnie, dusząc w sobie wściekłość, wchłaniając w siebie to wszystko.

Rozdział siódmy

Ingrid nadal siedziała przy tym samym stole, w tym samym pokoju. Kobieta naprzeciw niej - Coffey, jak powiedziała, Eleanor Coffey - nękała ją pytaniami od jakiegoś czasu.

W obecności tamtej poprzedniej, Reese, Ingrid odczuwała coś. Coś niepokojącego, lecz przynajmniej znajomego. Przy tej czuła zupełną obojętność, a Ingrid nade wszystko potrzebowała ciepła. Szukała go wszędzie, gdzie się tylko dało. Zdolna była niemal do wszystkiego, by je dla siebie pozyskać. Albo przynajmniej coś przypominającego ciepły stosunek, choć nad tym wołała się specjalnie nic zastanawiać. Wołała nie wglębiać się w to tak dokładnie.

Z tamtej poprzedniej nic emanowało ku niej, dokładnie rzecz biorąc, ciepło, ale czuła żar. Żar gniewu, lecz zazwyczaj do tego to się właśnie sprowadzało, na tyle przynajmniej mogła liczyć. A skoro zabrakło tego żaru, pomiędzy nią i Coffey zapanowało w końcu milczenie.

Z początku Coffey wydawała się tym zbita z tropu, usiłowała przerwać ciszę, lecz w końcu dała za wygraną. Tak się przynajmniej zdawało Ingrid. Teraz to Ingrid nie mogła znieść milczenia.

- Coffey - powiedziała monotonicznie. Dźwięk nazwiska rozbrzmiewał przez chwilę w powietrzu, po czym Ingrid dodała: - Pewnie strasznie się z pani nabijają.

Ingrid wpatrywała się w twarz adwokatki. Wydawała się zaskoczona, jakby Ingrid jej zaimponowała. Nie mogła wiedzieć, że od lat Eleanor Coffey dzieli ludzi wedle tego, jak reagują na jej nazwisko - nie zwracają uwagi czy też robią niemiłe żarciki. Rzeczowy stosunek Ingrid zapewnił jej wysoką pozycję u Eleanor.

Zupełnie się w tym nie orientując, Ingrid poczuła po prostu, że trochę między nimi odtajalo.

- Pani Santerre - zaczęła Elcanor Coffey. — Ingrid, siedzą tam teraz, zastanawiając się, jak cię załatwić. Zdajesz sobie z tego sprawę?

Mimo nieobecności Rcese, a może właśnie dlatego, Ingrid usłyszała słowa Coffey. Nie pozwalały one na żadne manewry. Nie miała możliwości stosowania jakichkolwiek uników, zapytała więc głosem zmęczonej, dorosłej osoby:

Czy nie przyszło ci do głowy, że jestem winna? Z góry to wykluczyłaś?

- Wina to wielkie słowo. Mówię konkretnie. Czy uważam, że zabiłaś tę dziewczynę i wsadziłaś ją do futerału? O to pytałaś? Nie, nigdy tak nie myślałam. Ani przez chwilę. Nikt na tym posterunku w to nie wierzy. Ale przypuszczam, że to najłatwiejsze rozwiązanie trudnej sprawy, toteż znajdą sposób, by wszyscy w to uwierzyli. Więc ty postaraj się, żeby uwierzyli w coś innego.

Było to zbyt proste dla Ingrid, toteż znowu zaczęła błądzić myślami.

Coffey czekała na odpowiedź, ale ponieważ żadnej nie otrzymała, przycisnęła Ingrid tym razem z innej beczki:

- Opowiedz mi o tym telefonie. Dlaczego zadzwoniłaś?

- Myślałam, że to coś zmieni — odparła Ingrid.

- Co zmieni?

- Wszystko - odpowiedziała. To słowo wyszło z jej ust w dwóch połówkach, niczym dwa oddzielne wyrazy, toteż powtórzyła: — Wszystko, co do jednego.

- Więc chciałaś, żeby to się skończyło. Chciałaś go powstrzymać.

- Och, na to już chyba za późno. Sama pani tak powiedziała.

Przerwano im. Reese weszła do pokoju bez pukania, sprawiając, że obie aż się wzdrygnęły. Ingrid czuła obecność Rcese, lecz nie patrzyła na nią. Wzrok zatopiła w oczach Coffey. Trwało tak przez chwilę, lecz Coffey nie potrafiła go przytrzymać. Ingrid czuła, jak jej członki omdlewają. Głowa opadła jej naprzód. A gdy uniosła ją znowu, wbrew swej woli patrzyła w oczy Reese. Wydawało się jej, że zmieniło się coś w zachowaniu policjantki, w niej samej.

Potem te dwie wstały, zmierzając ku wyjściu. Z ust Ingrid bezwiednie dobył się dźwięk. Coffcy odezwała się do niej: Nie denerwuj się. Zaraz wrócimy.

W holu zaczęły się wzajemnie informować o sytuacji.

Wydusiłam z niej przynajmniej przyznanie się, że zadzwoniła - zaczęła Eleanor.

- Tak, jest przecież nagranie. On ma na to odpowiedź. Ma odpowiedzi na wszystko. A nasi wprost piją mu z ust. Z wyjątkiem Gusa.

- I co mówi?

Reese podała jej wersję Santerre'a najprościej i najjaśniej, jak tylko się dało.

- Mówi, że ona to zrobiła, z zazdrości. Że od początku do końca to był jej pomysł. Żeby sprowadzić dziewczynę. Wszystko. Że to ona ma świra na tym punkcie, nie on. Że lubi się przypatrywać. Chce, by on najpierw patrzył, a potem przejmował sprawę. Że jej dogadzał. I to jest jego jedyny błąd, zaspokajanie kaprysów żony. Chciał, żeby była szczęśliwa.

Powiedział, że skończyła z dziewczyną i zostawiła ją dla niego. To ona nalegała, by ją związać, choć facet przyznaje, że on to zrobił. Znowu, żeby jej dogodzić. Myślał, że już skończyły. Poszedł do łazienki i wyszedł, gdy usłyszał głosy. Jego żona dusiła dziewczynę. Chciał ją powstrzymać, ale było za późno.

Potem mówił, że po prostu chronił żonę. Osłaniał ją. Nazwał to „normalną, zwyczajową reakcją”. I tu mamy haczyk. Oświadczył, że gdy zrozumiał, jakie to wariactwo, kazał jej zadzwonić na policję. Specjalnie przeciągał sprawę, żebyśmy zdążyli ich przyłapać. Wszystko to sobie starannie wygłówkował. Wygląda na to, że od lat miał gotową tę historyjkę. A oni wszyscy jedzą mu z ręki.

Eleanor oparła się o ścianę.

- Musimy skłonić ją do mówienia.

- Idą jak burza. On, zdaje się, ma już załatwioną nietykalność. - Reese powiedziała to zbyt szorstkim głosem i poczuła się głupio. Przez jej ciało przebiegło widoczne drżenie.

- Nic ci nie jest? - spytała Eleanor.

Nie, wszystko w porządku. Co chcesz teraz zrobić?

- Nie mogę odkręcić tego, co już zdążyli namotać. Jeśli on wyjdzie, ona będzie ugotowana. Może uda mi się przetrzymać ją tutaj przez noc, może dłużej. Odwlec postawienie jej w stan oskarżenia. Żeby tylko nie wysłać jej do pudła. A do tego może dojść lada chwila. On ma takie plecy, że nie zdążymy zebrać kaucji, i wszystko rozbije się o pieniądze. Nie wiadomo, dokąd ją pošlą. Trudno powiedzieć, co byłoby gorsze. On to tak rozgrywa, jakby chciał zamknąć ją u czubków, więc może powinniśmy próbować od drugiej strony. Muszę się zastanowić.

- Tak, masz rację. Chce ją po cichu zamknąć. Bez szumu, bez wielkiego halo. Ciągłe powtarzał: „Moja żona nie czuje się dobrze”. To zdanie utkwiło Reese w pamięci. Jeszcze teraz dźwięczało jej w uszach.

- Muszę zatelefonować powiedziała Eleanor. - Ty idź do niej i potrzyмай ją za rączkę.

Reese zawahała się i znowu było to po niej widać.

- Dasz sobie radę? spytała Eleanor.

- Ależ oczywiście — odparła Reese, ale chwilę potrwało, nim ruszyła z miejsca, nim przeszła tych parę kroków do drzwi i poczuła gałkę w ręce. A gdy się odwróciła, by spojrzeć na Eleanor, ujrzała, że adwokatka siedzi już przy biurku, sięgając po najbliższy telefon.

Reese opadła na krzesło naprzeciw Ingrid. Nim ujrzała ciało dziewczyny, wydawało się jej, że rozumie tę kobietę. Bicie i maltretowanie wiele wyjaśniało. Ale już nic teraz. Teraz nie znajdowała dla niej dostatecznego wytłumaczenia.

I nagle zcląła sobie sprawę, że nikt, łącznie z nią samą, nie zainteresował się, kim jest nieżywa dziewczyna. Po prostu kolejna martwa dziwka, której tożsamość z trudem ustala, i bez wątpienia nie będzie to miało najmniejszego znaczenia. Tak wszyscy teraz uważają. Tak uważała i Reese, aż do tej chwili.

A zatem Reese zadała pytanie, nad którym nikt dotąd się nie zastanawiał.

- Jak ona się nazywa?

Już mówiłam - odparła Ingrid.

- Nie, ta, ta nieżywa, która tam leży. Jak się nazywała?

- One nigdy nie podają prawdziwych imion. Chyba wiesz o tym.

- Więc jakiego imienia używała?

- Nie wiem. Ja już tego nic słucham.

Pani Santerre, ta dziewczyna nie żyje. Jak miała na imię? Powiedziałam już, że nie wiem. Julie, może Jewel czy coś w tym rodzaju.

- Skąd się u państwa wzięła?

- To ja mam wiedzieć?

- Pani wie i powie mi.

- Mówię, że nie wiem.

Naprawdę? Pani mąż twierdzi, że pani wie. Że to pani chce, by je sprowadzać. - To nieprawda.

Rzeczywiście? Tamten pokój pełen jest detektywów, gotowych mu uwierzyć. Ale pani chce, bym uwierzyła, że pani nic wie, gdzie on je znajduje? Nie wierzę pani. Nic będę dłużej tracić czasu. Reese podniosła się i skierowała ku drzwiom.

- W hotelach - rzekła Ingrid. - Oczywiście nie w takich, w jakich my się zatrzymujemy. Nazywają się hotelami, ale w gruncie rzeczy to... Nie muszę pani mówić, co to za domy.

- Czy pani mąż jest właścicielem któregoś z nich, ma w nich udziały albo coś w tym rodzaju?

- Nie mam pojęcia. Nie opowiada mi o swoich sprawach.

- A pani nie pyta - rzekła Reese.

Rozległo się pukanie do drzwi. To był znowu Miller.

- Skończyli - powiedział. - Czas zabrać ją na dół. Reese skinęła głową, ale się nie poruszyła.

- Chcesz, żebym ja to zrobił? - zapytał.

Znowu skinęła głową. Potem patrzyła, jak pomógł Ingrid się podnieść, prawie przeniósł ją przez pokój, a potem już ich nic było. Sama też tu długo nie została, tylko chwilę, by mieć pewność, że ich nie zobaczy, gdy przejdzie do pokoju operacyjnego.

Kiedy znalazła się w większym pokoju, pospieszyła do swego krzesła, biurka, gdzie wszystko było znajome. Opadła na krzesło i tkwiła tam jeszcze, gdy otworzyły się drugie drzwi.

Wynurzył się zza nich tłum ludzi - najpierw grupka detektywów, potem Santerre, Cherney i Burns. Trzej ostatni wyglądali na usatysfakcjonowanych, jakby właśnie zakończyli kosztowny posiłek, a teraz trzymali w dłoniach kieliszki koniaku i cygara.

Reese patrzyła, jak przechodzą, Santerre skinął jej głową. Nie skwitowała tego w żaden sposób, ale czuła jego magnetyczną siłę, zbyt potężną, by ją całkowicie zlekceważyć. Odczuła też pokusę, by po prostu poddać się temu przyciąganiu. Wiedziała, że na krótką metę byłoby to łatwiejsze. Trudniej zrozumieć prawdę tego wszystkiego, rozplątać gmatwaninę, narastającą przez lata.

Gdy wyszli, podniosła się i przeszła do tamtego pokoju. Chciała spojrzeć na dziewczynę, by umocnić się w swoim postanowieniu, by przypomnieć sobie, dlaczego prawda ma znaczenie. Lecz ciało już zabrano. Reese usiadła więc w fotelu Santerre'a. Tam ją zastała Eleanor.

- Na razie ją tu zatrzymają - rzekła Eleanor. - Ale nie damy rady długo odwlekać badania. Oni zdecydowanie idą w tym kierunku.

- Może i jest trzepnięta. Chyba musi być, żeby wyczyniać takie rzeczy. Ciekawe, co robi z tego psychiatra. Biegły z ich listy plac.

- Tu ich możemy zaszachować. Oni podeślą swojego faceta, a my swojego. Kogoś wyrozumiałego. I dokładnego, niezwykle dokładnego. To spowolni sprawę.

- Kurczę, ja raczej nie jestem wyrozumiała. A on? Jest tak zadowolony z siebie, taki zadufany. Może ci dwoje są siebie warci?

- Ona jest warta tego drania?

A kto jest wart jej? Może ja? I jest jeszcze ta dziewczyna. Gwarancja wyroku za morderstwo pierwszego stopnia, ale nie mogę udawać, że jej nie ma. Ale ze mnie szczęściara!

- Już to słyszałam.

- Taak, taak.

- I wiem, co zrobisz. Zrobisz to, co zawsze. Zrobisz to, co należy. Dlatego dostałaś awans, zgadza się?

Lecz Reese nie odezwała się. Obie wiedziały, że wyższe stanowisko i będące jego konsekwencją przeniesienie do

śródmieścia Rcese otrzymała w niezwykle trudnych i mrocznych okolicznościach.

- Dlatego właśnie chciałaś dostać awans - szybko poprawiła się Eleanor.

- No i może będę chciała go zatrzymać - odparła Rcese.

Rozdział ósmy

Gdy Eleanor Coffey wyszła, Reesc posiedziała jeszcze chwilę na krześle Santerre'a, nim wróciła do siebie. Ponownie rzuciła okiem w kierunku gabinetu porucznika. Przez szklane ściany widziała, jak spokojnie załatwia papierkową robotę. Chcąc wiedzieć, na czym sama stoi i jakie jest jego stanowisko, podniosła się, przeszła przez pokój i zapukała do jego drzwi.

Harris skinął jej głową. Sprawiał wrażenie niespokojnego, jakby jej oczekiwał, lecz i trochę się obawiał - może chciał odłożyć tę rozmowę na później.

Reese weszła i przystanęła. Stała tak długo, aż w końcu musiał powiedzieć: „Proszę usiąść”.

Uśluchoła, ale nadal się nie odzywała, tylko mierzyła go wzrokiem.

- O co chodzi? - zapytał, a gdy nadal milczała, odezwał się: - O rany, jeżeli tak pani zaczyna, to się pewnie nasłucham.

Uśmiechnęła się mimo woli. Od razu polubiła Harrisa. Już przy pierwszym spotkaniu sprawiał wrażenie starego znajomego, życzliwego, wręcz godnego zaufania. Ciągle musiała sobie przypominać, że zna go stosunkowo od niedawna. Że właściwie wcale go nie zna. Że jest tylko jego podwładną od siedmiu miesięcy. I nieodmiennie zapominała, że choć ma dobrą intuicję, za którą zawsze chwala ją w pracy, niektórzy ludzie potrafią całkowicie wywieść ją w pole. Ludzie, którzy odwołują się do rzeczy tkwiących w niej od bardzo dawna, ustalonych, potrafią zakłócić jej zdolność oceny.

- No więc o co chodzi? - zapytał Harris. Wobec tego zaczęła:

- Pozwolimy, żeby to się tak skończyło?

- A może pani powiedzieć konkretniej?

- Niech pan da spokój, panie poruczniku, wszyscy stają przed nim na baczność, załatwiają, co sobie tylko życzy. Nikt nawet nie zapytał, czego dowiedzieliśmy się od żony.

- Więc czego się dowiedzieliście?

- To nie jest jego pierwsza ofiara.

- Tak powiedziała?

- Nie. Niezupełnie. W każdym razie jeszcze nie. Ale ona tego nie zrobiła i wszyscy dobrze o tym wiemy.

- A skąd my to wiemy? Kobieca intuicja?

Znowu się uśmiechnęła. W jego ustach brzmiało to jak komplement, nie docinek. - Panie poruczniku, chcę wiedzieć, co jest grane. Proszę mi przynajmniej powiedzieć, czy nic marnuję czasu.

- Zależy, jak go pani spędza. Nic na to nie odpowiedziała.

Odchylił się w krzesło, założył ręce za głowę, po czym rzekł:

- No dobrze, powiem pani, jak wygląda sytuacja. Dostałem telefon z miasta, i to zanim jeszcze was tam wszystkich posłałem. To znaczy, gdy tylko nazwisko tego człowieka padło w centrali, a gdy tam pada, włącza się alarm. Kiedy wy pojechaliście do Ascot Towers, ja siedziałem w jednym pokoju z grubymi rybami. Powiedzieli mi, jak to ma być rozegrane. I instruował mnie nie jakiś kapitan. Nawet nie inspektor. Sam szef tego całego cholernego wydziału. A Cherney? Nie miał dla mnie głowy, bo przez cały czas rozmawiał przez telefon z burmistrzem. Wyczuwa pani sprawę? Nadaża pani za mną?

Reese skinęła głową.

- Słyszała pani o INISCO?

- To jakaś fabryka leków, zgadza się?

Nic tylko leków. Wyroby chemiczne dla przemysłu, dla rolnictwa, najróżniejsze chemikalia.

- No i co?

- INISCO to Santerre.

Urwał. Reese czuła, że czeka, aż zaskoczy. Ale ona nie chciała mu odpuścić, uparcie powtarzała swoje „No i co?”

- To Santerre załatwia burmistrzom wybór na stanowisko. Burmistrzowie mianują szefów policji. Porucznicy pracują dla swoich szefów. O rany, Reese, pani nie muszę opowiadać, jak to działa.

- Nie, ale jeśli mówi mi pan, żebym siedziała cicho... Wiem tylko, że w pracy muszę się liczyć z pewnymi

ograniczeniami. Uzyskał nietykalność, zanim jeszcze o nią poprosił. Nikt z nas nie mógł nawet pisnąć. Ale jeżeli uważacie, że żona jest niewinna, udowodnijcie to. Jest pani przekonana, że Santerre ma już coś na sumieniu, to też udowodnijcie. Nie będę wam przeszkadzał. Możecie działać. - Znowu urwał, czekał, żeby się odezwała, lecz Reese uparcie milczała. Pochylił się ku niej. — Myśli pani, że dobrze się z tym czuję?

- Myślę, że nie.

- Ale uważa pani, że w sumie nie będę specjalnie się stawiał?

- Coś w tym rodzaju.

- Słuchaj, Reese, pozwolę tobie i Millerowi pracować nad tym tak ciężko, jak tylko chcecie. Możecie posunąć się tak daleko, jak uznacie za konieczne. Odciążę was nawet od innych spraw. Ale musi pani zrozumieć, że w tym wypadku sukces i porażka oznaczają mniej więcej to samo. I nie wiem, czy w razie czego uda mi się was osłonić. Santerre ma długie ręce, sięgające poza rogatki miasta. Miller też powinien o tym wiedzieć. Niech go pani zorientuje w sytuacji, zanim go pani w cokolwiek wciągnie. Mnie też proszę informować na bieżąco. Ale nikomu innemu ani słówka. Jasne?

- Tak.

I co pani teraz zamierza?

- Dorwać tę drugą dziewczynę. Mieszka niedaleko Santerre[^]. Chcę ją dopaść, a potem z nią pogadać.

- Dobrze, to mi wystarczy. Jeżeli będzie pani czegoś potrzebowała, niech to idzie przeze mnie. Wyłącznie przeze mnie. Nie idźcie na żadne skróty. Nie róbcie niczego na własną rękę.

- Tak jest.

Siedziała u niego jeszcze przez chwilę, aż w końcu powiedział:

- No to do roboty!

Wyszła zatem, by poszukać (Jusa Millera.

Znalazła partnera na dole, w podziemiu. Cała papierkowa robota została już wykonana, więc na widok Reese Miller zapytał:

- Co teraz?

- Poszukamy tej dziewczyny.

- Co?

- Tej, o której ci opowiadałam. O której ona ciągle wspominała. Tylko o niej chciała mówić. Może ta dziewczyna wypełni luki. On z tego wyjdzie bez względu na to, co zrobimy, więc musimy znaleźć coś jeszcze.

- Chwileczkę. Chcesz znaleźć jakąś dziewczynę i zrobić z tego zupełnie nową sprawę? Nie wiemy jeszcze, co się stało z tą.

- Co? Nagle zaczynasz rozumować tak jak wszyscy?

- Nie, nie o to mi chodzi. Uważam, że powinniśmy to wszystko uporządkować. Może nie dopuścić do tego, żeby żonę postawiono w stan oskarżenia.

- Widziałeś, kto tu był.

Właśnie, dlatego trzeba znaleźć coś, żeby nie była na straconej pozycji.

- O to mi właśnie chodzi. To jedyne wyjście.

- Jakaś dziewczyna?

- Właśnie, nie rozumiesz? Wykażemy, że już to kiedyś zrobił. Może nic raz. - I na czym się oprzemy? Na jakiej dziewczynie, na której adwokat w parę minut nie zostawi suchej nitki? Albo jeszcze lepiej, wyłączy ją ze sprawy? Nie lepiej, żebyśmy trzymali się tego, co mamy? Nieszczególnie to wygląda. Znaleźli kawałki paska w jej saszetce na kosmetyki i nóż, którym go pocięto.

- Och, czy to ma znaczyć...

- Nie, mówię tylko, jak to wygląda, jak oni to przedstawiają. Facet pomyślał o wszystkim.

- Jasne, ale nie rozumiesz? Możemy to wykorzystać. Miller nie odpowiedział. - Chcesz kawy? - zapytał w końcu.

- Nie. Chcę odnaleźć tę dziewczynę. Poświęćmy na to resztę dnia. Jeśli nic z tego nie wyjdzie, to trudno, ale musimy znaleźć dla niej jakieś wsparcie. - Więc jakaś dziewczyna, bez wątplenia jakaś dziwka, ma ją uwiarygodnić? Wspaniale, po prostu wspaniale.

- A jak chcesz to rozegrać? Siedzieć tu i czekać na wyniki z laboratorium? Albo przesłuchać ją jeszcze raz? Może gdzieś nas wcisną między psychiatrów, którzy ustawili się do niej

w kolejce? O, już wiem, dokładnie zbadamy miejsce zbrodni. Porozmawiamy z obsługą hotelową. Dowiedzmy się też, gdzie kupił futerał, jakby to miało jakieś znaczenie, skoro i tak zapewnił sobie nietykalność.

- Chwileczkę, za kogo ty mnie masz? - oburzył się Miller. — Usiłuję ci tylko wytłumaczyć, że wszystko, co znajdziemy, mogą wyrzucić na śmietnik.

- Ale może chociaż spróbujemy?

- Nie o to chodzi... może szczegóły zostawimy... Widziałaś, jak ci faceci się tu zachowywali. Chcesz, żeby oni prowadzili tę sprawę?

- Nie, ale jeśli będziemy się tylko tego trzymać... Sprawa już jest załatwiona. Oni właśnie na to liczą. Że będziemy trzymać się tego jednego tropu. Zrobimy trzy kroki. Musimy zejść ich od innej strony.

- Umiesz czytać w myślach?

Nie, po prostu chcę ją znaleźć. Znaleźć coś, czego się nie spodziewają.

- Już podjęłaś decyzję.

- To kwestia tylko jednego popołudnia.

- Czy wiesz chociaż, gdzie ona mieszka? Może być na drugim końcu kraju. Albo w ogóle wyjechała.

- Nie, mieszka tu. Żona podała mi adres. No chodź, pogrzebmy w tym trochę. Poszukajmy chociaż jej nazwiska. Zobaczymy, co znajdziemy.

Zrobili tak, ale niczego nie znaleźli, prócz oficjalnych wpisów z przedmieść. Nic więcej. Nic z całych siedmiu lat. Nieznalezienie niczego nie zabrało im wiele czasu.

- Zadowolona? - zapytał Miller, rzucając wydruki na biurka.

- No to jedziemy tam.

- Naprawdę uważasz, że ona ciągle mieszka w tym samym miejscu?

- Tak twierdzi żona. Miller ujął słuchawkę.

- Przekonajmy się, co wie miejscowa policja.

- Nie - rzekła Reesc.

- Dlaczego nie?

- Tylko dasz im cynk. Skoro tutaj ma takie dojścia, wyobraź sobie, jak muszą kolo niego skakać tam, gdzie mieszka. Chcesz, by się dowiedzieli, że tam weszemy?

Odłożył słuchawkę.

- Więc co proponujesz?

- Wsiadajmy do samochodu.

- I pewnie będziesz chciała też prowadzić? - podsunął Miller, lecz tym razem uśmiechał się do niej.

Rozdział dziewiąty

Jazda do Westchester, do Bedford, zabrała im mniej niż godzinę. Samo miasteczko nie robiło najmniejszego wrażenia. Zapytali o drogę na stacji benzynowej. Kierując się wskazówkami jej pracownika, wplątali się w labirynt bitych dróg, gdzieniegdzie tylko wykładanych płytami. Domy były słabo widoczne; stały z dala od drogi, skryte za drzewami lub wysokimi żywopłotami, niektóre otaczał mur.

Czołgali się po tych drogach, skręcając nie tam, gdzie trzeba, cofając się, dosłownie krążąc w kółko, aż znaleźli ten niewielki budynek. Można by go uznać za domek letniskowy. On również stał z dala od ulicy. Żwir na podjeździe skrzypiał pod kołami, oznajmiając ich przybycie, zdaniem Reese, nieco zbyt głośno.

Nie spodziewała się czegoś takiego. Miała nadzieję, że podjadą pod blok mieszkalny. Anonimowe drzwi i korytarze pozwoliłyby im wykorzystać element zaskoczenia.

Myślisz, że w ogóle jest w domu? - odezwał się Miller stłumionym głosem. Drogi, całe miasteczko miało na nich taki wpływ. Już od jakiegoś czasu rozmawiali szeptem. Nawet gdy omijali jakiś zakręt albo mylili numery domów, klęli pod nosem. Toteż Reese odszepnęła:

— Przecież stoi samochód.

i rzeczywiście stał. Drogi, ale nie rzucający się w oczy, na podjeździe tuż przed garażem.

Co to takiego? - zapytał Miller, bo z nich dwojga to Reese znała się na samochodach.

- Nie pamiętam marki. Jakiś francuski. Nie widziałam ich od jakiegoś czasu.

Zaparkowali swój kanciasty amerykański wóz obok niego. Wsiadali powoli, ostrożnie. Dokoła panowała taka cisza i spokój, że było to niepokojące. Reese czuła się jak intruz. Rzucała spojrzenia na samochody, Millera, domek. Zdała sobie sprawę, że tak go nazywa dlatego, iż został zbudowany z kamienia i drewna, nie ze względu na wielkość.

- Citroen - powiedziała, gdy podchodzili do drzwi.

- Co?

- Samochód, właśnie sobie przypomniałam. - Aha.

To Miller nacisnął na dzwonek. Nic nie usłyszeli w odpowiedzi. Reese zadzwoniła ponownie, lecz nadal bez skutku. Stała w miejscu, a tymczasem Miller odszedł kawałek, skierował się w lewo, usiłując zajrzeć przez okno. Reese zaczęła stukać.

W końcu usłyszeli kroki, nie pośpieszną dreptaninę, jakby się można było spodziewać, lecz wolne i zdecydowane stąpanie. Miller odskoczył od okna.

- Coś tu idzie - rzekł, nerwowo śmiejąc się zbyt głośno. Reese lekko skinęła głową, prawie nie skwitowawszy jego

słów. Potem przez ciężkie drewniane drzwi dotarł do nich głos, najwyraźniej kobiecy, choć głęboki, pytający po prostu:

- Kto tam?

- Pani Carver? - zapytała Reese. -- Kto tam?

Reese była zaskoczona. Uświadomiła sobie, że spodziewała się głosiku, w którym dźwięczałaby słabość.

- Pani Carver, tu detektywi Reese i Miller z policji.

- Czego chcecie?

Głos opadł jeszcze o ton niżej.

Pani Carver, proszę otworzyć drzwi, a wszystko pani opowiemy.

- Macie nakaz?

- Nie, nie, to nie o to chodzi. Potrzebujemy tylko paru informacji. - Reese urwała, wahając się, czy powiedzieć, z czym przyszła, czy też pogorszyłoby to tylko sytuację.

- Ja nic nie wiem — odezwała się Carver. Nie macie tu czego...

Reese przerwała jej.

- Pani Carver, zna pani niejaką Ingrid Santerre? Zapadła cisza, która trwała tak długo, że Reese zaczęła się

zastanawiać, czy się nie przeliczyła. Ale wówczas otworzyły się drzwi. Stała w nich wysoka kobieta, znowu nie taka, jakiej Reese się spodziewała. Oczekiwała, że ujrzy dziecko, nastolatkę, nie tę imponującą postać. Musiała sobie przypomnieć o wieku Carver. O tym, że stojąca przed nią kobieta nie może mieć więcej niż dwadzieścia lat - że jest jeszcze dziewczyną, czy też niedawno nią była. Reese uświadomiła też sobie, że spodziewała się ujrzyć istotę podobną do tej, która leżała na stole, zamknięta w futerale. Tymczasem Carver wzbudzała onieśmienie. Sprawiała wrażenie nieporuszonej. Niemniej drzwi były otwarte. Możemy wejść?

Jak chcecie - rzekła Carver, odsuwając się na bok, by ich przepuścić.

Reese weszła, za nią podążał Gus. Carver zaprowadziła ich do saloniku, urządzonego prosto, ale i kosztownie. Sama kobieta ubrana była też w ten sposób - prosto, w znoszone dżinsy i męską koszulę, lecz koszula była elegancka. Również buty zwróciły uwagę Reese - skórzane, ciemnobrązowe, prawdopodobnie włoskie. Wyglądały na miękkie i wygodne, podobnie jak kanapa, na której Carver wskazała im miejsca. Zapadli się w nią. Carver usiadła na stojącym w pobliżu krześle i czekała.

Reese napotkała spojrzenie ciemnych oczu kobiety, takich jak Santerre'a, jak Ingrid. Włosy też miała podobne do Ingrid. To podobieństwo obu kobiet nie zdziwiło szczególnie Reese. Wydawało się jej całkiem logiczne.

Carver przerwała jej rozmyślenia.

- No więc o co chodzi? - spytała niecierpliwie. Reese zaczęła powoli, by uspokoić kobietę.

- Potrzebujemy pani pomocy. Zwłaszcza potrzebuje jej pani Santerre.

- Tak? Słucham.

Aresztowano ją pod zarzutem morderstwa, ale uważamy, że to nie ona jest winna. Jej mąż... Zna pani jej męża? Znałam go.

- Uważamy, że to jego sprawka.

- A co to ma wspólnego ze mną?
- Sądzimy, że może nam pani pomóc. W jaki sposób?
- Zna ją pani.
- Kiedyś ją znałam.
- Więc nie widziała jej pani, odkąd...
- Odkąd co?
- Opowiadała mi trochę o pani. Wiele o pani mówi.
- Naprawdę? - Jej głos lekko zadrżał. Zaczynała wymiękać. Reese posuwała się bardzo ostrożnie.
- Tak, mówi o pani.
- A co takiego? - Głos Carver znowu zabrzmiał twardo. Już zdążyła wrócić do siebie.

Reese się nie poddawała. Nie umiała odpowiedzieć na to pytanie, toteż zrobiła unik:

- Wspomnienia. Tak to chyba można nazwać.

W tym momencie w głosie Carver pojawiła się nuta sarkazmu.

- Ładne słowo na określenie takiego ohydztwa. Pani je wymyśliła czy ona?

Chyba ja - odparła Reese. - Ale jeśli się pani nie podoba, może mi pani opowie, co się naprawdę zdarzyło.

Przyszła kolej na Millera. Stał teraz, opierając rękę na krześle Carver, i ryczał jej prosto w twarz:

- Ej, ty, skończ z tym zawracaniem głowy i opowiedz nam, jak to byto. Carver, nie zwracając na niego uwagi, wpatrywała się w Reese.
- Naprawdę pani na tym zależy? Reese skinęła głową.
- To niech on się wynosi z mojego domu.

Nie odrywając wzroku od oczu Carver, Reese gestem nakazała Gusowi, by usłuchał. Odszedł niechętnie.

Obie kobiety czekały, aż drzwi otworzą się, a potem zamkną. Gdy Gusa już nie było, Reese powiedziała łagodnie:

Teraz jesteśmy tylko we dwie. Możesz mi powiedzieć, Nino. - Celowo nazwała ją tym imieniem, ciekawa, jakie to zrobi wrażenie na dziewczynie.

Carver podniosła się na nogi.

Uważa mnie pani za idiotkę?

- Absolutnie nie.

- Myśli pani, że wystarczy byle sztuczka, by mnie oszołomić, wyrwać z pamięci stosowny kawałek? Tak to sobie pani wymyśliła. No to skucha. Od razu mogę to pani powiedzieć.

Reese siedziała cierpliwie, pozwoliła dziewczynie wymyślać i miotać się, aż do zupełnego wyczerpania. Carver przestała ciskać się po pokoju i usiadła, o dziwo, obok Reese na kanapie.

Reese odczekała jeszcze chwilę, po czym odezwała się:

- Chodzi tylko o to, że ona ciebie tak nazywa. Nadal tak cię nazywa. Nigdy nic użyła twego prawdziwego imienia, toteż zaczęłam myśleć o tobie jako o Ninie. To tyle. Żadnych sztuczek skłamała.

- A o co pani chodzi? - spytała Carver głosem, który przypominał Reese, jak młoda jest ta dziewczyna.

Chcę, żebyś mi powiedziała, co ci zrobili. Carver podniosła się.

- Pokażę pani, co zrobili.

Wyciągnęła koszulę ze spodni i odpięła parę guzików na dole. Potem rozpięła kilka górnych guzików dzinsów.

Reese siedziała nieruchomo. Miała przed oczami szeroką bliznę, jakby ciało rozcięto za jednym zamachem. Widać rękę zawodowca, choć nie lekarza. Reese była tak oniemiała, że omal nie dotknęła blizny. Opanowała się jednak i zapytała tylko:

- Oni ci to zrobili?

- W pewnym sensie.

- Ona to zrobiła?

- On nagrał tę robotę. Osobiście by się w tym nie babrał.

- A ona?

- Ona nigdy... nigdy tego nie robi, prawda? Pewnie dlatego pani tu jest.

- Nigdy czego nie robi?

- Nigdy me przeszkadza mężowi w jego draństwach. Reese nie odrywała wzroku od blizny, lecz ostatnie słowa

Carver bijąca z nich bezwzględność, brutalny ton kazały Reese spojrzeć w oczy dziewczyny. Ujrzała w nich tylko smutek.

Carver odwróciła się. Wcisnęła koszulę w dzinsy i zapięła je. Teraz sprawiała wrażenie nieśmiałej, skromnej, może nawet zażenowanej.

Odezwała się, ciągle odwrócona tyłem do Reese.

Chyba się pani orientuje, jak... jak zarabiam na życie.

- Domyślam się.

- Rozumie więc pani, że coś takiego przeszkadza. Sprytne, nie uważa pani? Bardzo sprytne,

- Nie - rzekła Reese. - Chyba słowo, którego przedtem użyłaś, było trafniejsze.

W tym momencie Carver odwróciła się. Stojąc twarzą do Reese, spytała:

- Jakie słowo? Ohydztwo.

Reese widziała, jak wyraz twarzy Carver zmienia się, jak miękkie rysy tężeją i nabierają twardości. Czekala, co Carver powie i jakim tonem.

- Cóż, taką mam robotę, no nie? - Z początku mówiła urywanym głosem, lecz później dodała szorstko: - I jestem w tym całkiem niezła.

- W ten sposób opłacasz to wszystko? — spytała Reese tonem leniwym, neutralnym.

Carver nie odpowiedziała. Znowu wydawała się zmęczona, lecz nadal stała.

~ Pokazać pani drogę do drzwi czy sama pani trafi?

Ale Reese nie poruszyła się. Musi z niej wydobyć jeszcze jedną rzecz.

- Nie wyglądałaś na zdziwioną.

- Co?

- Kiedy ci powiedziałam, że panią Santerre aresztowano za morderstwo. Wcale się nie wydawałaś tym zdziwiona.

- Mało co może mnie zdziwić, zwłaszcza jeśli chodzi o tę kobietę.

- Ale nie uważasz, że to ona zrobiła. Tak przynajmniej powiedziałaś.

- Naprawdę?

- Czy on już to kiedyś zrobił?

- Czy nie powinna pani jej o to zapytać? Albo jego?

- Nino, pytam ciebie.

Nazwanie ją tym imieniem odniosło skutek, ale tym razem inny.

- Pokazałam już pani, do czego on jest zdolny - powiedziała Carver drżącym głosem.

- Ale, Nino, czy robił to już wcześniej? Wiesz coś o tym? Dźwięk tego imienia znowu poruszył w niej czułą strunę.

- Wiem tylko o jednej, i to tyle, ile sama mi powiedziała - odparła, starając się opanować drżenie. Nie nazywacie tego plotkami?

- Ale mogą być inne?

- Jak już mówiłam, nic mnie nie zdziwi. A ta, o której wiesz?

- Niech pani ją zapyta. - I z tymi słowy Carver zamknęła się w sobie tak całkowicie, że Reese nie miała już tu czego szukać, w każdym razie nic w tej chwili.

- Bardzo mi pani pomogła, pani Carver.

- Naprawdę? - szczerze spytała kobieta, po czym odprowadziła Reese do drzwi.

Rozdział dziesiąty

Gdy Reese wyszła, Gus czekał na nią przed domem, oparty o samochód. Znudzony, palcem u nogi złobił ścieżki w żwirze. Ujrawszy współniczkę, podniósł głowę i pomachał do niej.

- Mam tu ładny gips rzekł, zmierzając w kierunku samochodu Carver. Reese dołączyła do niego.

- Jak na dłoni oświadczył, wskazując na dywanik w samochodzie.

Wyglądała spod niego strzykawka.

- I mamy powód - dodał.

- Nasze prawo tu nie sięga - skwitowała, patrząc, jak nagle ogarnia go zniechęcenie.

- Ale i tak możemy to wykorzystać. Trochę ją postraszyć.

- Trzeba znacznie więcej, żeby się złąkla. - Wręczyła mu kluczyki ze słowami: - Chodź, zabieramy się stąd.

Gdy znaleźli się z powrotem w samochodzie, na bitych drogach, Miller zapytał:

- No więc?

- Co? - zdziwiła się Reese, zatopiona w myślach.

- Czego się dowiedziałas?

- Powiedziała, że była jeszcze jedna. Że żona mówiła jej o jeszcze jednej.

- A kto to?

- Na razie nie wtem. Gus, nic powiedziałam ci o czymś. Powinieneś o tym wiedzieć.

- Słucham.

Porucznik przestrzegał, że to się może dla nas źle skończyć. Powinam ci była o tym powiedzieć, zanim tu przyjechaliśmy.

- Myślisz, że o tym nie wiem? Że nie widzę, jak usiłują wszystko zachachmęcić?

- A jeśli wylądujesz na bruku? Bez emerytury? Jako ochroniarz w jakimś supermarkecie?

- To się zdarza najlepszym. I najgorszym chyba też.

- Więc idziemy ręka w rękę? Naprawdę? Niezależnie od tego, czy marnie skończymy? - Tak, wiem, w co się pakuję.

- Na pewno?

- Absolutnie.

Aż do autostrady jechali w milczeniu.

- Nasi ludzie powinni ją śledzić. Nie spuszczać z niej oka. I założyć podsłuch.

- Dlaczego? Co z niej jeszcze wyciągnęłaś?

- Kazał ją paskudnie pociąć.

Więc boisz się o nią czy ją podejrzewasz?

- Jedno i drugie. Nic chcę, żeby dziewczyna, która przeżyła tak długo, zginęła podczas mojej sprawy. A ona nie będzie chętnie i bez kłopotów współpracować. Musimy coś na nią mieć.

- I ja mam się tym zająć?

- Tak, ale niech to idzie przez porucznika. Wszystko ma przez niego przechodzić. Nikomu innemu nic nie mówimy.

Miller tylko cicho gwizdnął. Przypomniało to Reese o zwło-

kach. Usiłowała otrząsnąć się z tego obrazu, ale to, co powiedział jej partner, było chyba jeszcze gorsze.

- Uważasz, że porucznik jest w porządku?

- Musimy mieć nadzieję, że tak.

- Ale może nie powinniśmy specjalnie na to liczyć. Znowu zamilkli.

Gdy dojechali do autostrady West Side,

Miller odezwał się:

Może należy śledzić ją prywatnie.

- Co ci przyszło do głowy? Myślisz już o swojej przyszłości?

- Poważnie powiedział. - Mnóstwo facetów pracuje na czarno.

Możemy nawet znaleźć kogoś, kto zna tę okolicę, a nikt o nim nie wie.

- Tak uważasz?

- W każdym razie mogę się zorientować.

- Zorientuj się, i to szybko. Jeżeli ona zrobi jakiś ruch, to pewnie zaraz.

I chcę też wiedzieć, do kogo dzwoni.

- No więc znajdę kogoś.

- Dziś wieczór?

- No dobrze, może być na dziś wieczór.

- I załatwisz to z porucznikiem?

- Taak, szefie.

Aha, i powinniśmy sprawdzić te niby-hotele. Te, z których wziął dziewczynę. Założę się, że robi na którymś z nich niezłe pieniądze. Jego żona powiedziała, że denatka nazywa się Julie czy Jewel. Zobaczymy, co nam to da.

- Słuchaj, jestem sam jeden.

- Dobrze, to może jutro. Hej, skręć tutaj.

- Co?

- Pojedź Dziewięćdziesiątą Szóstą, dobrze? Przez Piątą Aleję. Chcę sprawdzić, co ziałała Eleanor. Dowiedzieć się, co się dzieje. Możesz mnie tu zostawić?

- Owszem, ale to cholerny kawał drogi do śródmieścia.

- Muszę pójść do jej mieszkania. Za późno, żeby iść do biura.

- W ogóle robi się późno - zauważył.

Miller podwiózł Reese pod dom Eleanor Coffey. Nie odwiedzała przyjaciółki już od jakiegoś czasu. Gdy Eleanor

pracowała w biurze prokuratora okręgowego, Reese ciągle tu wpadała. Teraz czuła się trochę nieswojo, powracając znowu, więc przed wejściem postąpiła chwilę na chodniku.

Odźwierny jeszcze pamiętał Reese. Gestem zaprosił ją do wejścia, nie dzwoniąc do mieszkania Eleanor. W windzie wyjęła pęk kluczy i oddzieliła klucz do mieszkania Eleanor od reszty. Obie kobiety spędzały wówczas ze sobą tyle godzin, pracując do późna w nocy, albo tutaj, albo u Reese, że w końcu wymieniły się kluczami. Reese tęskniła za tamtymi czasami.

Dziś wieczorem, gdy winda otworzyła się w holu prowadzącym tylko do mieszkania Eleanor i Reese stanęła przed tymi jedynymi drzwiami, żałowała, że odźwierny nie uprzedził o jej przybyciu. Stała tak przez chwilę, czując się niezręcznie, po czym nacisnęła dzwonek.

Z ulgą usłyszała szelest kroków, a potem głos Eleanor:

- Już otwieram.

- Caroline? - powiedziała w drzwiach.

- Przychodzę nie w porę?

- Nic, nie. Po prostu zaskoczyłaś mnie.

- Wpadłam tylko na chwilę. Chciałam się dowiedzieć, czy coś się wydarzyło.

- Taak, a gdzie wyście się we dwoje podziewali? Nie mogłam złapać żadnego z was i nikt nie wiedział, gdzie przepadliście. Powiedziano mi, że wasze radio nie odpowiada. Czy glin nie obowiązują żadne przepisy na ten temat?

- Porucznik kazał nam zrobić coś po cichu.

- Pzypuszczam, że to był jego pomysł. Reese nadal stała w holu.

Mogę wejść, czy przestoimy tutaj całą noc? zagadnęła, by uniknąć odpowiedzi na pytanie Eleanor. Rób, jak chcesz. Zawsze tak robisz. Może zaproponowałabyś mi coś do picia?

- Dobrze. A potem opowiesz mi, co wyprawialiście?

- Jasne - obiecała Reese, podchodząc do kanapy. Opadła na nią i czekała. Rozglądała się po pokoju, sprawdzając, czy zaszły tu jakieś zmiany, jednocześnie nasłuchiwała znajomych dźwięków Eleanor przygotowującej drinki.

Potem gospodyni przyniosła dwie ciężkie szklanice i, wrę-

czywszy jedną Reese, usiadła obok niej. Reese pociągnęła spory łyk, po czym odstawiła szklanę.

- Pojechaliśmy do tej dziewczyny.

- Do denatki?

- Nie, do Niny. Pamiętasz? Ingrid Santerre wspominała

0 niej kilkakrotnie.

- Nie bardzo kojarzę. I co z nią?

- Ingrid ją wydała. Zanim ty dojechałaś.

- Więc do czego zmierzasz?

- Chcę mieć jeszcze coś na niego. Zważywszy, że ta sprawa jest praktycznie skończona. Nie mówiłam ci tego wszystkiego?

- Nie.

- Ale to się trzyma kupy, nie uważasz? - rzekła Reese, usiłując powściągnąć zniecierpliwienie. Znużyło ją przekazywanie informacji. Chciała, by ludzie sami się wszystkiego domyślali, a przynajmniej Rleanor. - Nie uważasz? powtórzyła. - Zależy, co masz albo kogo.

- Ta Nina, czyli Carver, bo tak się naprawdę nazywa, mówiła, że żona opowiedziała jej o jeszcze jednym morderstwie. Musiało do niego dojść przed wieloma laty.

- I?

- To wszystko, co mam. I to, że Santerre ją pociął, kazał ją pociąć. Pokazała mi bliznę. W życiu nie widziałam paskudniej szej.

- To jeszcze nie dowód, że on to zrobił.

- Wiem, ale ja jej wierzę.

- Taak, ale kto jeszcze?

- Może nie jej samej, ale im obu. Jej i żonie. Jeden plus jeden równa się jeden. Nie uważasz?

- Możliwe. Jeśli będziesz mogła poprzeć czymś solidnym.

- W tej sprawie coś śmierdzi. Chcieliśmy sprawdzić Carver, ale jej akta są niedostępne. - Skoro była nieletnia. Nic w tym niezwykłego. Do diabła, to norma. - Przestań przez chwilę odgrywać przede mną prawnika i powiedz mi, co o tym sądzisz.

- Nie, co ty o tym sądzisz?

- Uważam, że to jedyny sposób, żeby go przygwoździć.

- A ona? To znaczy żona?

Wywinie się z tego przy okazji. - Reese znowu wzięła do ręki szklanekę. - A, nawiasem mówiąc, gdzie ona jest?

- Tam, gdzie ją zostawiłaś. Mówiłam ci, że na razie opóźniłam wysłanie jej do pudła. Ale nie wiem, czy mi się to uda przedłużyć jeszcze choćby przez jutrzejszy dzień.

- A Santerre?

- Z tego, co wiem, wyleguje się w domu. Nie mogłam niczego wydobyć z waszych ludzi. Nie wiem nawet, czy mają na niego oko.

- A badania lekarskie?

- Odłożone. Ale to nie moja zasługa. Prawdopodobnie wydaje im się, że im dłużej posiedzi, tym bardziej będzie wyglądała na wariatkę. Z tym że to tylko domysły.

- Widziałaś się z nią jeszcze raz?

- Nie. Mam parę innych spraw.

- Tak tylko pytałam. No, pora się zbierać...

- Wiesz, muszę być jutro w sądzie, więc...

Ach, któryś z twoich nowych klientów w potrzebie - docięła jej Reese. PepsiCo? Czy tym razem jakiś prywatny magnat?

- Nie mam zamiaru po raz kolejny bronić swojej decyzji - zastrzegła się Eleanor, po czym i tak zaczęła to robić: -Czy znacząco przyczyniałam się do lepszego funkcjonowania posterunku? Albo urzędu prokuratorskiego? Nie mam zamiaru przeproszać za to, że rzuciłam system, który tak ci się podoba.

- Nie, dlaczego? Skoro możesz tarzać się w zbytku? Wrócić do kolebki? To był cios poniżej pasa i obie o tym wiedziały. Eleanor nigdzie nie mogła znaleźć sobie miejsca. Nie była dość czarna, a na pewno nie miała białej skóry. Pochodziła z kręgów bardzo uprzywilejowanych, lecz to nie dawało jej wstępu do najlepszych sfer. Tam jej nie chciano. W zarezerwowanych dla innych miejscach nie miała prawa się pokazywać. I nic tu nie pomogło ukończenie najlepszego wydziału prawa ani wyniki studiów. Żadne osiągnięcia nie mogły otworzyć upragnionych drzwi. A więc tułała się na obrzeżach, gdzie również nie została zaakceptowana, co bolało jeszcze bardziej.

Przepraszam powiedziała Reese i rzeczywiście było jej przykro. Nie chciała otwierać starej rany.

Eleanor w istocie nie przyjęła przeprosin. Zlekceważyła je, mówiąc:

- Więc gdzie jutro będziesz?

- Chyba z powrotem na przedmieściu.

- Zrobię, co się da, żeby tę sprawę spowolnić, ale lepiej daj mi coś konkretnego, i to szybko.

Reese odstawiła szklanekę i podniosła się. Zmierzając ku drzwiom, skinęła Eleanor.

- Caroline! - krzyknęła za nią Eleanor.

Tak, tak, dam ci coś, w co będziesz mogła wbić zęby - rzuciła przez ramię. A potem wyszła i zniknęła.

Rozdział jedenasty

Ingrid spędziła te godziny, miotając się między niedowierzaniem i aż zbyt ostrą oceną swej sytuacji. Fizycznie jej ciało pozostawało w spokoju. To umysł podlegał gwałtownym zwrotom. Trochę się ruszała. Pozwolono jej wziąć prysznic, zmienić ubranie. Przebrali ją w luźne więzienne łachy i płócienne, cienkie kaptcie.

Zmiana ubrania przepełniła miarę. Odkąd tu się znalazła, miała kilka pobożnych życzeń. Ale coraz trudniej przychodziło jej zatapianie się w marzeniach. Usiłowała zasnąć, ale ciągle się budziła, sen był zbyt płytki, by przynieść wytchnienie lub by zapomniała w nim o rzeczywistości. Teraz skuliła się w rogu łóżka, jeśli można je tak nazwać. Otuliła się kocem, niczym szalem, byleby nie dotknąć ścian.

Nie zawracała sobie głowy poważnymi sprawami. Takie słowa jak „wolność” nic dla niej nie znaczyły. Z tym że, naturalnie, nie wiedziała wiele o wolności, nigdy nie zaznawszy jej smaku. Panowanie nad sobą czy otoczeniem też stanowiło dla niej obce pojęcie - zupełnie nie leżało w jej charakterze. A choć niekiedy w jakimś stopniu jej się to udawało, bywały długie okresy, gdy nic panowała nad nikim ani nad niczym.

Zajmowały ją drobiazgi, szczegóły, gdyż dotychczasowe życie, choć trudne, nie przygotowało jej do nędzy ani przebywania w tak małym pomieszczeniu.

Nie lubiła nosić ubrań, które już ktoś wcześniej miał na sobie. Brakowało jej własnych przyborów, wstrętem przejmował ją wspólny prysznic, mycie włosów tym samym, śmierdzącym mydłem, którym myła ciało i twarz. Nie podobało jej się też, że mydło wydzielala strażniczka, która wykonywała swe obowiązki z wyraźnym zadowoleniem.

Niechętnie też wracała do celi z mokrymi włosami. I teraz, choć minęło całe popołudnie, a nawet dłużej, nadal nie zdążyły wyschnąć. Chyba z tego powodu nie mogła się rozgrzać. Toteż kulila się i od czasu do czasu jej ciałem wstrząsało drzenie, choć wcale nie zauważała tych bezwiednych ruchów. Mimo że całe lata spędziła na fantazjowaniu, nigdy nie przyszło jej do głowy, że może ją spotkać coś takiego. Nie wyobrażała sobie, że mogłaby wytrzymać choć kilka godzin w podobnych warunkach. A jednak wytrzymywała, choć dech w niej zapało i z trudem chwytala powietrze.

Nikt jej nie odwiedził. Spodziewala się wciąż innych gości, w miarę jak czas upływał, i prawdopodobieństwo, że ktokolwiek się u niej pojawi, stawało się coraz bardziej odlegle. Początkowo miała nadzieję, że przyjdzie mąż. A przynajmniej Tommy.

Gdy spędziła całe popołudnie, nie widząc żywego ducha, zaczęła pragnąć zamiast wyczekiwać. Jej pragnienia zdumiały ją samą. Aż nazbyt często pojawiała się w jej myślach ta policjantka i, nieco rzadziej, prawniczka.

Teraz, gdy minął już wieczór, porzuciła nawet te marzenia. Skuliła się w kącie, nie bardzo wiedząc, co się z nią dzieje, i czekała.

Przed domem Eleanor Reese złapała taksówkę. Podała adres posterunku, choć chciała po prostu wrócić do domu. Omal nie kazała kierowcy zmienić kursu, lecz się powstrzymała. Wiedziała, że nie zaśnie, póki nie uzyska więcej informacji.

W czasie jazdy klęła się w duchu za to, co powiedziała Eleanor. Reese wciągnęła ją w to, ponieważ jej potrzebowała. Potrzebowała kogoś spoza systemu, ale kto znalazłby go na wylot, i to z obu stron. Eleanor wyświadczała jej ogromną przysługę. Reese była zbyt zajęta, by pomyśleć, co ponowne przemierzanie tych korytarzy będzie oznaczało dla Eleanor.

Dawniej Reese bardziej się tu podobało. Zaprzyjaźniły się, gdy Eleanor była jeszcze policjantką. Kiedy przeszła do biura prokuratora okręgowego, stworzyły wspaniały zespół. Dla Reese Eleanor stała się właściwą osobą na właściwym miejscu - kimś, kto popychał sprawy, i to w należytych kierunku. Idealna sytuacja dla detektywa. Toteż nie widziała - nie chciała widzieć — że dla Eleanor to był koszmar. Że ją to zżera, męczy, że ma tego po uszy.

I wtedy Eleanor oznajmiła, że odchodzi. Że idzie do dużej firmy. Ta wiadomość spadła na Reese za ledwie w miesiąc po otrzymaniu awansu i przeniesienia. Nie mogła się z tym pogodzić, zwłaszcza nie wtedy. Dopiero co skończył się jej własny koszmar — całe to bagno, przez które Eleanor pomogła jej przebrnąć. Wówczas zaczęły toczyć ze sobą zacięte boje. Reese oskarżyła Eleanor, że się sprzedaje. A gdy to nie poskutkowało, próbowała wszystkiego, chwytając się wszelkich sposobów, by nie puścić Eleanor, byleby zatrzymać ją tam, gdzie jej potrzebowała. I, podobnie jak dzisiaj, zniżyła się do tego, że uderzała przyjaciółkę w najboleśniejsze miejsce. Postępowała tak ciągle, choć bezsprzecznie nie sprawiało jej to najmniejszej przyjemności.

Reese doskonale wiedziała, że ściągnęła Eleanor nie tylko po to, by pomogła jej przy tej sprawie. Choć właśnie ta sprawa, coś kryjącego się w niej kazały policjantce zadzwonić do Eleanor. Prowadziła już niejedno dochodzenie, przy którym chciała skorzystać ze współpracy z przyjaciółką, lecz zdołała się powstrzymać. Tym razem prawie się nie wahała. Gdy tylko usiadła naprzeciw Ingrid, poczuła ten przeciwprąd. Widziała niemal, jak na nią napiera, i odpychała go, jak mogła. To wrażenie wciągania znała aż nadto dobrze. I wiedziała, że z tego powodu nie obejdzie się bez pomocy Eleanor.

Reese uświadamiała sobie też, że ta potrzeba wywołuje w niej gniew. Wiedziała bowiem, że Eleanor pomoże jej przedostać się pod prąd. Pragnęła, by przyjaciółka pchnęła ją ku prądowi, weń i pod niego, gdyż z przykrością przekonała się, że to jedyny sposób, by się go pozbyć, choćby tylko na jakiś czas. Zdawała się na Eleanor teraz, podobnie jak i wówczas, podczas tamtej wstrętnej historii, by uratowała ją przed utonięciem.

Gdy taksówka zajęła przed komisariat, Reese otrząsnęła się z tych myśli. Powoli zapłaciła, powoli wysiadła. Ale gdy już znalazła się w środku, zeszła od razu na dół, energicznie przeszła obok biurka, cel, minęła róg i weszła w boczną uliczkę - tak zawsze nazywała ten korytarz.

Zwolniła nieco - tu już eskortowała ją strażniczka. Sufit i ściany pomalowane były na żółto, w odcieniu, który wydawał się wyblakły, zanim jeszcze wiek i brud odcisnęły na nim swoje piętno. Odrutowane żarówki rzuciły jaskrawe światło. Same cele, pozbawione oświetlenia, stanowiły ciemne prostokąty.

Szybko znalazła Ingrid. Tylko ona jedna stała, z rękoma zwisającymi po bokach i twarzą tuż przy kratkach, choć ich nie dotykała. Przeszła z nogi na nogę, jakby pragnęła uniknąć kontaktu również z podłogą. W podobnie rwącym się rytmie zaczerpywała powietrza.

Sprawiała wrażenie, jakby nie zauważała Reese ani niczego ze swego otoczenia. Dopiero gdy policjantka stanęła tuż nad nią, dostrzegła zmianę w wyrazie twarzy kobiety.

- Nie poszła pani do domu? - zapytała Ingrid. Muszę panią o coś zapytać.

- Ach tak. Znowu pytania. Ingrid lekko odwróciła głowę.

- Widziałam się z Niną - zaatakowała od razu Reese. Usłyszawszy to, Ingrid spojrzała jej w twarz.

I? - rzekła tylko.

- Jest dość niezwykła.

- Chyba można tak to ująć.

- Myślę, że chce pani pomóc. Ingrid cofnęła się w głąb cci.

- Bardzo wątpię — powiedziała.

- Nie, myślę, że naprawdę chce. Zbajerowała panią? A może oczarowała?

- Ingrid — rzekła Reese, nakazując gestem strażniczce, by otworzyła drzwi celi. Gdy weszła, zrównoważyła fizyczną bliskość, używając małżeńskiego nazwiska rozmówczyni. - Pani Santerre - poleciała - proszę opowiedzieć mi o Ninie i pani mężu. Co tam się stało?

Ingrid stała parę kroków od Reese. W oszołomieniu zaczęła mówić:

- Uziemił ją. Usiłowała być jak inne, ale nie była.

- Inne?

- Tak, no cóż, nie była pierwsza, ale była ostatnia. Dla mnie. A i dla niego też, na jakiś czas. Inne nie mogły się z nią równać. Rozumie pani, prawda? Przecież ją pani widziała... jakże mogłyby jej dorównać?

- Dobrze, ale proszę mi powiedzieć, o co pani chodzi.

- Jak dla nas. Nie rozumie pani? Jak dla Gabriela, dla mnie. Z pewnością pani rozumie.

Ale Reese ociągała się z odpowiedzią, nie wiedziała, jak zareagować.

Ingrid przeszło uczucie paniki, nadało przenikliwości jej głosowi, gdy mówiła: „Musi pani zrozumieć”. Ale sama przestraszyła się własnego pisku. „Musi pani zrozumieć” - powtórzyła, usiłując zniżyć głos.

- Była dla mnie jak córka. Miałyśmy razem uciec... ale ją zdradziłam.

W tym momencie Ingrid umilkła, jakby nic więcej nic miała do powiedzenia.

- W jaki sposób? - zapytała Reese. Ingrid wyglądała na zbitą z tropu.

- Co? - zdumiała się.

- W jaki sposób ją pani zdradziła?

Ja? - dziwiła się Ingrid. - Ja? - powtórzyła z emfazą. - To ona mnie zdradziła.

- W jaki sposób? - Reese próbowała dostosować się do jej toku myślenia. - W jaki sposób zdradziła panią?

- Nie chciała odejść. Kochała go. Nie rozumiała. Moja córka była zawzięta. Straszny uparciuch. I kochała ojca, ale chyba zawsze tak się dzieje. No czyż nie? Nigdy nie kochają matek. Usiłowałam ją chronić, ale mi nie pozwalała. Znienawidziła mnie przez to. Obwinia mnie za to. Obwinia mnie za swego ojca.

- Pani córka?

- Tak, no, ale chyba ma rację.

- I Nina też panią obwinia?

- Nina? Nina jest w porządku. Nic widzi pani? Jest w porządku. Sama się umie o siebie zatroszczyć. Chyba postawiła sprawę jasno. Nie potrzebowała mnie.

Ingrid zaczęła krążyć po ciasnej celi. Podniecona, miotała się wściekle pod ścianami, jakby siłą woli chciała wydeptać między nimi ścieżkę.

- Ingrid, usiądź - nakazała Reese, próbując utrzymać ją w jednym miejscu.

Reese patrzyła, jak kobieta odwraca się i spogląda na nią z wściekłością, która nagle opadła. Najpierw twarz Ingrid oklapła, a zaraz potem cała reszta. Zaczęła szlochać i Reese pozwoliła jej zostać tam, gdzie była - wciśnięta w kąt.

Po chwili coś mamrotała. Wypowiadała oderwane słowa, których sensu Reese nie potrafiła rozszyfrować, jakieś urywki zdań: „Przykro mi...” i „Nie chciałam tego...” - coś w tym rodzaju. Potem Ingrid odsunęła się, uderzyła ciałem w kąt, a następnie wcisnęła się weń twarzą do środka.

Reese cofnęła się kilka kroków. Obserwowała kobietę, odnotowała mechanicznie, ile razy aresztowana unosiła pięść i uderzała nią w ścianę. Za każdym razem rozlegało się przytłumione walnięcie. Łomot stał się rytmiczny i niebawem Reese straciła rachubę ciosów. Zaczęła się zastanawiać, dlaczego w ogóle je liczyła. Pozwoliła Ingrid tuc się tak aż do całkowitego wyczerpania. W końcu kobieta zatoczyła się z powrotem na łóżko.

W tym momencie policjantka przeszła do działania.

- Opowiedz mi o Ninie powiedziała.

- To było tak dawno. Nie myślę o tym - odparła spokojnie Ingrid.

- Ależ myślisz. Myślisz o niej.

- Naprawdę? - rzekła Ingrid, zatracając się w głosie Reese, w echu przytłaczających ją ścian. Słowa, jakie wypowiedziała Reese, również odbiły się echem, przypominając Ingrid o rzeczach, o których mówiła Nina, podobne słowa rozbrzmiewały w jej uszach, a potem wokoło niej. I znowu poczuła się schwyтана, jej życie ciągle zataczało kręgi i w końcu okrążyło ją.

- Nie wiem, jak się tu znalazłam - oznajmiła.

- Próbuję cię stąd wydostać - zapewniła Reese. - Musisz mi o tym opowiedzieć.

- A ona pani nie opowiedziała?

- Niewiele. Mówiła, że była jeszcze jedna. Że powinnam pani zapytać. Ingrid przycupnęła w kącie.

- Ingrid, Ingrid, musisz to zrobić. Musimy to zrobić.

- Nie mogę jęknęła.

Spójrz na mnie - rzekła Reese, lecz Ingrid chowała brodę za kolanami. Zamknęła oczy, bo ją bolały, choć były suche, gdyż łzy nie chciały już płynąć. Tak samo bolało ją gardło, chrapliwe, podrażnione, z którego nie mogła wydobyć głosu.

Czuła, że Reese się niecierpliwi, lękała się jej odejścia, lecz nie mogła otworzyć oczu.

Spójrz na mnie - powtórzyła Reese, tym razem ostro.

Ingrid otworzyła oczy. Zobaczyła, że policjantka nadal stoi, pochylając się nad nią z wyciągniętymi rękoma. Ingrid spojrzała na własne ręce. Następnie podniosła się i zaczęła okładać pięściami Reese, bez większego efektu i zupełnie nie wiadomo dlaczego.

Reese nie stawiała specjalnego oporu, zachowując się prawie tak jak mąż Ingrid w podobnych sytuacjach. Ingrid czekała na cios. Taki cios, który sprawi, że polecą w powietrze, aż uderzy w coś solidnego, co wbije jej do głowy trochę rozsądku.

Ale cios nie nadchodził. Reese po prostu poddawała się uderzeniom, aż Ingrid uwierzyła, że Reese może coś wiedzieć.

- Pozwoliłam mu ją wziąć. Najpierw nic wiedziałam, a potem zobaczyłam, że są ze sobą. Nie powinnam była pozwolić, żeby ją wziął. Nie chce, żebym miała cokolwiek własnego. Niszczy rzeczy, które kocham, zawsze je niszczy.

Kochałaś ją?

- Oczywiście. Chciałam jej o tym powiedzieć. Skąd mogłam wiedzieć? Myślisz, że to z braku miłości? To ona mnie nie kochała.

- Nina cię nie kochała? Och, Nina miała inne. Dała mi to do zrozumienia bardzo wyraźnie.

A twoja córka? — spytała, Reese, ciągnąc ten wątek. Co?

Miała kogoś?

To jeszcze dziecko.

- Ale miała?

- Nic mówiła mi. Nie chciała mi nic mówić, najmniejszej rzeczy. Co nie znaczy, że nie chciałam się dowiedzieć. Niech pani zapyta jej ojca. On sądził, że było mnóstwo innych. Widzi

pani? W tym cały kłopot. Nie mieliśmy takich kłopotów, kiedy była dzieckiem. Wtedy wszystko było dobrze. Nie dochodziło do tych potwornych scen.

Ale cóż, dziewczęta dorastają, tak? I wtedy zaczynają się kłopoty. Ingrid siedziała teraz na łóżku.

Recse usiadła obok niej.

- Jakie kłopoty?

- Wrzaski. Nie potrafiła cicho siedzieć. Ja umiałam, ale ona nie. Myślałam, że będzie cicho. Takie z niej było potulne, miłe dziecko. Nie wiedziałam... nie byłam przygotowana. A potem czułam się taka wykończona. A on już dawno przestał się mną interesować. Ja po prostu... to się po prostu zdarzyło, zaczęło się zdarzać. Dobierał się do niej, a ona się wściekała. Widzi pani, jest bardziej podobna do niego. Nie do mnie. Nigdy nie była do mnie podobna. Nigdy mnie specjalnie nie lubiła. Wiedziałam, że źle robię. Usiłowałam jej pomóc, ale jak się zaczynało, żadnemu nie można było przemówić do rozumu.

- Jak co się zaczynało?

- Awantury, a potem nie wiem. Wypadała z pokoju jak burza. Zawsze zaczynały się podczas kolacji. Po jakimś czasie nie mogliśmy trzymać żadnej służby, a ja nie jestem dobrą kucharką. Myślałam, że potrafię upichcić jakąś kolacyjkę, ale nigdy mi się nie udało. Zgadywałam, do jakiej strasznej sceny dojdzie, po tym, ile razy posyłał mnie do kuchni po rzeczy, które zapomniałam postawić na stole. Krążyłam między kuchnią i pokojem, przynosząc wszystko, a oni zaczynali się kłócić. I zanim się zdążyłam zorientować, ona wpadała do swego pokoju, a on biegł za nią.

- A co pani wtedy robiła?

- Sprzątałam ze stołu. Mówiłam już, że nie mieliśmy żadnej służby. Nikt inny by nie posprzątał.

- A oni byli na górze?

- Tak, zgadza się.

- A pani w kuchni? Tak.

- Słyszała ich pani?

- Z początku, potem już nie tak bardzo. Mamy duży dom.

- Więc pani zmywała? - zapytała z niedowierzaniem Reese,

zc wszystkich sił starając się skupić umysł na rzeczy nie dającej się zgłębić.

- No, ktoś musiał.

- Nigdy nie poszła pani na górę?

- Raz czy dwa. Parę razy. Częściowo. Dochodziłam do podestu. Nigdy nie zdołałam podejść wyżej niż do podestu. Niektóre noce przesiedziałam po prostu na podeście. Siedziałam tam całą noc, ale to go jeszcze bardziej rozwścieczało, tylko pogarszało sprawę.

Nigdy już nie poszłam od czasu, jak mnie zrzucił. Znalazł mnie tam w nocy i zrzucił. A nasz hol, wejście u podnóża schodów całe są wyłożone marmurem. Naprawdę pięknym. Nie takim nowym, błyszczącym, nie czarnym. Jest bardzo stary, prawie biały z szarymi pasemkami, a w środku, pod kandelabrem, układa się w biało-czarną gwiazdę. Gdy jeszcze wydawaliśmy przyjęcia, wszyscy go podziwiali. Mówili, jakie to śliczne.

- Bolało coś panią? - spytała Reese, za wszelką cenę starając się zachować spokój, podtrzymać w kobiecie chęć wygadania się.

- Bolało? - powtórzyła Ingrid.

- No, gdy zrzucił panią ze schodów.

- Szamotaliśmy się. Upadłam. Pewnie, że bolało. Potrzebowała pani lekarza?

- Lekarz przyszedł następnego dnia. Myślałam, że nic mi nie jest, tylko parę guzów i siniaków. Ale miałam złamany obojczyk.

- Powiedziała pani lekarzowi, co się stało?

Ingrid roześmiała się - skrzypliwym, ponurym śmiechem.

- No nie, bądźmy poważne. Pani zdaniem to możliwe? Nasz doktor jest starym przyjacielem. Przyjacielem mojego męża. Takich jak on są dziesiątki. Wiedzą, na czym polega ich robota. Kto płaci rachunki. Nie są tacy głupi, żeby utrudniać sprawę.

Reese zmieniła teraz taktykę. Ile ona miała lat?

- Co?

- Pani córka, kiedy się to wszystko zaczęło. Mówiła pani, że one dorastają i zaczynają się kłopoty. Ile miała lat?

- Nic pamiętam. To się ciągnęło jakiś czas.

- Ale kiedy się zaczęło?

Chyba z osiem, dziewięć. Za młoda, żeby ją wysłać do szkoły, chociaż tak planowałam. Naprawdę. Ale wtedy było już za późno.

- Jak to za późno?

- Przez ten wypadek.

- Jaki wypadek? Moja córka umarła.

- Pani mąż...

Wszystko zatuszował. Kazał im odejść. Tyle że nic odeszli. Nie całkiem. Nie ode mnie, ani od niego też, biorąc pod uwagę jego zachowanie, choć o tym nie mówiliśmy. Kiedyś ze sobą rozmawialiśmy. Dawniej był czarującym człowiekiem. Gdy go poznałam, potrafił zawrócić w głowie. A w tamtych czasach ja też miałam pewien urok. Nie był moim jedynym konkurentem, ale, cóż, najbardziej upartym. I ojciec strasznie go lubił. Matka pewnie nie czułaby do niego sympatii, ale już od dawna nie żyła.

W każdym razie pobraliśmy się. Przez pewien czas było cudownie. Ale szybko się mną znudził. Tak bywa. A kiedy umarł mój ojciec, nic musieliśmy już nawet udawać, że jesteśmy szczęśliwi.

Dlaczego?

Małżeństwo chyba zawsze jest pewnym układem, choć wtedy tak nie myślałam. Przekonałam samą siebie, że Gabriel o mnie dba, a ja dbam o niego. Tak to kiedyś wyglądało. Ale gdy mój mąż i mój ojciec połączyli swoje pieniądze i interesy, zorientowałam się, o co naprawdę chodzi w tym małżeństwie. Wiem, że wygląda to trochę na wschodnią transakcję, ale takie rzeczy się zdarzają. Nadal się zdarzają.

Reese usiłowała dotrzymać jej kroku. Wszystkie te informacje spadły na nią jak powódź po suszy. Trudno jej było to przyswoić po poprzednim braku komunikatywności.

- Interes pani ojca? - zapytała tylko dlatego, by Ingrid mówiła dalej.

Zaczął od nawozów. Wiem, że to brzmi trochę śmiesznie - krowie placki i tak dalej. Tym się na początku zajmował mój dziadek. Lecz za czasów mojego ojca nawozy to były

pestycydy, środki chemiczne. A Gabriel interesował się farmaceutykami. W pewnym stopniu było to ze sobą związane. Być może stali przed podobnymi przeszkodami. Fuzja wydawała się nieunikniona. Ale Gabriel nie chciał być współnikiem mojego ojca ani nikogo innego.

A więc czekał. Pod pewnymi względami jest człowiekiem niezwykle ciepłym. A gdy ojciec zmarł... jestem jedynaczką. Wszystko przypadło mnie. A raczej nam. Podpisałam wszystkie papiery, które podsuwał mi mąż. Kie bardzo się w tym orientowałam. A od matki nauczyłam się nie wtykać nosa w interesy męża. Ona nigdy nie zadawała mężowi pytań. W tamtych czasach taka ciekawość była u kobiety niestosowna. Może to trochę staroświeckie, ale tak mnie wychowała.

Później nauczyłam się nie podawać w wątpliwość niczego, co robi.

- Z powodu?

- Jego zapalczywości. Z czasem nauczył się panować nad sobą. W każdym razie tak się wydawało, a ja nauczyłam się go nie prowokować.

- A pani córka?

- No cóż, ona nigdy się tego nie nauczyła. Jak mówiłam, starałam się jej pomóc, ale w ogóle nic chciała ze mną gadać. Miała temperamencik, podobnie jak on. Wypytywała go ciągle, choć niechcący. Nie rozumiała, że wtyka nos w nie swoje sprawy. Ale nie mogła się pohamować. I nic dało się jej powstrzymać.

- Ośmioletniej dziewczynki?

- Owszem. Była uparta i bardzo piękna. Wyglądała na starszą i wyrażała się jak dorosła. Urzekła go tak, jak mnie się nigdy nie udało.

- Ile miała lat, kiedy zmarła?

- Och, wtedy była naprawdę dorosła. Wysłałam ją do szkoły, ale długo tam nie wytrzymała. Narobiła sobie kłopotów, toteż wróciła do domu.

- Narobiła sobie kłopotów?

No tak, wic pani, zwykle rzeczy jak na dziewczynę w jej wieku. Narkotyki, chłopcy. Zależało mi, żeby mąż załatwił wszystko w szkole. Dał w łapę, komu trzeba, żeby mogła zostać, ale, oczywiście, jemu chodziło o coś wręcz przeciwnego.

Chciał, żeby wróciła do domu. A ona też tego pragnęła. Chyba dlatego zaczęła rozrabiać, żeby ją wyrzucili. Pamiętam, jak na mnie patrzyła, gdy wyjeżdżała do szkoły jakbym ją zdradziła. A ja tylko starałam się ją chronić, jak mogłam, ale mi nie pozwalała. Gdy znowu wróciła do domu - długo to nie potrwało.

- Jak on to zrobił?

- Co zrobił?

Reese szukała właściwych słów. Takich, które oddawałyby to, co się stało, nie wystraszając kobiety.

- Jak to się stało? - zapytała, po czym wykrztusiła słowa Ingrid: - Ten wypadek? jak do niego doszło?

- Normalnie.

- Normalnie?

- Tak, mówiłam już, że strasznie głośno się kłócili. Potem poszli na górę. On później zszedł. To nie było normalne. Siedziałam w saloniku. Właściwie nic nie robiłam. Czekałam na... właściwie nie wiem, na co, ale pamiętam uczucie oczekiwania.

Gdy przyszedł, takim go nie widziałam od wielu lat, był znowu młody i bezradny. Przez chwilę, nim odwrócił się do mnie plecami. Zrobił sobie drinka i usiadł- I chociaż nie chciałam, nie mogłam nie pójść na górę.

Zajrzałam do jej pokoju, ale jej tam nic było, więc poszłam do naszego pokoju. Usiłowałam doprowadzić ją do porządku, zając się nią. Jeszcze wtedy niczego nie rozumiałam, nie chciałam, wie pani, o co mi chodzi?

I Reese skinęła głową, choć reszta jej ciała skłaniała się w odwrotnym kierunku. Trzęsa się z gniewu. Chciała pochwycić tę kobietę i cisnąć ją o ścianę. Podniosła się. Przeszła parę kroków, stanęła plecami do Ingrid, pragnąc ukryć przed nią swój gniew.

- I co się stało potem? - dociekała Reese, stojąc teraz twarzą do Ingrid.

- Nie obudziła się. Nic mogłam jej dobudzić. Myślałam, że znowu wzięła jakieś prochy. Usiłowałam ją podnieść, przejść z nią kilka kroków, bo tak się postępuje w podobnych sytuacjach. Ale ona nie odzyskiwała przytomności, więc zabrałam ją do łazienki. Była bardzo ciężka, ale wsadziłam ją do wanny i puściłam zimną wodę.

Musiał to usłyszeć, bo zaraz tam przyszedł. Poprosiłam go o pomoc, bo była śliska i znacznie cięższa, niż sobie wyob-

rażałam, Klęczałam przed wanną, a mała nadal nie otwierała oczu. W tamtym świetle wydawała się sina i zaczęłam się jej strasznie bać.

Poprosiłam go, żeby mi pomógł. A on przykucnął koło mnie. Wyciągnął rękę. Ale po to, żeby mnie uderzyć. Nic nie rozumiałam. Usiłowałam go powstrzymać, chciałam mu oddać, ale nie miałam siły. Fizycznie jestem do niczego. Znowu mnie uderzył, a na koniec trzasnął mnie w głowę. Zrobiło mi się nie czarno, ale szaro, szarosino przed oczami, a potem czarno.

Wreszcie zabrał się do mnie. Nie wiem, po jakim czasie to się wydarzyło. Ale gdy się obudziłam, przykładał mi ręcznik do głowy, więc pomyślałam, że wszystko musi być już w porządku, na mur. Ale, oczywiście, nic było.

- A pani córka? - zapytała Reese.

- już jej tam nie było. Przeniósł ją, wtedy nie wiedziałam, gdzie. Ale kazał mi się wziąć w garść, opanować się. A kiedy przyszli, gdy przyszła policja, mała leżała we własnym łóżku. A wokół porozrzucone były prochy. Teraz to wyglądało na wypadek. Nic nie budziło najmniejszych podejrzeń. - A pani?

- Co?

Pani nic nie powiedziała?

- Nie było co mówić. Tamtejsi policjanci, podobnie jak lekarze, rozumieją, kiedy nie należy zadawać pytań. Moje zeznania nie miałyby najmniejszego znaczenia. - Ale pani nie próbowała?

- W jego obecności?

- Bała się go pani?

- Chciałam, żeby było tak, jak mówił. Bo co ja wiedziałam? Już wtedy to wszystko wydawało się... niewiarygodne. Wezwano lekarza. Mąż zasugerował, żeby podano mi środki uspokajające, a doktor posłuchał. A gdybym wtedy zaczęła perorować? W dalszym ciągu takie kobiety zamykają u czubków. Chyba pani widzi, że tacy ludzie jak my nie współpracują z policją. To policja współpracuje z nami, z takimi osobami jak mój mąż.

Reese widziała to teraz jak na dłoni. Nie jako abstrakcję, lecz coś bardzo konkretnego, co nadal może stanowić pułapkę dla kobiety. Ta bezsprzecznie w nią wpadła. W końcu prowadziły tę rozmowę w celi.

Reese ponownie usiadła. Czuła szczególny podziw dla tej niewiasty, która tym razem sama wezwała policję. Dlatego zapytała:

- Jak to się stało, że wezwała pani policję? Ale Ingrid jakoś nie zrozumiała.

Reese spróbowała znowu.

Co panią skłoniło do zawiadomienia dziś policji?

- Nie całkiem zdawałam sobie z tego sprawę. To też wydawało mi się niewyobrażalne. Jakbym czegoś pragnęła, a potem to się ziściło, gdyście się wszyscy pojawili. Ale znowu się złąłam. Tego, co zrobiłam. I że do tego dojdzie. Mówiąc to, uniosła rękę, gestem wskazała otoczenie. - Ale tym razem nie mogłam... Nie jestem nieczuła.

Wiem - rzekła Reese. Ingrid milczała jeszcze przez chwilę.

- No to chyba dowiedziała się już pani wszystkiego? zapytała wreszcie.

Tak - odparła Reese. Ale ociągała się z odejściem. Została jeszcze, choć miała lego wszystkiego powyżej uszu. Podniosła się na nogi, a Ingrid poszła jej śladem.

Lecz Reese ciągle jeszcze czekała. Czekala, aż kobieta znowu się odezwie. Aż powiedziała;

- No to dobranoc, pani detektyw.

Lecz gdy Ingrid odwróciła się, cofnęła w głąb celi, do łóżka i do kąta, Reese zadała jeszcze ostatnie pytanie:

- To ile ona miała lat?

- Co? - spytała siedząca w mroku Ingrid.

- Pani córka? He miała lat?

- Wtedy? Ze trzynaście, czternaście.

Usłyszawszy to, Reese zawołała strażniczkę i szybko opuściła celę.

Rozdział dwunasty

Gabriel Santerre i Tom Burns siedzieli w gabinecie Santerre'a, zagłębieni w wygodne, zapadnięte od długiego użytkowania fotele, obite skórą koloru burgunda. Omawiali wyda-

rzenia dnia. Santerre położył nogi na małym drewnianym stolczku, w jednej ręce trzymał papierosa, w drugiej szklaneczkę szkockiej.

Burns siedział nieco sztywniej, sącząc drinka, stopami wparł się w podłogę. Nie palił, gdyż właśnie starał się zerwać z tym nałogiem.

Przedyskutowali najnowsze kwestie dotyczące interesów, ustalili ostatnie szczegóły. Gdy to zostało załatwione, Santerre zapytał:

- Czy moja żona... ma dobre warunki?

- Nie. Nie przypuszczam.

- Nie chcę, żeby niepotrzebnie cierpiała.

- Rozumiem, ale brak wygód na razie jest konieczny.

- Mogę ją odwiedzić, czy byłoby to nierozsądne?

- Zależy, jaki stopień prywatności moglibyśmy wam zapewnić. A także co zamierzasz osiągnąć. Jeśli pożądanym celem jest zastraszenie, uważam, że nie ma takiej potrzeby. Jeśli do tego nie dążysz, wtedy, oczywiście, trzeba wziąć pod uwagę inne względy.

Santerre milczał, nie wyjawiając swych intencji. Wypalił jeszcze jednego papierosa, nim się znowu odezwał:

Chcę się zobaczyć z moją żoną - powiedział wreszcie tonem wykluczającym wszelkie pytania. Burns po prostu ma wykonać jego polecenie. — Aha, Tom...

- Słucham?

- Sam chciałbym przejrzeć te teczki. Wychodząc, zostaw je na biurku. I dowiedz się, skąd wytrzasnęli tę adwokatkę. Chcę wiedzieć, kim ona jest i jak moja żona na nią trafiła.

Burns podniósł się. Wziął ze stolika stos teczek - wszystkie pochodziły z komendy policji na Plaża, choć każda zawierała dodatkowe informacje. Informacje zebrane i zestawione przez policjantów znajdujących się na liście płac Santerre'a czy w inny sposób siedzących u niego w kieszeni. Trudno znaleźć kogoś, kto nie pracował dla niego czy czegoś mu nie zawdzięczał. Oddawano mu przysługi przez cały dzień, i to z własnej woli. Do bardzo niewielu osób musieli zadzwonić. Burns starannie ułożył teczki na biurku Santerre'a, po czym wyszedł.

Zanim Gabriel Santerre podniósł się, wypalił jeszcze jednego

papierosa i skończył drinka. Najpierw podszedł do baru. Potem ze świeżym drinkiem w ręce usiadł za biurkiem. Przejrzał uważnie każdą teczkę, lecz tylko jedna rzeczywiście przykuła jego uwagę: Caroline Reese, detektywa pierwszego stopnia. Tu naprawdę było co poczytać.

Gus Miller załatwił ogon. Nie było to łatwe, ale w końcu znalazł właściwego człowieka - Kaysona, który odszedł na wcześniejszą emeryturę, by wdać się w jakiś interes. Niestety, nic z tego nie wyszło. Kayson był dobrym kandydatem, gdyż miał doświadczenie i potrzebował gotówki. A ponieważ wychował się czterdzieści mil na północ od miasta, nieźle znał te okolice.

Wbrew własnemu rozsądkowi Miller mu towarzyszył. Stąd znalazł się późną nocą w samochodzie zaparkowanym tuż koło podjazdu Carver. Od paru godzin ci dwaj nie zaobserwowali najmniejszego poruszenia.

Światła w domu pogaszono. Wkrótce potem zapaliły się małe lampki oświetlające podjazd. Równomiernie rozmieszczone, pomalowane na ciemnozielono, przypominały miniaturowe latarnie morskie albo dziwaczne karmniki dla ptaków. Mrugały zachęcająco, lecz nikt nie skorzystał z zaproszenia. Miller policzył je, a w każdym razie próbował. Naliczył czternaście, siedem po każdej stronie, po czym podjazd skręcał w lewo, a potem znowu w prawo, ukazując garaż i samochód, również ciemnozielony, który ciągle stał tam zaparkowany.

Rozpoczął swoją wyliczankę jakiś czas temu, gdy zabrakło im z Kaysonem tematów do rozmowy. Ale i z tym dał sobie spokój. Pozostał z własnymi myślami i termosem kawy. Jedno i drugie sprawiało, że czuł się jak intruz na tej cichej wiejskiej drodze.

Prawie się spodziewał, że miejscowa policja podjedzie i zapyta, co oni tu właściwie robią. A choć przez jakiś czas wymyślał odpowiedzi na to pytanie, do niczego podobnego nie doszło. I bardzo dobrze, ponieważ nie udało mu się znaleźć wiarygodnego wyjaśnienia.

Przestał zawracać sobie tym głowę i zaczął myśleć o Reese, jak od początku zapaliła się do tej sprawy, co miało dla niego

nieprzyjemne skutki uboczne, gdyż na powrót rozbudziło jego nie odwzajemnioną miłość do niej.

Ponowne przeżywanie tego uczucia nużyło go i zniechęcało. Zwłaszcza że był przekonany, iż zdołał je w sobie zdusić, raz na zawsze, po jedynej próbie pójścia z nią na randkę. Po jego próbie. Reese była przekonana, że to kolejny wspólny wypadek w miasto. Wyraźnie przeraziła się, gdy przybyli do wybranej przez niego restauracji na kolację przy świecach.

Skończyło się to śmiechem - jej szczerym i przyjaznym, jego udawanym i niespokojnym. Czuli się bardzo nieswojo i niezręcznie przez następne dni i tygodnie, aż w końcu powrócili do stosunków prawie normalnych, co go smuciło.

A więc siedział tu, w mroku nocy, nie z winy Caroline, lecz z powodu jakichś jej przeczuć. Przeczucia te doprowadzały go do furii, gdy okazywały się błędne, zbyt często jednak partnerka miała rację, by można je było lekceważyć.

Czyżby tym razem dała płamę? Poczł do siebie niechęć z powodu satysfakcji, która go przepęniała. W ten sposób wprawiał się, by rzucić jej swoje żale prosto w twarz. Wówczas zapłacałaby mu za wszystko, przez co przeszedł z jej powodu - tyle że to nieprawda. Robił to wszystko z własnej woli, co tylko pogarszało jego samopoczucie. Byłoby mu łatwiej, gdyby mógł uwierzyć, że to ona ponosi odpowiedzialność za jego wady, za jego uczucia.

- Nie uważasz, że powinniśmy się zwijać? - zapytał Miller.

- Posiedźmy jeszcze trochę - odparł Kayson, któremu chęci dodawał fakt, że płacono mu za godzinę.

Reese poszła do kostnicy. Śpiący nocny stróż skinął przyzwalająco głową na widok jej odznaki policyjnej. Odnotował godzinę, wręczył Reese swój skoroszyt i kazał się wpisać na długim arkuszu, do tej pory pustym.

- Spokojnie dzisiaj - zauważyła. Znowu skinął, po czym rzekł tylko:

- Pani numer to dwieście szesnaście.

- Dziękuję — powiedziała, ale się nie odezwał.

Reese pchnęła wahadłowe drzwi. Z przyjemnością poczuła chłód panujący w sali, zwłaszcza po duchocie i gorącu celi

Ingrid. Poszła po skrzypiącej podłodze, szybko znalazła numer i otworzyła komorę.

Ta prosta czynność zawsze sprawiała jej przyjemność. Solidny materiał uchwytu, znajomy dźwięk, który rozchodził się, gdy pociągnęła rączkę, gładki chrom - to wszystko przypominało jej lady chłodnicze w delikatesach, furgonetki rozwożące lody, zamrażarkę Elcanor, która nadawałaby się do restauracji. O tych wrażeniach i skojarzeniach nigdy nikomu by nie powiedziała.

Tu w samotności chwilę się nimi rozkoszowała, po czym puste echo pokoju przypomniało jej, gdzie się właściwie znajduje i co ma wykonać. Wyciągnęła płytę, jak zawsze z obawą, że może się zaciąć. I ten nieomylny odór, zbyt mocno tuszowany, by go nie poczuć. Za duża ilość środków- dezynfekujących sprawiała, że stawał się jeszcze wyraźniejszy. Zaczęła rozpinąć pokrowiec - nie bardzo różniący się od futerału na kije golfowe, tylko większy, w innym kolorze. Reese rozpinęła go powoli, otworzyła delikatnie. A potem spojrzała.

Dziewczyna rzeczywiście wyglądała już zupełnie inaczej. Tym razem na pierwszy rzut oka widać było, że jest martwa. Ale nadal wydawała się młodzieńką. Reese przeszedł lekki dreszcz. Może spowodowała to atmosfera tej sali, jej temperatura, mnóstwo przedmiotów ze stali nierdzewnej w otoczeniu. Odsuwała od siebie ostatnie słowa Ingrid. Jednak nie udało jej się w pełni tego osiągnąć, całkiem wyrzucić z pamięci.

Usiłowała ustalić, co bardziej ją dręczyło - młody wiek córki Ingrid, czy to, że matka nie wiedziała dokładnie, ile jej dziecko miało lat. Lecz gdy rozważała te dwie sprawy, wynikła trzecia. Prawdziwa. To, co Ingrid powiedziała z taką pewnością: „Och, wtedy była już naprawdę dorosła”. Te słowa Reese wzięła ze sobą do domu.

WTOREK

Rozdział trzynasty

Reese przyjechała wcześniej, ale Miller już tam był. Wyglądał na zmęczonego, poznała, że ma na sobie ubranie z poprzedniego dnia, a więc zaczęła robić sobie kawę, zastanawiając się, czy go wypytać. Doszła do wniosku, że nie, bo miała własny harmonogram, który przedstawiła mu, gdy tylko usiadła. Chcę tam pojechać jeszcze raz.

- Dokąd? - zapytał bez entuzjazmu.
- Do Carver.
- Byłem tam. Całą noc.
- Co? Nie mogłeś nikogo znaleźć?
- Owszem, znalazłem kogoś. I mam nagrania jej rozmów.
- I co?
- Nic, nic, absolutnie nic.
- Jest tam teraz ktoś?
- Nie. Zostaliśmy do czwartej. Nigdzie nie wychodziła. Chyba nic ma sensu siedzieć tam w zaparkowanym samochodzie w biały dzień.
- Nie wyjeżdżała nigdzie?
- Nie.
- Muszę tam pojechać.
- Po co? Ciągnąłem ten wątek cały czas, ale moim zdaniem do niczego nas nie doprowadzi. Nic z tą dziewczyną nie załatwimy.

- My nie, ale inni mogą ją załatwić.

- Jak to?

- Wczoraj wieczorem widziałam się z żoną. Podała mi go jak na talerzu. Gus, on zabił ich córkę.

- Co takiego?

- Przed laty. Wszystko zatuszował. Mamy teraz to, czego potrzebujemy.

- Opierasz się na jej słowach?

- Dlaczego miałyby kłamać?

- Bo siedzi w ccii, a niebawem wyślą ją do jeszcze mniej przyjemnego miejsca.

Nie, nie kłamie. A Carver to potwierdzi. Muszę tam po prostu pojechać jeszcze raz - z tym, co wiem teraz.

- To są chyba twoje pobożne życzenia.

- Nie, musi coś z tego wyjść. A w ogóle to co cię napadło? Nic wiem. To chyba skutki nocy w zimnym samochodzie z zimną kawą.

- Wiesz co, to może sprawdzisz dzisiaj te miłe, ciepłe domy. Znajdź kogoś, kto zna dziewczynę. Zorientuj się, jakie jest miejsce Santerre'a w tym układzie.

To chyba lepsze niż powrót do dzielnicy willowej.

Carver nic zmrużyła oka. Pogasiła światła i spędziła noc, skulona na tapczanie, walcząc ze swymi chętkami. Czowała, że lepiej nie telefonować, nie wychodzić z domu. Policjanci wiedzą więcej, niż okazują. A w każdym razie ta kobieta. Nie mogła się zorientować, ile naprawdę wiedzą. Nie pamiętała dokładnie rozmowy.

Teraz rankiem czowała, że musi wyjechać, musi znaleźć się gdzieś indziej. Ale wszystkie miejsca, w których bywała, wydawały się bezsensowne i niewłaściwe. Mogła jeszcze czekać i przekonać się, kto do niej przyjdzie. To głupie — pomyślała.

Wzięła prysznic, ubrała się i szła właśnie do samochodu, gdy inny wóz zjawił się na podejździe. Samochód policyjny. Ale tym razem kobieta przyjechała sama. Reese, tak się nazywała. Carver odwróciła się plecami do nadjeżdżającego samochodu i otworzyła drzwi swojego. Właśnie miała wsiąść, gdy policjantka zatrzymała się tuż obok niej.

- Pani Carver - rzekła. A gdy dziewczyna odwróciła się, ujrzała, że Reese błyskawicznie znalazła się tuż przed nią, zastępując jej drogę.

- Wróciła pani po więcej? spytała Carver, usiłując zachować zimną krew.

- Jeszcze tylko kilka pytań. Możemy wejść do środka?

- Właśnie wychodziłam.

- Może panią dokądś podwieźć? Mogłybyśmy porozmawiać w samochodzie.

- Nie wydaje mi się, pani detektyw. Uważam, że skończyliśmy.

- A ja uważam, że chciałaby mi pani coś jeszcze powiedzieć. Policjantka ujęła ją za rękę, po czym wzięła od niej kluczyki.

Uzyskała przewagę nad Carver tak błyskawicznie, że dziewczyna nie wiedziała, jak to się właściwie stało. Jak mogła do tego dopuścić? Spojrzała na Reese, chciała ją potraktować podobnie, jak to zrobiła poprzedniego dnia. Wiedziała, że stoi na słabszej pozycji niż wczoraj, ale policjantka również zachowywała się inaczej. Chodziło o coś więcej niż wyzwanie. A Carver, choć przyzwyczajona była do stawienia czoła wyzwaniom, czuła, że temu nie podoła.

Chciała usprawiedliwić swoją słabość brakiem snu. Ale nie, do bezsenności była przyzwyczajona. To jej umysł ją do tego doprowadził, skoro już raz uległa. Skoro uznała, że jej zwykłe sposoby ucieczki teraz są niedostępne. Myślami wróciła do Ingrid.

Gdy tylko cofała się w przeszłość, wspomnienia zabierały ją do niej, do nich, robiła się taka krucha. Ufna we wszelkie obietnice opieki czy pomocy. A więc stała, tu i teraz, pragnąc uwierzyć, że Reese ofiarowuje jej to. Że Reese może ją wybawić.

I wtedy policjantka powiedziała:

- Chcę pani pomóc.

Jej słowa uzmysłowiły to wszystko Carver aż nazbyt wyraźnie. Wyostriły też jej świadomość, gdyż podobne deklaracje słyszała już wiele razy. A potem widziała, jak po wielokroć obracają się przeciw niej, aż doszła do przekonania, że wiara w ludzi i ich słowa jest jej największą wadą.

Ach, więc teraz to pani chce pomóc mnie? - zapytała, usiłując wyrwać jej kluczyki.

Ale Reese trzymała je poza jej zasięgiem. Może jednak wejdziemy - powiedziała.

- No dobrze, pani detektyw. Jak pani chce.

Poszły w kierunku domu. Carver trochę z przodu, zbyt świadoma obecności Reese, która popychała dziewczynę, napierała na nią. Carver zatrzymała się przed drzwiami.

- Odda mi pani klucze czy sama otworzy? - zapytała. Reese wręczyła jej klucze. Carver zastanawiała się, czyby

nie czmychnąć do samochodu, ale na nic by się to nie zdało. Wiedziała, że nie jest zdolna do szybkich ruchów. Że Reese ją wyprzedzi. I co potem? Myśl o tym niemal skłoniła Carver do podjęcia próby, gdyż wyobraziła sobie, że policjantka zatrzymuje ją fizycznie, powstrzymuje ją, trzyma. Carver coraz bardziej dochodziła do przekonania, że całe jej życie obracało się wokół prostego pragnienia, by ktoś trzymał ją w objęciach - a myśl o tym równie trudno jej było znieść jak uciec od niej.

Otworzyła drzwi, a Reese weszła za nią do środka. Niebawem siedziały obok siebie na kanapie. Carver czekała, co będzie dalej. Nie udawała nawet, że wie, o co tu może chodzić.

- Chcę, żeby pani pojechała ze mną - rzekła Reese.

- Aha, teraz pani mnie aresztuje?

Nie, nie. Chcę, żebyś porozmawiała z Ingrid.

- To pani robota.

Reese milczała. Carver poczuła się nieswojo, więc odezwała się, tym razem z innej beczki. - Wie pani, co on mi zrobił?

Powiedziała to cicho, jakby do siebie, nie do Reese.

- Wie pani? - powtórzyła, tym razem napotykając wzrok Reese, lecz wyczytała w nim tylko zdecydowanie.

- On się o niczym nic dowie. Możemy to zorganizować. Możemy panią ochronić. - Mój Boże! Naprawdę pani w to wierzy? - Tak.

Czy pani chociaż trochę zdaje sobie sprawę, z kim pani ma do czynienia? Jakiemu człowiekowi się narażę? W co chce mnie pani wplątać? Kompletnie się pani nie orientuje.

Orientuje się doskonale. I wiem, że chce pani jej pomóc.

- Ciągłe pani uważa, że jestem aż tak głupia. Czy takie sprawiam wrażenie?

- Wcale nie uważam pani za głupią. Myślę, że chce pani, by za wszystko zapłacił. Za to, co zrobił pani. Za to, co zrobił jej, I co wyrządził tej dziewczynie w hotelu. I córce. To była córka, mam rację?

W tym momencie Carver podniosła się. Przyniosła paczkę papierosów ze stolika stojącego przy przeciwległej ścianie pokoju i zapaliła, odwrócona plecami do Reese. Stała tak dłuższą chwilę.

- A więc załatwili ją w hotelu? - spytała, odwracając się. -W którym?
„Cztery pierdolone pory roku”?

- To była córka - powtórzyła Reese, co tym razem zabrzmiało jak stwierdzenie.

Carver skinęła głową.

- Może pani usiądzie, pani Carver.

- O, wracamy do sztywnej etykiety. Dziś bawimy się inaczej. Ale ustąpiła i posłuchała Reese.

Niech mi pani opowie o córce.

- Nie ma o czym opowiadać. Umarła na długo przedtem, zanim ja nastąpiłam.

Więc niech pani opowie o sobie. Gdy pani nastąpiła. I choć Carver spędziła tu całą noc, a wspomnienia ciągle ją opadały, nie mogła ułożyć ich w logiczną całość, nie potrafiła nawet sobie jasno uprzytomnić, co się właściwie stało. A zatem nie chcąc niczego ukrywać ani zachowywać się szorstko, robiła jedno i drugie, by nikt nie wiedział, że te wydarzenia nadal wywierają na nią przemożny wpływ, nadal kierują jej życiem. Sądziła, że gdyby ktokolwiek zorientował się, jak bardzo te miesiące nadwreżyły ją, uznałby ją za słabą, szurniętą albo jedno i drugie. A wówczas na pewno by to wykorzystał przeciw niej.

Nino... - rzekła Reese. Carver spojrzała na nią ostro, starając się powstrzymać łzy. Zaczęła się podnosić, ale opadła w trakcie. Siedziała przez jakiś czas oniemiała, po czym rzekła:

Sama pani nie rozumie, o co pani prosi.

- Więc mi wytłumacz.

- Chcę, żeby pani sobie poszła. Chyba jednak nie.

- Nie może pani zostawić mnie w spokoju? Wyłączyć mnie z tego?

- Nie mogę. Już w tym siedzisz, jesteś w to wplątana niezależnie od tego, czy mi pomożesz, czy nie. Chcesz się z tego wydobyć? To mi pomóż. Pomóż mnie, żeby pomóc sobie.

- To tylko taka zagrywka i pani dobrze o tym wie. Siedzi pani tu, żeby mnie wykorzystać. Tylko do tego się nadaję. -A gdy Reese nie odezwała się, Carver ciągnęła: - Przynajmniej mogłaby się pani do tego przyznać.

Wiem, że to tak wygląda - zaczęła Reese. - Wiem, że nie masz powodu mi wierzyć. Ale mnie nie znasz. Z tym się musisz zgodzić. Mówię tylko, że w tej sprawie obie dążymy do tego samego.

- To znaczy do czego?

- Żeby go wsadzić. Żeby ona nie poszła za kratki za to, co on zrobił, o czym obie dobrze wiemy.

- Dla mnie ona może siedzieć w pudle do końca świata.

- Możliwe, ale to rozwiązuje tylko połowę twojego problemu.

- Mojego problemu? Nie miałam żadnych problemów, póki pani się tu nie pojawiła.

- Myślisz, że w to uwierzę? Widzę przecież, że masz poważne kłopoty.

- Doprawdy?

- Ja też nie jestem głupia. - Reese chwyciła Carver za przegub i obróciła z taką siłą, że na przedramieniu dziewczyny odcisnęły się ślady palców policjantki. Myślisz, że jestem tak głupia i mało spostrzegawcza, że tego wszystkiego wczoraj nie zauważyłam? Ale skoro jest ci z tym dobrze... Jest ci z tym dobrze, Nino? To chcesz mi powiedzieć? Że przyjeżdżając tutaj, zakłóciłam twoją wiejską idyllę? Powiedz, że jesteś szczęśliwa, Nino. Wtedy odjadę.

Ale Carver nie mogła powiedzieć tego ani w ogóle niczego, bo zaczęła szlochać czy wydawać podobne dźwięki, Łkanie utknęło jej w gardle, łzy nabiegły do oczu, a Reese nadal mocno trzymała ją za przegub. Dziś policjantka nie ustępowała ani na krok i Carver to się podobało. Zastanawiała się już, czyby komuś nie uwierzyć ten ostatni raz, a może wyjdzie na tym inaczej niż zwykle.

- Przemyśl to - rzekła Reese, puszczając rękę Carver i podnosząc się.

- Niech pani nie odchodzi - poprosiła Carver.
- Wynoszę się. Przecież tego chciałaś, tak czy nie? Możesz iść ze mną albo zostać. Masz wybór.
- Muszę się zastanowić.
- Nie jestem ci do tego potrzebna.
- Naprawdę może mnie pani przed nim ochronić?
- Zrobimy, co w naszej mocy.

I choć raczej nie było to wystarczające, Carver zgodziła się. Wstała i poszła za Reese do samochodu. Wsiadła dlatego, że choć miejsce, do którego zabiera ją Reese, może nie być przyjemne, przynajmniej będzie inne. I jeszcze dlatego, że policjantka wydawała się jej jedynym od lat solidnym człowiekiem, do którego mogła przylgnąć.

Rozdział czternasty

Reese zaparkowała pod posterunkiem i przeprowadziła Carver od tyłu. Zostawiła ją w pokoju przesłuchań na innym piętrze, a przy drzwiach postawiła policjanta w mundurze. Potem, bocznymi schodami, przeszła do pokoju operacyjnego.

Gdy się tam zjawiała, Miller rozmawiał przez telefon. Zachowywała się swobodnie, zrobiła sobie kawę, przełożyła jakieś papiery, lecz gdy tylko odłożył słuchawkę, powiedziała:

- Mam Carver.
- Co takiego?
- Na dole, przywiozłam ją. Chcę ją skonfrontować z żoną, i to szybko, zanim zaczniesz się na mnie wściekać.
- Źle trafiłaś,
- Co?
- Jest tam mąż.
- Gdzie?
- Tam - odparł, wskazując na pokój za nimi. - Z żoną -dodał.
- Jak to się stało?
- Co znaczy „jak”? Pierdolona wizyta stęsknionego małżonka. Co ty na to?

- Ale poważnie.
- Mówię poważnie.
- Rozmawiałaś z Eleanor?
- Dzwoniłem do niej, ale nie oddzwoniła.
- Nie, jest w sądzie. Czy ona w ogóle o tym wie?
- Wątpię. Wparował na posterunek jak do siebie. Przyprowadzili ją tu.

Wszystko sobie załatwił.

- Jego prawnik tu jest?
- Pojawił się na chwilę, a potem wyszedł, ale na pewno wróci, żeby odeskortować chlebodawcę.
- A co na to porucznik?
- Sama go zapytaj. Ja mu schodzę z drogi. Nie mam zamiaru stracić emerytury z powodu tej sprawy.

Reese podniosła się, ale dość niepewnie. Stała niezdecydowanie - fizycznie wahając się między oszklonym gabinetem i swym krzesłem. Siła ciężenia przeważała.

- A niech to szlag! - To wszystko, co miała do powiedzenia.

Gabriel Santerre stał, górując u szczytu stołu. Ingrid siedziała na drugim jego końcu, w wymiętym ubraniu, z rozczochranymi włosami. Mąż prezentował się nieskazitelnie. Molestował ją już od jakiegoś czasu.

- Kochanie, oboje dobrze wiemy, jak do tego doszło mówił teraz. - Zwaliłaś nam to na głowę. Mogliśmy sami się tym zająć. Ale ty koniecznie chciałaś narobić takiego zamieszania. Wciągać tych... intruzów do naszego życia. Teraz Tom i ja musimy to wszystko doprowadzić do porządku. Znaleźliśmy ci miłe miejsce. Nie zostaniesz tam długo. Potem wszystko będzie tak jak dawniej.

Ingrid odzywała się bardzo niewiele.

- Nie pojedę tam - odparła na to.
 - Nie zostawiłaś nam większego wyboru. Strasznie wszystko po komplikowałaś.
 - To nie ja... Urwała. Co nie ty?
 - Wiesz bardzo dobrze.
- A ty też znasz cenę takiej sztuczki. Masz pojęcie, co teraz

trzeba będzie zrobić? Jak wszystko się pogmatwało? I ile to będzie kosztować?

Na to Ingrid nie odpowiedziała.

Reese zastanawiała się, co dalej: na dole miała Carver, jest jeszcze Harris, lecz w końcu zrobiła to, na co od początku miała ochotę. Bez słowa podniosła się i poszła do pokoju przesłuchań. Szybko zapukała, po czym wpadła do środka.

- To prywatne spotkanie. Santerre zagroził jej drogę.

- Och, przepraszam powiedziała Reese. - Pomyliłam się. - Lecz zanim wyszła, podchwyciła wzrok Ingrid. Miała nadzieję, że to wystarczy.

Gdy wróciła, zwałił jej się na kark porucznik. Sztuczka Reese nie uszła jego uwagi. Stał przy drzwiach swego gabinetu. Bez zaproszenia weszła do środka.

- Ciekawe - zauważył, gdy usiadła.

- Ktoś musi coś zrobić oświadczyła, zanim zdążyła się pohamować. Jak długo już mąci jej w głowie?

- Och, chyba z godzinę.

- I to tak będzie trwało, póki mu się nic znudzi?

- Zgodziła się z nim zobaczyć. Chciała się z nim widzieć. Ale chyba już kończą.

Reese podążyła za jego spojrzeniem i ujrzała wchodzącego Burnsa. Potem zobaczyła, że wchodzi do pokoju. Niebawem wyszedł wraz z Santerre'em.

- Sprowadzę ją na dół zaproponowała. I nim Harris zdąży! cokolwiek powiedziec, znowu poszła do pokoju, w którym siedziała Ingrid.

Gdy znalazła się w środku, usikrwała ocenić stan kobiety, ustalić, jak dużego uszczerbku doznała. Wyglądała na nadszpejowanie silną. Ale Reese nie była pewna.

- Dobrze się pani czuje?

- Tak, pani detektyw, wszystko w porządku.

Tak też się wydawało. Reese wzięła ją za rękę, wyprowadziła z pokoju i razem zeszły po schodach. Przystanąła po przejściu pierwszej kondygnacji. Chciała skonfrontować ją z Carver, lecz byłoby to zbyt ryzykowne. Chwila niecierpliwości mogła

zniweczyć wszystko, co dotychczas osiągnęła. A więc eskortowała Ingrid; zeszyły razem na dół, do celi. Tuż przed odejściem zagadnęła:

- Nie zrobił pani krzywdy? - nie bardzo sama wiedząc, co właściwie ma na myśli.

Ale Ingrid chyba zrozumiała.

- Właściwie nie. Mogło być gorzej.

- Na pewno dobrze się pani czuje? - zapytała Reese.

- Tak, zupełnie dobrze, pani detektyw.

- No to w porządku rzekła Reese i poszła na górę, do Carver.

Gdy ją ujrzała, dziewczyna się trzęsła. Trzęsła się tak silnie, że Reese zapytała:

- Potrzeba ci czegoś? Powinnam była zapytać wcześniej. Jak długo wytrzymasz?

Carver spojrzała na nią pustym wzrokiem, toteż Reese ciągnęła dalej:

- Mogę ci coś przynieść, żeby ci ulżyło.

- Nie. Popełniłam błąd. To bez sensu. Muszę się stąd wydostać. Chcę pojechać do domu. Rozumie pani?

Reese rozumiała aż za dobrze. Za bardzo się pospieszyła. Zbyt dużo, zbyt szybko na nią zwała. Co teraz? Musi jakoś zabezpieczyć to, co do tej pory osiągnęła.

W porządku odparła. - Rozumiem. Odwiozę cię.

- Nic wiem, czy to rozsądne - zatroskała się Carver. Reese słyszała, jak dziewczyna z całej siły stara się opanować

głos. Mówić normalnie. A cały czas się trzęsła. Ale nie wyglądało na to, że trzęsie się, bo potrzebuje działki. Opanował ją zwykły stary strach, a nawet przerażenie.

Chyba jednak będzie lepiej, jak cię odwiozę. Carver rzuciła Reese jeszcze jedno twarde spojrzenie, nim sobie odpuściła. Nim się poddała i rzekła:

- Dobrze, ale tylko do pociągu.

W samochodzie milczały. Reese nie odzywała się. Nie chciała popychać tej młodej kobiety na skraj kryzysu nerwowego, którego najwyraźniej była bliska. To w końcu Carver odezwała się pierwsza:

- Zabiła pani kiedyś kogoś? - zapytała.

To dość częste pytanie. Policjantom zadaje się je bez przerwy. A zwłaszcza, jak sądziła Reese, policjantkom. Ten wizerunek kobiety z bronią - tak nieodparty, intrygujący, a zarazem wstrętny. Lecz Reese wiedziała, że Carver zapytała o to nie ze zwykłych powodów, nie ze zwyczajnej ciekawości. I dlatego odpowiedziała jej inaczej niż zazwyczaj.

- Dwukrotnie - odparła, choć zwykle mówiła, że raz.

- jakie to jest uczucie?

- Nie można go pojąć, póki się tego nie zrobi. Nie da się go opisać.

- Proszę mi opowiedzieć.

Reese zaczęła się zastanawiać, ile może wyjawić.

- Nie będę ci wmawiała, że nie daje to satysfakcji. Ale ona szybko mija. Niezależnie od powodów, nie wiadomo jak ważnych racji, które człowieka do tego skłoniły, zawsze trzeba za to zapłacić. Częścią ceny jest ból, który się potem czuje. Może się wydawać, że cudza śmierć przynosi ulgę, tymczasem zwiększa tylko ból. Trzeba się potem borykać z większymi problemami, nie z mniejszymi,

Reese nie mówiła o strzelaniu podczas służby. Nie mogła powiedzieć tego Carver wprost, choć czuła się dziwnie, wtajemniczając ją w sprawy, o których nigdy nikomu innemu nie mówiła.

- Czy kiedyś panią zraniono? - zapytała następnie Carver, po czym dodała: - Chodzi mi o to, czy panią postrzelono.

- Tak.

Odpowiedź zawisła między nimi. Reese powstrzymała się od dalszych rozważań, a Carver nie pytała. Dojechały na Grand Central. Przytłoczyły je tłumy dźwięków i podróźnych. Carver trzymała już dłoń na kłamce samochodu, lecz zanim wysiadła, Reese ujęła ją za drugą rękę.

- Spróbujemy jeszcze raz - powiedziała.

Wyczuła wahanie Carver, napięcie w ręku kobiety, gdy starała się ją wyrwać. Reese trzymała ją dalej, czekając, czy Carver wyszarpcnie dłoń, czy też nie.

Carver puściła drzwi. Przez minutę siedziała nieruchomo. Spojrzała na Reese, która powtórzyła:

- *jutro?* Spróbujemy znowu?

Carver skinęła głową i poszła. Wsiadła z samochodu w okamgnieniu. Reese patrzyła, jak przedziera się przez ciżbę podróżnych, po czym znika w drzwiach.

Rozdział piętnasty

Reese wróciła na posterunek, do pokoju operacyjnego. Gus Miller nadał tkwił tam przy swoim biurku.

- Wszystko załatwione? - zapytał, gdy usiadła. Przynajmniej na razie. Złapałeś Eleanor?

- Taak, jest w drodze, ale nic sprawiała wrażenia szczególnie uszczęśliwionej.

- Musimy posłać kogoś, żeby pilnował Carver. Myślałem, że jest z tobą.

- Musiałam ją odesłać. Podrzuciłam ją na dworzec. Ktoś powinien mieć na nią oko.

- Nie spędzę tam następnej nocy. Powiadam ci, że to strata czasu. Ona nigdzie nie wyjeżdża.

- A jeśli ktoś przyjedzie do niej? Gus, widziałeś, jak niewiele brakowało? Powiedziałam jej, że mogę ją ochronić przed San-terre'em, a potem on się tu pojawia. Mam szczęście, że nie spotkali się na schodach.

- No, ale się nic spotkali, więc przestań się zamartwiać. Poza tym, gdybyś mnie poinformowała, że ją tu przywozisz, powiedziałbym ci, że on u nas siedzi.

- Nie chciałam ryzykować.

I widzisz, czym się to skończyło?

Tak, masz rację. - Przerzuciła jakieś papiery na biurku, po czym odezwała się: - Naprawdę uważasz, że nie ma sensu jej pilnować?

- Tego nie wiem. Ale w tej sytuacji, jeżeli zobaczy samochód na końcu podjazdu, jeszcze bardziej się wystraszy. To tylko pogorszy sprawę.

- Taak, to prawda. Dalej mamy podsłuch na jej telefonie? Tak.

- Czyli w takim razie to musi wystarczyć. Przyszły wyniki z zakładu medycyny sądowej?

— jeszcze nie, są zawaleni robotą.

- Więc pewnie chcesz sprawdzić te domy? To chyba następny punkt na liście.

Całą jazdę pociągiem Carver przeżyła jak w transie. Wydawało jej się też, że zajęła do domu taksówką szybciej niż zwykle, szybciej, niżby chciała. W domu czuła strach jeszcze silniejszy, jeszcze bardziej przeraźliwy.

Zastanawiała się, czy nie powinna była zostać. Czy postąpiła słusznie, wracając tu, wracając do domu. Choć słowo „dom” nie wydawało się właściwe. Chyba nigdy nie było trafnym określeniem tego budynku, mimo że istotnie zawierał jej rzeczy. Ale miała wrażenie, jakby były cudze.

Wąłęsała się po pokojach, biorąc do ręki różne rzeczy i na powrót je odkładając. Wiedziała, że powinna wziąć prysznic, przebrać się. Ale jej się nie chciało. Pomyślała sobie, że dziś się obejdzie. Tylko ten jeden raz nie będzie zawracać sobie tym głowy. Pokaże się taka, jaka teraz jest, a nie jaka była dotąd. Choć nadal nie miała pewności, o co jej właściwie chodzi. Czuła się, jakby dopiero teraz odkryła, kim jest naprawdę. I odkryła też, że nie zna tej osoby, która od tak dawna chowała się za różnymi maskami.

Miała ochotę powiedzieć o tej wewnętrznej przemianie Reese, ale się powstrzymała. Nie chciała, by wciągnął ją ten pomysł - tak przewrotny, tak dawny. Po prostu nie mogła sobie na to pozwolić, gdyż sama musiałaby za wszystko zapłacić.

Jednak nie da już rady żyć dłużej tak jak do tej pory. Toteż przez resztę wieczoru, przynajmniej dzisiejszego, będzie wykonywać tylko mechaniczne ruchy. Odrobi swoje zadanie, działając wyłącznie rutynowo. Ale już szósta, Musi się pospieszyć.

Reese i Miller wyjechali, kierując się na wschód - przez Madison Avenue, tuż nad Pięćdziesiątą Siódmą. Zaparkowali koło domu, który najbardziej przypominał poszukiwany lokal, a przynajmniej instynkt kazał Reese tu spróbować. Wyrafinowany, dyskretny, świadczył usługi osobom z najlepszego

towarzystwa. 1 oddalony był o mniej niż dziesięć bloków na północ od Ascot Towers.

Był wczesny wieczór, tuż po szóstej, toteż mieli spore szanse na złapanie kilku dziewcząt przy wejściu. Czekali i obserwowali, a Reese wzięła w obroty pierwszą, jaką wypatrzyli.

Do młodej kobiety podeszła bardzo ostrożnie.

Przepraszam - rzekła, stając między dziewczyną i celem jej dążeń. Ta wyglądała na studentkę. Pewnie jedna z wielu, która potrzebuje pieniędzy na opłacenie studiów. Bez wątpienia wyłowiono ją z Barnard czy innego kosztownego liceum. -Przepraszam - powtórzyła Reese - czy może nam pani poświęcić chwilkę?

- Nie, właściwie nie - odparła kobieta, zatrzymując się dopiero wówczas, gdy Reese mignęła jej przed oczyma odznaką policyjną, którą natychmiast schowała. — O co chodzi? - zapytała teraz.

- Czy zna pani dziewczynę o imieniu Julie? A może Jewel?

Usłyszawszy to pytanie, kobieta cofnęła się, zamilkła, spojrzała na Reese z wyraźnym chłodem. Reese naciskała dalej, aż w końcu dziewczyna powiedziała:

- Nic z tego, nie chcę mieć kłopotów. Muszę lecieć do pracy, więc jeśli nie popełniłam żadnego przestępstwa, nich mi pani da spokój.

Reese przepuściła ją.

O siódmej przed domem Carver zatrzymał się samochód. Przyjechał po nią. Schwyciła torbę, usiłując się pospieszyć, ale nic z tego nie wychodziło. Ociągając się, podeszła do drzwi, zamknęła je, po czym wsiadła do samochodu, a właściwie limuzyny. Skinęła kierowcy na powitanie, lecz nawet nie próbowała podjąć z nim zwykłej pogawędki.

Kierowca zostawił ją w spokoju — zrezygnował z przekoma-rzanek, skoro w odpowiedzi słyszał tylko jakieś pomruki. Zapomniała o cholernej działce. Zastanawiała się przez chwilę, czy da sobie radę bez niej. Ale było to szalenie ryzykowne.

- Bez urazy, Tony - rzekła, naciskając guzik, by podnieść szybę z dymnego szkła między przednim i tylnym siedzeniem. Potem zaczęła grzebać w torbie, aż znalazła wcześniej napeł-

nioną strzykawkę, którą zawsze przy sobie nosiła. Następnie znalazła żyłę. Wybrała tę na udzie, gdyż, choć nie mogła się obyć bez szprycy, przynajmniej wolniej zadziała.

Jazda też przebieganie szybciej, niżby pragnęła. Zostawiła przegrodę. Martwiła się trochę, czy Tony nie poczuje się urażony, lecz nade wszystko chciała być sama. Pomyślała o narkotykach. Poprzedniego lata ludzie padali jak muchy. Wystarczyło niuchnąć parę razy tego starannie przetestowanego świństwa, które wówczas pojawiło się na rynku, a człowiek był załatwiony na cacy.

Zrobiła więc obchód starych melin i prosiła o ten środek, wymieniając jego nazwę: Błękitne Niebiosy. To, co kupiła, zachowała. Trzymała go w przezroczystej szklanej fiolce pod podwójnym blatem biurka. Jej własna tabletki cyjanku, czekająca na właściwy moment.

Kiedy samochód zbliżał się do celu, gdy żużel pod kołami zgrzytał na kolejnym podjeździe, zastanawiała się, czy tym razem dotarła do ostatecznego miejsca przeznaczenia. Błękitne Niebiosy - roześmiała się z tego wstrętnego psikusa, którego sama sobie splątała. Żeby go wzięła nie wiadomo ile, żeby go ćpała bez końca - i tak nigdy jej tam nie zabierze.

Było już prawie wpół do ósmej. Przez niemal godzinę Reese z Millerem pracowali na zmianę - bez żadnych efektów. Napotykali mur milczenia kobiet, które znały swoje prawa i wiedziały, o co im chodzi w życiu. Teraz pojawiła się jeszcze jedna. Wyglądała na młodszą od reszty, więc choć była to kolej Millera, Reese zdecydowała, że się nią zajmie. Proszę bardzo chętnie ustąpił.

Reese szybkim krokiem podeszła do dziewczyny, aż nazbyt dobrze zdając sobie sprawę, że wraz z Millerem ściągali już na siebie za dużo uwagi. Pospieszyła za nią. Chciała dopaść dziewczynę możliwie jak najdalej od drzwi. Reese poruszała się żwawo, uważając jednak, by nie wystraszyć kandydatki, nie dać jej poznać, że coś się dzieje. Zwróciła uwagę właśnie na nią, gdyż była podobna do zmarłej, a także do Carver, choć wyglądała młodziej - bez wątplenia jest nieletnia.

Dopędziła ją i zaciągnęła za róg ulicy.

- Hej, co pani...

- Muszę zadać pani kilka pytań rzekła Reese, jedną ręką przytrzymując dziewczynę, w drugiej dzierżąc odznakę.

- Może mnie pani zostawić w spokoju?

- Zna pani dziewczynę o imieniu Julie? A może Jewel? Imię zaskoczyło. Dziewczyna usiłowała się wyrwać, mówiąc:

Niech się pani odczepi, dobrze? Nie, jest bardzo niedobrze.

- W takim razie nie tutaj, nie na widoku.

Reese rozejrzała się. Zabrała dziewczynę do najbliższego miejsca, gdzie mogły zejść z niepożądanych oczu - do kawiarenki, o parę kroków od bloku. Posadziła ją na oddzielnej kanapce, a sama usiadła naprzeciw.

Carver wysiadła z samochodu. Skinęła głową Tony'emu, który po prostu siedział i czekał na nią. Wszystko przebiegało tak szablonowo.

Podeszła do drzwi, które, naturalnie, nie były zamknięte na zamek. Weszła do środka, zamykając je za sobą. Jej buty, jej obcasy skrobały po marmurowej posadzce, co przyprawiało ją o ból zębów i oznajmiało jej przybycie. Ale on nie wyszedł do niej, to ona szła do niego. Stary scenariusz, odgrywany od lat.

Carver weszła do gabinetu, gdzie na nią czekał. Usiadła na skórzanej kanapie. Oszacowawszy dziewczynę wzrokiem, przygotował jej drinka. Nigdy nie miała na niego ochoty, bo kłócił się z narkotykiem, który zawsze brała wcześniej. Jednak gdy dziś postawił przed nią szklaneczkę, wypła wszystko, do dna.

Nic rozmawiali. Od lat słowa nie miały dla nich znaczenia, niemniej zazwyczaj prowadzili jakąś banalną pogawędkę. Nie dzisiaj. Dziś po prostu podał jej następnego drinka, a gdy wypła i tego, oddalili się.

- Więc opowiedz mi o Julie - rzekła Reese do dziewczyny. - Tak jej na imię?

- Nie, Jewel. Gdzie ona jest?

- Nie wiesz?

- Nie.

Do stolika podeszła kelnerka. Reese zamówiła dla nich obu kawę. Potem znowu zaczęła:

- Nie żyje. Jak ci na imię?

- Cherise.

- Słuchaj, Cherise... To twoje prawdziwe imię? Dziewczyna odwróciła wzrok.

- No dobrze, później o tym porozmawiamy. A teraz powiedz mi, co wiesz.

- Nic nie wiem. O niczym nie mam pojęcia. Nie wiedziałam, że nie żyje. Dobrze się czuła.

- Kiedy? Kiedy się z nią widziałaś?

- Przed weekendem. Chyba w piątek. Miałyśmy kupę roboty. On wtedy przychodzi. On?

- Tak, jest stałym klientem. Ale innym niż wszyscy. Kelnerka przyniosła kawę. Reese zapytała, czy dziewczyna

nie jest głodna, lecz tylko potrząsnęła głową. Gdy kelnerka znowu odeszła, Reese pochyliła się do przodu, ku rozmówczyni. Wygląda na to, że wyciągnie z niej znacznie więcej, niż sobie wyobrażała w najśmielszych marzeniach.

- Opowiedz mi o nim - zaproponowała, by zachęcić Cherise do dalszych wynurzeń.

- Niewiele mam do powiedzenia. Nigdy z nim nie byłam. Po prostu wzywają mnie co tydzień. Albo kiedy przychodzi.

- Wzywają cię do pracy?

- Nie. Zawsze pracuję. Wzywają mnie. No, rozumie pani?

- Nie, nie rozumiem.

- Do biura. Albo na zaplecze. Tam jest taki pokój, coś w rodzaju biura.

- I co się wtedy dzieje?

Jest tam nas kilka. Niewiele. On sobie wybiera.

- I nigdy ciebie nie wybrał? - Nie, wystarczy? Nigdy.

- Nie chciałam...

- Jasne, że nie.

- Wybrał Jewel? zapytała Reese, by powrócić na bardziej neutralny grunt. Powtórzenie jej imienia odniosło skutek. - Taak,

- Wybrał ją właśnie w zeszły piątek?
- Taak.
- A wybierał ją już przedtem?
- Nie, nigdy nie bierze tej samej dwa razy.
- Więc przechodziłaś przez to wcześniej.
- Zawsze byłam tylko do wyboru...
- Wolałabyś nie żyć? Jcwel naprawdę nic żyje?
- Tak.

Myślałyśmy, że jej się poszczęściło. Skoro nie wróciła, sądziłyśmy, że złapała Pana Boga za nogi. Że sobie kogoś znalazła.

Pokój, do którego weszli, sypialnia pana domu, nie wyglądał stale tak samo. W ciągu minionych lat wielokrotnie zmieniano jego wygląd. I to, że żona nigdy nie pojawiała się, gdy byli razem, również stanowiło pewną różnicę. Zazwyczaj te rzeczy pozwalały Carver nabrać pewnego dystansu do tego, co wcześniej rozgrywało się między nimi wszystkimi.

Żona z pewnością się dziś nie pojawi. Ma to jak w banku. Ale dziś wieczór, tak czy tak, czuło się tu jej obecność. Carver nie mogła otrząsnąć się z tego uczucia, nie mogła wstawić jej do tej przegródki w swoim umyśle, w której trzymała ją przez lata.

Seks, którego dostarczała, stał się równie mechaniczny, jak reszta rutynowego scenariusza, choć zazwyczaj również tego nie okazywała. Nie zauważyła, że być może on też to odczuwał. Że ich układ znużył go, podobnie jak ją. Ta myśl naszła Carver tak wyraźnie, że aż się przeraziła. Przyszła akurat wtedy, gdy on osiągnął orgazm własnoręcznie, nie przez nią, nie w niej. To również nie było nic nowego. Lecz, jak cała reszta, wydawało się wyrazistsze. I wszystko razem, każda spędzona tu chwila wydawały jej się wstrętniejsze niż wcześniej, gdy nie pozwalała sobie tak na to patrzeć.

Już jej nie związywał. Nalegała na to, podobnie jak na nieobecność żony, gdy zawarli ten układ. Kiedy znowu zaczął się za nią uganiać. Odnalazł ją właśnie wtedy, gdy wydawało się jej, że umknęła mu na dobre.

Teraz widziała przed sobą tylko jedną drogę ucieczki - Błękitne Niebiosy. Miała je. To jej fiołka. Czekwała na nią w domu. Jedyna rzecz w tym budynku, która naprawdę należała do niej. Wszystko inne było pożyczone. Czekają na zmianę właściciela. Na taką noc jak ta, gdy dla obojga z nich wszystko będzie skończone.

Reese nadal nie dawała spokoju Cherise.

- Więc inne wracały? interesowała się teraz. Tak.

- Co o nim mówiły?

- Nic nie mówiły. Starsze wyśmiewały się z nich, ale one nie chciały nic powiedzieć.

Jak się z nich wyśmiewały?

No, wie pani, wyzywały je od pieśczoszek szefa, coś w tym rodzaju.

- Więc był waszym szefem?

- Nie nasz szef to ktoś zupełnie inny, nie żaden elegancki facet. Liczy nam za wszystko, od papieru toaletowego po zabrudzone prześcieradła. I co z tego mamy? Ochronę. Śmiechu warte. Niby mają pilnować gości, żeby nam się coś nie stało, a naprawdę obchodzi ich tylko forsa. Zachowują się, jakby robili nam wielką łaskę.

Reese pozwoliła jej się wyzalać. Gdy potok skarg urwał się, spytała:

- Jak się w to wpakowałaś?

Normalnie. Nie mogłam wrócić do domu, potrzebowałam pieniędzy.

- Ile masz lat? Odwróciła wzrok,

A na ile wyglądam? - powiedziała do ściany. Nie mam pojęcia. Ty mi powiesz.

Jestem za stara. Wyglądam zbyt staro. Ciągłe mi to powtarzają. Dostawałabym więcej, gdybym wyglądała na swój wiek. Gdybym nie była taka zużyta i złachana.

- No, powiedz.

- Czternaście pasuje? Zadowolona?

To powstrzymało Reese, a przynajmniej trochę ją przyhamowało. Oceniała ją na siedemnaście.

Musiałaś wyjechać z domu?

- Taak.

- Nie możesz wrócić?

- W żaden sposób. Hej, czy przypadkiem pani nie jest jedną z tych, co? Z tych, które usiłują namówić mnie do powrotu?

- Nie. Prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa. Interesuje mnie to i nic więcej.

- Pewnie. Dlaczego ktokolwiek miałby się interesować...

- Zaraz, zaraz. Jeśli mi pomożesz, może uda mi się coś dla ciebie zrobić.

- Może sobie pani tego oszczędzić. Naprawdę. Słyszałam to już setki razy.

Reese uwierzyła jej. I nie mogła nie pomyśleć o Carver. O wszystkich pytaniach, których jej nie zadała, których nie zadała nawet sobie. Teraz Reese zaczęła się zastanawiać, jak przede wszystkim Carver wplątała się w stosunki z Santerre'em, a także skąd pochodziła.

Z powodu swej pracy Reese zazwyczaj podchodziła do ludzi z dystansem. Oglądała fragmenty ich żywotów. Jak z tą dziewczyną dzisiaj, wystarczył jej rzut oka. Nigdy nie musiała oglądać całości. Zamiast tego przechodziła do następnego - kolejnego wstrętnego kawałka czyjegoś życia, które w danym momencie nawaliło. Taki miała do tego stosunek. Ale do tej sprawy nie mogła podejść w ten sposób.

Gdy skończył, odsunął się od niej. Cały czas był w ubraniu, co należało do jego zwyczajów, wystarczyło więc, że zapiął spodnie. Z kieszeni wyjął własną fiolkę i mały scyzoryk. Scyzoryk był jedyną nową rzeczą, tak przerażająco nową, że Carver zaczęła szukać innych różnic.

Zauważyła tylko jedną: pasek, tak nowy, że aż trzeszczał. Gładki i lśniący, w kolorze burgunda. Zawsze starała się nie patrzeć na jego pasek, toteż nic dziwnego, że wcześniej go nie zauważyła. Wyobraziła sobie, co się stało ze starym.

Patrzyła, jak wysypuje zawartość fiolki na szklany blat nocnego stolika. Widziała, jak tnie ją i układa nożem. Chciała zapytać o nóż, lecz powstrzymała się. Zbyt lubiła panujące między nimi milczenie. Wystarczyło jej, że przyglądała się czynnościom mężczyzny.

Gdy ułożył już kokainę, wyjął złotą rurkę i zaczął wciągać narkotyk. Zawsze to robił, gdy było po wszystkim. Jeszcze jeden sposób, by jej okazać, jaki jest samowystarczalny. I nigdy nie zaproponował jej kokainy. Upodobanie do odmiennych narkotyków stanowiło jeszcze jeden z powodów, dzięki którym tworzyli tak dobrany związek.

Reese z pewnym wysiłkiem powróciła do sprawy, którą miała na rozkładzie, do siedzącej przed nią dziewczyny.

- No dobrze, a co słyszałaś o tym człowieku? Wiesz, jak się nazywa?

- Właściwie nie. Żartują sobie z niego. Nazywają go San-teria. To ma coś wspólnego z voodoo. Że jak się z nim pójdzie, rzuci na dziewczynę urok i stanie się zombi.

Reese przeszył dreszcz. Mieszała kawę, żeby coś zrobić z rękami. Teraz wsunęła dłonie pod stół. Nie chciała, żeby Che-rise zauważyła, jak się trzęsą.

Ale zauważyła. Coś spostrzegła, bo zapytała:

- Co się stało?

- Nic, opowiedz mi, o co konkretnie chodzi. Dlaczego tak mówią?

- Bo rzeczywiście wracają jak nieżywe. Całymi dniami niewiele mówią i niewiele robią. I przez jakiś czas zarządzający trzęsą się nad nimi. Dostają łatwych gości. Mnie zawsze ładują naćpanych świrów, którzy pieprzą się ze mną godzinami. Jasne? Bo jestem młoda, ale nigdy nie zostałam wybrana. I nie należę do starszych. Można chyba powiedzieć, że cenią mnie za moją wytrzymałość.

- Zazdrościsz im?

- Komu?

- Tym, które wybiera.

- Nie wiem. Nigdy o tym specjalnie nie myślałam.

- Daj spokój.

Mm, no cóż, rozpieszczają je, podczas gdy reszta pracuje. Dlatego z Jewel... - głos jej zabrzmiał dziwnie, był zduszony i drżący. - Pomyślałam, że się ustawiła.

Carver zwlekała z odejściem dłużej niż zazwyczaj. Zaczęła się zbierać, gdyż nie chciała usłyszeć jego głosu. Podniosła się i wstała z łóżka. Lecz ubierała się powoli, pomna na wszystko, czego się ostatnio dowiedziała. Ta nowa świadomość spowalniała jej ruchy, a wszystkie rzeczy, które widziała tak ostro, sprawiały, że czuła się otepiała i zmęczona.

Gdy skończyła się ubierać, zostawiła go tam, ciągle gmerającego przy kokainie, i zeszła na dół. W holu, na wieku dużej czarnej skrzyni - przed laty przywiezionej z Hongkongu, jak twierdziła Ingrid - leżała jej koperta. Chwyliła ją, wrzuciła do torby i poszła do samochodu.

Tony zostawił podniesioną szybę. To miło z jego strony - pomyślała. Miło, że zostawia ją samą z własnymi myślami, które znowu pobiegły ku Reese. Miała nadzieję, że policjantka pojawi się następnego dnia - ta świadomość pomoże Carver przebrnąć przez noc, znaleźć swoje miejsce na ziemi, niekoniecznie takie, jakie daje jej fiołka w szufladzie. Spojrzała na cyfrowy zegar w limuzynie. Ten umieszczony w desce rozdzielczej przed nią - *czzerwona* iskierka w mroku. Obsłużenie tego klienta przynajmniej nie zajęło jej wiele czasu, co znaczy jednak, że ma przed sobą o tyle więcej godzin do rana.

- Rozpoznałabyś go? spytała teraz Reese Cherise.

- Chyba tak.

- Wiesz, o co w tym wszystkim chodzi? Dlaczego tak nadzwyczajnie go traktują?

Forsa, tak?

- A może jeszcze coś?

Musiałyby pani zapytać kogoś innego. Na pewno?

Ja wiem tylko tyle, co usłyszę. Jestem tam od niedawna. A dla niektórych to całe spicrdolone życie. Ale nie dla ciebie.

- Ja coś robię, zajmuję się też innymi sprawami.

- Jakimi na przykład?

Różnymi. Pozuję. Zarabiam kupę forsy. Nie jestem tania.

- Mimo wszystkich opłat?

- Niech pani obejrzy sobie ten kurewski magazyn „Fortune”. W porównaniu z większością ludzi robię cholerną kasę.

- Z większością?

- Na przykład z panią. Ile pani wyciąga?

- Wystarczająco.

- Na pewno nie dostaje pani nawet połowy tego, co ja. Wie pani, myślę o przyszłości. Nie mam zamiaru robić tego do końca życia. Nie jestem taka jak niektórzy, co też tak mówią, a potem siedzą w tym i siedzą. Mam oszczędności, dobrze schowane. Nieopodatkowane, rozumie pani?

- Więc robisz to tylko dla pieniędzy?

- Zgadza się.

Carver pożegnała się z Tonym, po czym weszła do domu. Ciało miała lepkie i ciężkie, ale w głowie czuła natłok myśli, nerwowych i niespokojnych. Podeszła do biurka, wyjęła kopertę z torby i wrzuciła ją do szuflady.

Nie zapaliła żadnej lampy, ale księżyc świecił jasno. Koperta lśniła. Jaskrawobiała na zielonym tle. Zazwyczaj, po otwarciu jej, wysypywała pieniądze do szuflady. Normalnie ją to cieszyło. Lubiła też chodzić do banku, patrzeć, jak rosną jej oszczędności.

Nie była w banku już od dawna, więc w szufladzie nagromadziła się góra pieniędzy. Aż nadto, by się wymknąć, po prostu zniknąć. Znacznie więcej ma w banku. Ale wszystko to pisane było palcem na piasku. Za każdym razem, gdy wyobrażała sobie, jak leży na wspaniałej plaży, nareszcie wolna, wkraczał on.

Wizja ta wydawała się jej realna dopiero wtedy, gdy on się w niej pojawiał i wszystko psuł. Ta pierwsza część przekraczała granice jej wyobraźni. Widziała ją zawsze jak za mgłą -mętną i ulotną. Lecz gdy on się ukazywał, każdy szczegół nabierał wyrazu. Stał nad nią, uśmiechając się. Mówił, że też ma coś do załatwienia w banku, zagranicznym. Nadzwyczajne - powiadał. Znowu się spotykają. Cóż to za miły zbieg okoliczności.

Carver zatrzasnęła szufladę. Poszła na górę i rozebrała się. Długo myślała się pod prysznicem, nim wpełzła do łóżka. A gdy

sen nie przychodził, otworzyła szufladkę przy nocnym stoliku. Znalazła jeszcze jedną strzykawkę. Tą się uśpiła.

Reese skończyła rozmowę z Cherise, wydobyła z niej wszystko, co się tylko dało. Wyszły razem z kawiarni. Reese dała swą wizytówkę dziewczynie, gdy zbliżały się do rogu. Potem patrzyła, jak idzie wzdłuż bloku, przechodzi przez następną ulicę, potem jeszcze kawałek i wchodzi do drzwi. Tych, które nadal obserwował Gus Miller.

Gdy wróciła do samochodu, usiłowała nadać swemu głosowi entuzjastyczne brzmienie.

- Tę bym ozłociła — oznajmiła. Taak? Czego się dowiedziałaś?

Santerre przychodzi tu regularnie. Wybiera sobie dziewczyny, tylko młodziki. Znała denatkę. Właściwie sama mogłaby nią być.

Po tych słowach Reese opuściło sztuczne ożywienie. Zamilkła i posmutniała.

- Chcesz spróbować jeszcze z innymi? - zapytał Miller.

- Nie, wracajmy.

Rozdział szesnasty

Dwójka detektywów w milczeniu jechała na posterunek. Lecz gdy dotarli do Piątej Alei, Miller zapytał Reese, czy chce, by podrzucił ją do domu. Skorzystała z tej propozycji. Miller odgadł, że coś ją gnębi, i dobrze o tym wiedziała, lecz mimo to nadal niewiele się odzywali po drodze do śródmieścia.

Zatrzymał się przed budynkiem, w którym mieszkała.

- Martwisz się o nią, prawda? - zapytał.

- Słucham?

Ciągle się martwisz o Carver. A może pojedę teraz do niej? Zadzwoń do ciebie, gdyby się coś działo.

Przecież byłeś tam zeszłej nocy. Jeśli ktoś powinien tam pojechać, to raczej ja.

Tak, ale ty ją obrabiasz. Jeśli cię zobaczy, będziesz załat-

wioną na cacy. A jeżeli ujrzy mnie — do diabła, nawet mnie nie pozna. W najgorszym razie pomyśli, że Santcrre kogoś na nią nasał.

A nasał?

- Nie mam pojęcia.

Siedzieli jeszcze przez chwilę, po czym Miller odezwał się:

- Idź do domu i spróbuj się przespać. Któreś z nas powinno mieć jutro jasną głowę.

- Dobrze - zgodziła się, ale jeszcze się nie poruszyła. - Na pewno chcesz tam jechać?

- Absolutnie.

- Dzięki - rzekła i wysiadła z samochodu.

Zaczekał, aż weszła do środka. Widziała, że jeszcze tam siedzi, gdy czekała na windę, Pomachała do niego, gdy winda przyjechała.

Choć była tak zmęczona, nie mogła usiedzieć na miejscu. Miotła się po całym mieszkaniu. Wiedziała, że chodzi o Carver. Że sama chciała tam pojechać. Ale Miller miał rację. I wiedziała, że zadzwoni, gdyby coś się stało.

Napuściła wody na kąpiel, bo zazwyczaj to ją uspokajało. Wchodząc do wanny, zanurzając się w wodzie, czuła, jak jej ramiona opadają. Opadły ją też różne myśli. Cofnęły się w przeszłość. Na początku do wcześniejszych godzin tego dnia, gdy odwoziła Carver do pociągu. Ta zapytała, jakie to uczucie, gdy się kogoś zabije. Ta rozmowa miała drugie dno, przynajmniej dla Reese.

Gdy jej myśli doszły do tego punktu, nic mogła już dłużej wylegiwać się w wannie. Wyszła, wytarła się i położyła do łóżka. Ale leżała bezsennie, bo natłok emocji nadal ją rozstrajał. W końcu zapadła w przerywany sen. Budziła się raz po raz, nie pamiętając, co ją wyrwało z drzemki, a jednak wiedziała. Doskonale zdawała sobie sprawę, że przeżywa takie noce z powodu Franka. Za każdym razem, gdy zrywała się, drżąca i spocona, chodziło o Franka.

Za trzecim takim nawrotem wstała i zrobiła sobie drinka. Dużego, w szklance, którą podarowała jej Eleanor. A biorąc ze sobą drinka do łóżka, zaczęła rozmyślać o Eleanor. Jakim była dla niej wsparciem po śmierci Franka. Jak prawie pomogła jej się z tym uporać. Prawie, ale nie całkiem, toteż Frank ciągle

tu jest. A pytania, które zadawała Carver, przypomniały koszmary. Drink w końcu ją uspił, ale nie odegnał zmyły. Frank, naćpany, atakujący ją w porywie narkotycznego gniewu. Ona też wzięła działkę, też była nawalona, gdy chwyciła pierwszą ciężką rzecz, jaka jej wpadła pod rękę.

W domu nie przestawali myśleć o pracy, stali się wyłącznie swoją pracą. Nie byli pierwszymi tajnymi agentami do zwalczania narkotyków, którzy zaszli za daleko. To, że Frank poszedł do ziemi, a ona poszła w górę, potem zaś dostała przeniesienie Eleanor nazwała sprawiedliwością. Ale nawet ona nie wiedziała, że gdyby tej nocy zbadali Reese na obecność narkotyków, toby je znaleźli.

Zamknięto więc sprawę. To było wewnętrzne dochodzenie w każdym znaczeniu tego słowa. Wyciszono je. A Reese też siedziała cicho, bo nikt nie zadał jej właściwych pytań. Nikt nie chciał znać odpowiedzi. Nikogo nie interesowały, z wyjątkiem Eleanor. A za każdym razem, gdy Eleanor zbyt blisko się zbliżała do tych pytań i tych odpowiedzi, Reese odpychała ją. I wtedy Eleanor odeszła. Opuściła cały ten pieprzony system. Wszystko to wydarzyło się przed wieloma miesiącami, lecz nadal nie dawało spokoju Reese.

Wszyscy powtarzali: nowy początek, nowa okolica, lśniąca od nowości odznaka. Przestań już się tym gryźć. I próbowała, choć nie chciała iść do psychologa. Zmusili ją do tego, naturalnie. To obowiązkowe w takiej sytuacji. Wiele jej to nie pomogło. Odbyła wymaganą liczbę sesji, i tyle. A więc stale to do niej powracało. W nocy nadal powracał do niej Frank.

Obudziła się jeszcze raz z tym uczuciem mrowienia. Tego nienawidziła najbardziej. Po satysfakcji, o której wspomniała Carver, zawsze przychodził strach. Stawał się tym bardziej przerażający, że nigdy nie mogła ustalić, czy zagrożenie jest realne. Czy prawdziwy strach opadał ją dlatego, że w gruncie rzeczy wcale nie była taka przerażona? Do tego każdy tak starał się ją przekonać, że to było uzasadnione - uzasadnione zabójstwo. Te perswazje jeszcze bardziej pogłębiały jej rozterkę.

To nie była czysta sprawa. Obrzydliwie brudna robota, z którejkolwiek strony by na to spojrzeć. Frank leżał z boku jej łóżka. Czaszkę miał rozgniecioną marmurową kostką, która

nadal zdobi jej nocny stolik. Wszędzie krew. Na ubraniu, lepiąca się na jej rękach, twarzy, we włosach.

Ale jej pierwsze zabójstwo było czyste. Choć wówczas również lepiła się od krwi, własnej krwi. Postrzelona podczas pełnienia obowiązków. Nienaganny przebieg tego pierwszego zabójstwa pomógł im załatwić sprawę drugiego. Wszyscy chcieli brać pod uwagę tylko jej najlepsze cechy. I byli gotowi uwierzyć w najgorsze rzeczy o Franku. Śledztwo, przeprowadzone przez Biuro Kontroli Wewnętrznej, sprawiało wrażenie drobnej formalności. Reese była przekonana, że Eleanor musiała wykorzystać wszystkie swoje doświadczenia w tym biurze, by przeszło to tak gładko. A gdy już sprawa przycichła, tę ohydłą noc policja obróciła na swoją korzyść, Policjantka z krwi i kości. Taką opinią cieszyła się Reese. Zyskała taki szacunek, o jakim większość kobiet w tym zawodzie nawet nie marzy.

Awans też zadziałał. Utwierdził jej wiarę w system, w wydział. Wszystkie jego dobre strony obrócono na jej korzyść. Załatwianie spraw po cichu w wydziale okazało się dla niej błogosławieństwem. Chroniło przed wścibstwem. Reese była przekonana, że tylko dzięki temu nie poszła siedzieć za morderstwo. A także dzięki umiejętnemu wykorzystaniu przez Eleanor wszelkich możliwości systemu. Tak więc wierzyła w to wszystko. W braterski związek, w akceptację męskiego klubu - nigdy nie podawała tego w wątpliwość. Przynajmniej nie głośno. Uważała, że system jest całkiem dobry. Póki nie przekonała się, jak bardzo dobry jest dla Santerre[^].

Jeszcze raz zapadła w płytki sen, z którego gwałtownie się obudziła. Tym razem wyskoczyła z łóżka i śmignęła pod prysznic. A potem starała się zabić czas, beczynn timerem chodząc po mieszkaniu albo udając, że czymś się zajmuje. Byleby jakoś przetrwać do chwili, gdy będzie mogła wyjść do pracy.

ŚRODA

Rozdział siedemnasty

Reese przybyła na posterunek tak wcześnie, że nie zdołała go jeszcze opuścić nocna zmiana. Spędziła pół godziny na pogaduszkach z tymi facetami. To powstrzymywało ją przed zejściem do podziemi, gdzie chciała sprawdzić, co słyhać u Ingrid. Albo przed telefonem do Millera.

Wkrótce i on się pojawił, ze zmierzwionym włosiem, lecz w pogodnym nastroju. Przyniósł ciasteczka i kawę, dobrą kawę, z miejsca, gdzie umieli ją przyrządzać. Ledwie usiedli, zapytała:

- Co nowego?
- Nic. Całą noc była w domu.
- Udało ci się trochę przespać?
- Nie za bardzo.

Zadzwoił telefon, Reese podniosła słuchawkę. Odezwała się Eleanor.

- Słuchaj - powiedziała przyjaciółka - załatwiłam przedłużenie aresztu do końca tygodnia. Wy tłumaczyłam im, że tak wyjdzie oszczędniej. Nie będą musieli jej wozić tam i z powrotem. Są czuli na tym punkcie.

- To wspaniale odparła Reese, Jecz zmęczenie w jej głosie tłumiło radość.

- Wpadnę tam dzisiaj. Zastanę cię?

- Po południu. Przyjedź po południu. Chcę znowu ściągnąć Carver.

- Znowu?

- Taak, próbowałam wczoraj. Usiłowałam skonfrontować ją z Ingrid, ale było jeszcze na to za wcześnie. Może by zadziałało, ale nie przewidziałam nagłego nawrotu uczuć mężowskich.

- To nie moja wina.

- Ja tego nie powiedziałam - odparła przyjaciółka, a gdy Eleanor nie odezwała się, Reese zapytała: — Czy możemy mieć pewność, że to się już nie powtórzy?

- Wątpię. Jeśli będzie chciała się z nim zobaczyć... To twoja broszka. Może uda ci się przekonać ją, żeby się z nim nie widywała...

- Spróbuję.

Więc kiedy przyjedziesz z Carver?

- Zadzwonię do ciebie z samochodu.

- To mam tu siedzieć i czekać na twój telefon?

- A nie jesteś zawsze pod telefonem? Ci faceci z Wall Street dali ci przecież telefon komórkowy... - Reese natychmiast pożałowała tych słów. - Przepraszam - rzekła, nim przyjaciółka zdążyła się odezwać.

- I tak mam mnóstwo papierkowej roboty.

- Zadzwonię do ciebie, jak tylko przyjadę tu z Carver - powiedziała Reese i odłożyła słuchawkę.

- Więc znowu tam jedziesz? - zapytał Miller.

- Taak, chyba nie chcesz jechać ze mną?

- A ty chyba nie potrzebujesz towarzystwa?

Warkot samochodu obudził Carver. Podeszła do okna, nadal oszołomiona narkotykiem, niemniej przestraszona. Widok Reese, wysiadającej z wozu, nie uśmierzył jej lęku. Sięgnęła po szlafrok, leżący u stóp łóżka. Gdy wychodziła na schody, owinęła się nim, skuliła w miękkich fałdach drogocennego jedwabiu.

Dźwięk dzwonka nieprzyjemnie przeszył jej uszy. Zeszła więc na dół, żeby uciszyć hałas, i ten cel zablokował wszelkie inne doznania.

Gdy Carver otworzyła drzwi, Reese zapytała:

- Obudziłam cię?

- Nie, nie. I tak jestem trochę spóźniona.

- Mogę poczekać na zewnątrz, aż będziesz gotowa.

- Nie, w porządku. Proszę wejść.

Carver wprowadziła Reese do tego samego pokoju, posadziła na tej samej kanapie.

- Zaraz wracam - rzuciła i pospieszyła z powrotem na górę. Pod prysznicem doszła do wniosku, że głupio zrobiła, dając

okazję policjantce, by buszowała po domu. Z drugiej strony zupełnie jej nie obchodziło, co Reese u niej znajdzie. Właściwie chciałyby, żeby na coś natrafiła. Na coś, co bez żadnych działań z jej strony położy kres temu jej życiu. Nie byłoby to zakończenie jak z bajki, ale zawsze jakieś zakończenie. Więzienie wydawało jej się całkiem bezpiecznym miejscem. Chce się tam znaleźć, więc pozwoli, by ją tam umieszczono.

Odkręciła kurki, puściła na siebie strumienie zimnej wody, po czym wyszła spod prysznica. Ale nadal nie czuła się całkowicie obudzona. Znowu owinęła się szlafrokiem i poszła coś na siebie włożyć.

Jak Carver się spodziewała, Reese istotnie buszowała na dote. Chodziła od pokoju do pokoju, rozglądała się. Duża kuchnia, jak również jadalnia wyglądały na rzadko użytkowane. Takie wrażenie sprawiała cała dolna część, z wyjątkiem pokoju, z którego wyszła i do którego teraz powróciła. Tu przynajmniej widać było jakieś oznaki życia, lecz niewiele mówiły jej one o Carver.

Reese stała teraz obok ciężkiego biurka. Miała zamiar otworzyć szufladę, gdy usłyszała kroki. Odsunęła się od biurka

i podeszła do Carver, która właśnie wchodziła do pokoju.

- Gotowa? - zapytała Reese.

- Chyba tak - odparła Carver.

Reese jechała bitymi drogami w milczeniu. Nie chciała rozpocząć rozmowy. Miała nadzieję, że zrobi to Carver. Reese pragnęła, by dziewczyna z własnej woli opowiedziała jej o tym, o co ona sama nigdy nie spytała: skąd pochodzi, jak wplątała się w znajomość z Santerre'em, z Ingrid. Woląca nie zmuszać

jej do odpowiedzi, myślała, że Carver powie jej to wszystko sama z siebie.

Ale gdy Reese zjechała na autostradę i znalazła się bliżej własnego podwórka, zagadnęła po prostu:

- Denerwujesz się?
- He? zapytała Carver.
- Tym, że ją znowu zobaczysz. Ingrid. To już kawał czasu, co?
- Tak, spory kawał.
- Siedem lat, zgadza się?
- Nie mam pojęcia. Ja tak powiedziałam?
- Może ona.
- Aha.
- Musiałaś być wtedy bardzo młodziutka. Ile miałaś lat? Trzynaście?

Czternaście?

- Chyba tak. Dokładnie nie pamiętam.
- Naprawdę? Wcześniej zaczęłaś samodzielne życie. Musisz pamiętać.
- Byłam wtedy strasznie zdolowana.

Reese ledwo się powstrzymała, by nie palnąć: „A teraz nie jesteś?”

- A rodzice? - zapytała w zamian.
- Co?
- Twoi rodzice.
- Co z moimi rodzicami?
- Tak ci po prostu pozwolili?
- Na co mi pozwolili?

Żebyś sama dawała sobie radę?

- Raczej tak. Rzadko zjawiali się w domu. Tak stało się lepiej dla wszystkich.

- Więc miałaś kłopoty rodzinne? Carver nie odpowiedziała.

Reese doszła do wniosku, że jest na właściwej drodze - gdy Carver się rozzłości, wyciągnie z dziewczyny najwięcej informacji.

- Duże kłopoty? - spytała teraz, zerkając na nią. Carver wzruszyła ramionami.

- Skąd mogę wiedzieć? Nie noszę ze sobą linijki.
- Na to mi wygląda.

- Na co?
- Na duże kłopoty - rzekła Reese.
- Nie zastanawiam się nad tym. Nie mogę wrócić do domu, i tyle.
- Ale jednak chciałabyś?
- Co?
- Wrócić do domu.
- Nie ma takiego miejsca.
- Posztaś z nim do domu.
- Z kim?
- Z Santerre'em. Wziął cię ze sobą do domu.
- To bv'ła pomyłka. Nie miałam złudzeń.
- Ale zostałeś tam. Ze względu na nią?

Ona... Chodziło mi o pieniądze. Dobrze płacili. To znaczy on płacił.

- Rozumiem.
- Nie. Nic pani nie rozumie.

Jasne, że rozumiem. Potrzebowałaś paru dolców, musiałaś sama się utrzymać. Rozumiem. Forsa to ważna rzecz. Reese nadal zerkąła na Carver. Widziała, jak drży jej warga. Trafiła w czułe miejsce.

- Nie - rzekła Carver - to nie o to chodzi. Nie rozumie pani.
- Właśnie powiedziałam, że rozumiem.
- Wcale nie. Nie siedział w domu cały czas. Ona... ona była dla mnie miła. - Jak to?

Tak po prostu. - Głos Carver stał się bardzo dziecinny. Ale jak gdyby sama się na tym złapała, powściągnęła się. - To był okres *C%y jesteś moją mamą?* - rzuciła ostro.

- Jak to?
- No, wie pani, jak w tej książce dla dzieci. Nieważne.
- A tak, znam ją. Doktora Seussa, zgadza się?
- Taak, chyba tak. Właśnie.

Twarz Carver oblała się czerwienią. Reese chciała wykorzystać tę chwilę szczerości, toteż powiedziała prędko:

Podobała mi się. Pamiętam ją. - Gdy jednak Carver nadal nie odpowiadała, Reese rzekła: — Słuchaj, wszystko w porządku.

- Co takiego?
- Możesz ze mną porozmawiać. Możesz mi powiedzieć.

- Co mam powiedzieć?

- Wszystko, na co masz ochotę.

Lecz siowa ta pozostała bez odpowiedzi, zawisła między nimi. Carver zamknęła się w sobie i Reese postanowiła na razie tak ją zostawić. Nic odezwała się więcej do czasu, gdy znalazły się w pobliżu posterunku. Wtedy zaryzykowała.

- Miałaś matkę? - zapytała.

- Nie rzuciła mi się w oczy — odparła natychmiast Carver. Reese zapomniała zadzwonić do Eleanor. Okrążyła blok, by zyskać czas na rozmowę. Eleanor powiedziała, że przyjedzie niebawem, gdy tylko będzie mogła.

- Kto to był? zainteresowała się Carver.

- Adwokatka pani Santerre. — Reese wydawało się, że Carver przeszło drzenie, więc dodała: — Moja stara przyjaciółka. Nie znasz jej.

Carver znowu zamilkła, a Reese ciągle krążyła wokół bloku, by zyskać na czasie. Nie chciała, by dziewczyna zbyt długo przesiadywała w jakimś pokoju przesłuchań. Pragnęła uniknąć wczorajszych błędów. Tych, których mogła. Napuszczając Carver na Ingrid, uzyskała coś albo nie.

Rozdział osiemnasty

Reese nadal okrążyła blok, gdy Carver zapytała:

- Więc robimy to czy nie?

- Tak, i to zaraz zgodziła się Reese, skręcając w stronę posterunku, do przejazdu prowadzącego do podziemnego garażu. Przeprowadziła Carver tą samą drogą co wczoraj i posadziła w tym samym pokoju. Stamtąd zadzwoniła na górę. Słuchawkę podniósł Miller.

- Zastałam Eleanor?

- Już jest. Właśnie przyjechała.

- Przyślij ją do mnie na dół, dobrze?

- Zaraz zejdzie.

Reese zaczęła, aż Eleanor wejdzie, po czym przedstawiła sobie obie kobiety. Nie mogła zorientować się w reakcji Carver. Znowu zaczęła się trząść, tak mocno, że Reese zapytała:

- Dasz sobie radę?

- Czy mogłybyśmy mieć to już z głowy? - odparła pytaniem Carver.

Reese zostawiła ją z Eleanor, a sama zeszła na dół, by sprowadzić Ingrid. Kobieta wyglądała na wyczerpaną, straciła nieco siły, którą wykazała poprzedniego dnia.

- Ma pani gościa na górze. Teraz Ingrid zaczęła się trząść.

To mój mąż?

- Nie, ktoś, z kim chyba chciałaby się pani zobaczyć. Wybacz mi pani, pani detektyw, że nie mogę uwierzyć pani na słowo?

Reese nie chciała zrezygnować z efektu zaskoczenia.

- Proszę tylko pójść ze mną - odparła.

Ingrid usłuchała. Strażniczka stała u boku Reese, lecz ta gestem kazała jej odejść. Mocno chwyciła Ingrid za ramię i poprowadziła ją na górę po schodach. Czuła, jak z każdą kondygnacją rośnie niechęć kobiety. Gdy dotarły na właściwe piętro i szły korytarzem, policjantka miała wrażenie, że wprost wlecze Ingrid.

A gdy Reese otworzyła drzwi pokoju przesłuchań, gdy Ingrid zobaczyła najpierw Eleanor, a potem Carver, osunęła się tak mocno, że Reese nieomal musiała ją pochwycić. Lecz błyskawicznie wróciła do siebie, a potem poruszała się lekko, niczym piórko. Przepełnęła jakby przez pokój ku Carver, która szybko wstała.

- No proszę - rzekła Ingrid — Jesteś już dorosła.

Reese rzuciła Eleanor spojrzenie, lecz adwokatka obserwowała obie kobiety. Stały naprzeciw siebie, prawie się obejmując, a potem mocno się uściskały. Carver tuliła się do Ingrid, jakby nigdy nie opuszczała jej ramion. Tak się ze sobą zespoliły, że Reese, przyglądając się tej scenie, czuła się jak intruz.

Ingrid mamrotała ciągle: „No proszę”, aż słowa te zaczęły być własnym życiem.

Carver nic nie mówiła. Nie odezwała się ani słowem. Obejmowała tylko Ingrid i pozwoliła, by starsza kobieta trzymała ją w objęciach. Ingrid głaskała ją po włosach, gruchała do niej ciągle tymi samymi słowami, po czym zaczęła:

- Ach, Nino, ja...

Lecz słysząc to, Carver ostro i gwałtownie oderwała się od niej. Recse zastąpiła jej drogę do drzwi. Carver z wrzaskiem usiłowała przepchnąć się obok niej.

Wypuście mnie stąd, do jasnej cholery! - ryczała.

- Wszystko będzie dobrze - zapewniała Reese. - Jestem przy tobie.

- Proszę mnie puścić zażądała Carver. I walczyła zaciekle, nim ustąpiła, padając na ostatek w ramiona Recse.

Reese trzymała ją, lecz patrzyła w inną stronę, najpierw na Eleanor, która siedziała, nieporuszona, a potem na Ingrid, wyglądającą, jakby w nią piorun strzelił.

- Kochanie... - zaczęła Ingrid i urwała, nie mając nic więcej do powiedzenia.

Carver okręciła się w ramionach Reese, zwracając się ku Ingrid.

- Nie zaczynaj tego ze mną! - wrzasnęła do niej.

Recse ciągle ją podtrzymywała, chwyciwszy za nadgarstki, t ścisnęła jej ręce z tyłu, powstrzymując dziewczynę przed rzuceniem się na Ingrid. Ale Carver, na pół oszalała, wrzasnęła teraz do Reese:

- Puszczaj! Zabieraj te pierdolone łapska!

Policjantka nie puściła jej, trzymała mocno i czekała, a tymczasem Carver miotała przekleństwa na nią, na Ingrid. Przez cały ten czas Eleanor siedziała spokojnie, przypatrując się, aż Reese nakazała:

- Do cholery, wyprowadź stąd aresztowaną! Zabierz ją do pokoju obok.

Eleanor zgodziła się. Wstała i wyprowadziła Ingrid. Wtedy Carver kompletnie oklapła. Reese puściła jej przeguby. Nadal stała z tyłu, niepewna, czy ma jej dotknąć, czy też zostawić ją, by sama sobie poradziła. Dała jej spokój, gdyż nie wyobrażała sobie, by mogła ją nawet musnąć.

Carver poszła po torbę, która leżała na blacie stołu. Przeszukała ją mechanicznie i wyciągnęła strzykawkę.

- Ua - zaprotestowała Reese. - Nie możesz tego tu robić, nie w mojej obecności.

- To proszę wyjść - odpaliła Carver, jakby to było takie proste.

- Chwileczkę upierała się Reese, ruszając teraz ku niej, by schwycić rękę, która trzymała strzykawkę. - Nie możesz tego robić tutaj.

- Wczoraj mi to pani zaproponowała.

- Nie to. Powiedziałam, że mogę ci coś załatwić. Nie to. -Jednocześnie Reese rozluźniała rękę dziewczyny, podkładając palce pod jej dłoń. - Nic możesz całe życie wyłącznie za tym się uganiać.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- A niby dlaczego, do cholery? Bo to się na nic nie zda.

To zbiło Carver z tropu, jej palce rozsunęły się, a Reese wzięła strzykawkę, lecz zaraz ją oddała.

- Schowaj to i siadaj - przykazała.

Carver rzuciła jej ostatnie wściekłe spojrzenie, po czym włożyła strzykawkę do torby, lecz nadal stała. Sprawiała wrażenie, jakby nie wiedziała, co począć ze sobą, ze swoim ciałem. Zatoczyła się, przechyliła na jeden bok, potem na drugi, nim Reese zdążyła ją złapać. Policjantka podtrzymywała Carver, a dziewczyna się rozplakała.

W przyległym pokoju Eleanor Coffey usiadła naprzeciw Ingrid. Rozmawiały niewiele. Milczenie denerwowało Ingrid, toteż w końcu je przerwała.

- Nigdy nie chciałam jej zrobić nic złego - zaczęła. - Nic miałam takiego zamiaru. Nie wiedziałam, że wszystko wymknie mi się z rąk.

Eleanor nic na to nie odpowiedziała, Ingrid mogła więc mówić dalej lub znosić milczenie.

- Bardzo ją skrzywdził.

On? - zainteresowała się Eleanor.

- Ach, rozumiem, pani uważa, że to ja ponoszę winę za wszystko, co on wyczynia. Prędzej czy później wszyscy tak zaczynają uważać.

Reese puściła Carver, gdy dziewczyna sama się od niej odsunęła i opadła na najbliższe krzesło. Odczekała, aż Carver się opanuje, po czym zaproponowała:

- Spróbujemy jeszcze raz?

Spodziewała się, że Carver będzie się opierać, lecz ona powiedziała tylko:

Niech ją pani trzyma ode mnie z daleka. Niech mnie nie dotyka tymi swoimi łapskami.

Dobrze - zgodziła się Reese. Potem wytknęła głowę za drzwi i kazała policjantowi przyprowadzić z powrotem Eleanor i Ingrid.

Wchodząc za Eleanor do pokoju, Ingrid wyglądała na dziwnie spokojną, czy też czujną Reese nie bardzo mogła się zdecydować. Eleanor usiadła na tym samym krześle, zachowywała się w ten sam sposób. Ingrid nie była pewna, gdzie się usadowić, więc Reese poprowadziła ją do krzesła naprzeciw Carver - tuż obok Eleanor. Sama usiadła przy Carver.

O dziwo, milczenie przerwała Ingrid.

- Jak się miewa mój mąż? - spytała podchwytliwie. Carver odparowała, nie bawiąc się w ciuciubabkę:

- jak zwykle - rzekła, mając wzrok utkwiony w Ingrid. Przez Reese przebiegła iskra. Chcąc ją uziemić, popatrzyła

na Eleanor, a przyjaciółka odwzajemniła jej spojrzenie, lecz Reese nic zdołała z niego odczytać, czy adwokatka również jest zdziwiona. Z niewytłumaczalnych powodów miała wrażenie, że ją zdradzono - że Carver ją zdradziła.

Reese usiłowała się pozbierać. Starła się wyciągnąć pożytek z tej informacji. Będzie mogła ją wykorzystać, gdy uda jej się zdobyć zaufanie Carver. Ale teraz miała wrażenie, że dziewczyna w ogóle jej nic ufa — skoro nie powiedziała jej, że przez cały czas była z Santerre'em. A Reese w ogóle tego nie wyczuła. Nigdy jej to nie przyszło do głowy, nawet nie zaświtało. Dała tu straszliwą plamę i to najbardziej nią wstrząsnęło.

Carver i Ingrid nadal zachowywały spokój, nadal patrzyły sobie w oczy.

- Więc odpowiada ci ten układ? - odezwała się znowu Ingrid.

- Tak odparła Carver, choć przy tym jedynym słowie jej głos zdrzął nieco.

Reese chciała wykorzystać tę wymianę zdań, by włączyć się do rozmowy, lecz nadal czuła się jak intruz. Miała wrażenie, że wraz z Eleanor powinny zostawić te dwie sam na sam i zobaczyć, co z tego wyniknie. Ale wiedziała, że jeśli zostaną same, nie będą się tak zachowywać. Że jest to w pewnym stopniu gra, przynajmniej ze strony Ingrid. Słyszała to w jej miarowym tonie, w sztucznym opanowaniu.

Reese odgadła, że tą wymianą informacji Ingrid pragnęła czegoś dowieść. A choć nie mogła się zorientować, jaki jest tego cel, wiedziała, że Ingrid robi to na jej użytek. Że plan działania tej kobiety w jakimś sensie ją uwzględnia. Reese domyślała się, że nie było to przypadkowe pytanie. Aresztowana wyraźnie chciała wystawić Carver, wystawić ją Reese.

- Cóż - orzekła Ingrid - skoro jesteś zadowolona..,

W tym zdaniu Reese usłyszała echo własnych słów, wypowiedzianych do Carver albo bardzo podobnych. I policjantka widziała, że po twarzy młodej kobiety przebiega drżenie. Że jej ręka mechanicznie wędruje do torby, po czym się cofa. A potem Carver rzuciła jej błagalne spojrzenie.

W odpowiedzi Reese podsumowała:

- Chyba wszystkie mamy dosyć na dziś.

Teraz Eleanor spojrzała na nią w sposób mówiący: „Co ty wyrabiasz?” Reese udała, że tego nie widzi. Ale Ingrid jeszcze nie skończyła. - Chyba wam teraz łatwiej. Dzięki temu, że tu jestem.

Lecz Carver zamilkła na dobre. Oddech miała krótki i urywany. Ręce, które nie miały czym się zająć, po prostu się trzęsły. Splotła je, jakby chciała pohamować ich ruchy, ale potem drżenie przeszło na ramiona.

Reese rzucała spojrzenia raz jednej, raz drugiej kobiecie. To Ingrid, która zachowywała kamienny spokój i działała z chłodną precyzją, to Carver, którą sama obróciła w kupkę nieszczęścia. A jednak Reese żywiła niemiłe, lecz silne przekonanie, że Ingrid robi to dla niej. Ale akurat gdy nabrała co do tego pewności i zaczęła się na tym opierać, Ingrid posunęła się jeszcze dalej, do miejsca, w którym Reese nie istniała i nie mogła podążać jej tropem,

Tak, chyba jest wam łatwiej. Wiecie, że w najmniejszym stopniu nie mogę się wtrącać...

- Nie - rzekła Carver na wydechu.

- Och, daj spokój, kochanie. Nic udawaj...

- Nie, to nie jest łatwe.

- Nie? - zdumiała się kobieta, choć z wielką ostrożnością, gdyż najwyraźniej rozumiała, o co chodzi.

- Nie.

- Naprawdę? Myślałam, że to ja ci utrudniam życie. Chciałaś, żebym zeszła ci z drogi. Pamiętasz? Owszem, pamiętasz.

Carver ciągle walczyła ze sobą.

- Przestań! wrzasnęła.

- Nie mogę. Próbowałam, ale ty mi nie dawałaś. Nie chciałaś go opuścić. Pamiętasz?

- To nie o to chodziło. Wiesz, że nic o to...

- A skąd miałam wiedzieć? - Lecz przy tych słowach również i Ingrid zaczęła opuszczać zimna krew. W jej głosie nie dźwięczało zdecydowanie, lecz napięcie, coraz większe, w miarę jak ciągnęła: — No proszę, powiedz, skąd miałam wiedzieć. Co powinnam była wiedzieć?

- Wiedziałaś. Wiedziałaś od początku. - Co?

- Co czułam. Czego pragnęłam.

- A ja nie czułam...

- Nie. Udawałaś.

- Nie opowiadaj mi, co czuję...

- Nic. Nic nic czujesz. Masz pustkę w środku.

Z powodu tych docinków Carver Ingrid straciła pewność siebie. Wyglądała na poturbowaną i zmaltretowaną. Łza pociekła jej po policzku i zatrzymała się w kąciку ust. Wyciągnęła rękę, by ją zetrzeć, lecz tylko rozmazała plamkę wilgoci. Jej szczeka błyszczała. Połyskiwał siniec żółtozielonkawy w świetle jarzeniówki.

Powoli popłynęły następne łzy. Ingrid usiłowała mówić, możliwie równym głosem. Ale teraz uderzyła w błagalny ton:

- Wiesz, że to nieprawda. Nie możesz w to wierzyć.

- Nie mogę? - odpaliła Carver. A gdy Ingrid nie zdołała jej na to odpowiedzieć, Carver zaatakowała ją: — W takim

razie w co mam wierzyć? To ty odeszłaś. Zawsze odchodzisz. Ale po tym wybuchu Carver straciła panowanie nad sytuacją, nic mówiła już do Ingrid ani o niej. - Zawsze, zawsze mnie zostawiasz - powiedziała, po czym po jej twarzy znów zaczęły spływać łzy.

Chciałam, żebyś była bezpieczna - wyjaśniła Ingrid. - Ona też mówiła jakby do kogoś innego. - Nie pozwalając mi. Gdybyś mi tylko pozwoliła. Dalej nie widzisz, kim on jest? Kim ja jestem?

Carver odsunęła krzesło. Reese chwyciła ją za rękę, lecz dziewczyna wyrwała się. Potem one nagle wstały. Carver znowu usiłowała przedostać się do drzwi, Reese ponownie zastąpiła jej drogę. Teraz to już naprawdę koniec. Reese wiedziała, że nie może już dłużej prowokować dziewczyny, jeśli nie chce zupełnie jej stracić.

Postanowiła je postraszyć, bo tylko gniew robił jeszcze wrażenie na obu kobietach.

- Ty siadaj! - ryknęła na Carver, po czym odwróciła się do Ingrid. - A ty się zamknij!

Wezwała policjanta. Powiedziała mu, żeby sprowadził Ingrid na dół. Poprosiła Eleanor, by zeszła z nimi. Chciała mieć pewność, że Eleanor zostanie z Ingrid, póki ona sama nie skończy z Carver.

Przez cały czas Ingrid siedziała na krześle. Policjant i Eleanor wzięli ją pod ramiona, właściwie podnieśli, a potem poprowadzili. Gdy cała trójka opuszczała pokój, Ingrid obejrzała się, jej spojrzenie spoczęło na Reese.

Gdy wyszli i zamknęły się za nimi drzwi, Reese stała jeszcze chwilę, mając w oczach ich obraz, obraz Ingrid. Odczekała moment, nieruchoma, stanowczo postanawiając zebrać się w garść, nim stawi czoło Carver.

Pierwsze pytanie Reese zadała głosem spokojnym, opanowanym, w którym jednak przebijał chłód.

- Masz jeszcze przede mną jakieś tajemnice?

Carver ciągle płakała, ale tak cicho, że gdy próbowała mówić, nie mogła wydusić słowa. Znowu sięgnęła po torbę. Reese zesztywniała w odpowiedzi, lecz Carver sięgnęła tylko po chusteczkę. Ukryła w niej twarz, zasłoniła oczy.

Ten widok nadspodziewanie rozczerzył Reese. Usiadła na krześle obok Carver.

- No, już dobrze — zaczęła ją pocieszać. — Wszystko będzie w porządku, ale musisz mi powiedzieć, czy jeszcze coś przede mną ukrywasz.

Niczego nie ukrywam.

- Na pewno?

W odpowiedzi Carver skinęła głową.

- Więc kiedy się z nim widzisz? — dążyła Reese.

- Kiedy tylko mnie potrzebuje. Więc nie w jakieś określone dni?

- Nie. Skąd mam wiedzieć, kiedy woli wyskoczyć z jakąś dziewczyną do hotelu? I wziąć ze sobą żonę.

- Więc naprawdę nic widziałas jej przez te wszystkie lata?

- Nie.

- Jak ci się to udaje?

- Tak, jak ona powiedziała...

- Co?

- Ingrid - rzuciła z pogardą Carver. - Tak jak ona powiedziała. Mam z nim układ. - A dlaczego on się na to zgodził?

- Miał swoje powody.

- Jakie?

- To długa i stara historia.

Reese postanowiła na razie zostawić ten temat.

- Na czym więc polega ten układ?

- Nic ma mowy o żonie.

- Co jeszcze?

W tym momencie Carver stanęła okoniem. Sięgnęła po torbę, lecz Reese odsunęła ją, po czym chwyciła dziewczynę za przegub.

- Co jeszcze? - sondowała Reese, zaciskając uchwyt.

Nie pozwalam, żeby mnie związywał. Nie jestem taka głupia. Nie chcę skończyć tak jak ta, którą znaleźliście. Reese puściła rękę Carver.

- Co wiesz o tym, jak ją znaleźliśmy? Mówił ci coś?

- Nie musiał.

- Ale mógłby? Opowiedziałby ci? - spytała Reese, choć nie podobał jej się kierunek, w jakim zmierzała.

- Rozumiem rzekła Carver. - Chce pani, żebym dla pani szpiegowała. Taśmy i magnetofony, o to chodzi? - Teraz śmiała się dziwnym, pozbawionym wesołości śmiechem. Zazwyczaj przyklejacie to delikwentowi do ciała, zgadza się? A gdzie ja mam to włożyć?

- Nie o to mi chodziło - zaproponowała Reese. Carver już się nie śmiała.

- A o co pani właściwie chodzi?

Reese zwlekła z odpowiedzią, mając w oczach aż nadto wyraźny obraz Carver z Santerre'em. Ale ciągnęła nieustępliwie:

- To może być bardzo niebezpieczne. Musisz ocenić ryzyko, jakie na siebie bierzesz. Czy szkoda nie przeważy ewentualnego zysku. Reese nie potrafiła mówić przystępniej, wiedziała, że jej słowa brzmią jak fragment z podręcznika dla patroli ulicznych.

Carver znowu zaczęła się śmiać.

- Jakby całe moje życie nie było ryzykowne. W głosie Reese pojawiła się ostrzejsza nuta.

- Nic mi nie powiedziałaś. Gdy ci obiecywałam, że mogę cię ochronić, nie wiedziałam... o tym waszym układzie.

Carver uspokoiła się.

Myślałam, że pani wie - wyjaśniła cicho. - Albo że się pani domyśli. Że jakoś się pani dowie i nie będę musiała o niczym opowiadać. Nie chciałam pani o tym mówić. Ale tego też nie chciałam. Żeby pani dowiedziała się w ten sposób. Od niej. Kiedy ona tu siedzi.

- Wiem, że nie chciałaś - odparła Reese.

Siedziały przez chwilę w milczeniu, po czym Reese zapytała:

- Skąd wiedziałaś o tej dziewczynie? Że ją związał?

- On to lubi. Po to żyje. Po to i dla swoich ciemnych interesów. To chyba też jest jakieś życie.

- A twoje życie?

- Co takiego?

- Po co ty żyjesz?

- Gdybym się nad tym za bardzo zastanawiała, chyba bym w ogóle nie żyła.

- Może jest właśnie odwrotnie.

- jak to?

- Może gdybyś się nad tym zastanowiła, miałabyś inne

życie - rzekła Reese, choć widziała aż zbyt wyraźnie, że ta dziewczyna pragnie śmierci, i nie chciała przykładać do tego ręki. - Moim zdaniem nie powinnaś już tam wracać. Nie powinnaś się z nim widywać.

- Jak to? Nie chce pani dorwać tego drania? Czy nie po to pani żyje, pani detektyw?

Rozdział dziewiętnasty

Reese nie mogła przekonać Carver, by nie wracała do siebie, ale przynajmniej umówiły się na następny dzień. Carver zgodziła się, by Miller podwiózł ją na dworzec. Gdy czekały, Reese zadała ostatnie pytanie.

- Byłaś ostatnio z Santerre'em?

- Wczoraj wieczorem - odparła Carver. Co takiego? - zdziwiła się Reese.

- Wczoraj wieczorem.

- O której godzinie?

- Dokładnie nie pamiętam.

Ale wtedy właśnie zapukał i wszedł do pokoju Miller. Reese gapiała się nań tak długo, aż w końcu zapytał:

- Coś się stało?

- Nie — odparła. - Wszystko gra.

Gdy Miller wyszedł z dziewczyną, Reese pośpieszyła ku schodom, starając się zrozumieć, dlaczego powiedział, że Carver przez całą noc nie wychodziła z domu. Musi istnieć jakieś inne wyjaśnienie prócz tego, które przyszło jej na myśl, którego nie mogła wybić sobie z głowy, idąc do Ingrid. Po prostu musi mieć nadzieję, tak jak musi wierzyć, że Santerre nie wie jeszcze o jej spotkaniach z Carver.

Doszła do korytarza. Zwolniła kroku, gdy z celi Ingrid dobiegł ją głos Hleanor.

- Więc co pani z tego ma?

- Nic - odparła Ingrid.

- I ja mam w to uwierzyć?

- Niech pani wierzy, w co pani chce. Chyba wszyscy tak robią, zgadza się?

Reese dała znak strażniczce, by wpuściła ją do celi. Gdy we trzy znalazły się na tak małej przestrzeni, nagle zrobiło się bardzo ciasno tak ciasno, że Reese poczuła się oszołomiona. Zbyt wiele myśli przebiegało jej przez głowę. A światło było tak przyćmione, że sylwetki Eleanor i Ingrid rozmazywały się jej przed oczami.

Przyszła mi pani przyłożyć, pani detektyw? - zapytała Ingrid.

Reese opamiętała się, gdyż istotnie miała taką chętkę - cisnąć Ingrid o ścianę, wydusić z niej wszystko. Ale zaniepokoiło ją, że było to po niej widać.

- No, pani Santerte - zaczęła Reese - co tam jeszcze trzyma pani w zanadrzu?

- Mówiłam już pani koleżance, że absolutnie nic. Ale ona mi nie wierzy. Może pani uda się ją przekonać...

Dość tego! ryknęła Reese. Mam już ciebie powyżej uszu. Stoisz tu w tej cholernej celi z dwojgiem jedyńych ludzi, którzy mogą uchronić cię przed wyrokiem śmierci za morderstwo, i dalej uprawiasz swoje gierki. Przyjemnie ci, że tak się przez ciebie miotamy? Chowasz jeszcze więcej sekretów, żeby zrobić więcej przedstawień? jak to tam na górze? O co tam chodziło? Dlaczego znęcałaś się nad Carver?

Ona nie jest dzieckiem, naprawdę, pani detektyw. I chyba nigdy nic była.

Reese uwierzyła. Lekki dreszcz przeszedł Ingrid, gdy mówiła te słowa. Głos miała opanowany, lecz całe jej ciało trzęsło się jak galareta. A więc tędy wiedzie droga do wnętrza tej kobiety.

- To w ten sposób udaje ci się zasnąć w nocy? Wmawiając sobie, że jest dorosła? Że zawsze była? Nawet wtedy? Co? Ile wtedy miała lat? Trzynaście, czternaście? A ty? Co? Po prostu pozwalałaś mu?

- Dlaczego ciągle się pani upiera, że jestem odpowiedzialna za to, co robi mój mąż? — Znowu mówiła miarowym głosem, choć wstrząsało nią drżenie.

Była pani tam, moja droga. Była pani w hotelu z tamtą dziewczyną. Była pani z Carver. Była z nim pani w tę noc, gdy zabił waszą córkę. Jak miała na imię? Czy może mi pani chociaż powiedzieć, jak miała na imię? A może pani zapomniała? Nie pamięta pani imion dziewcząt, które zabija mąż? Które pomaga mu pani zabić? Ile jest tych imion?

- Lila - odparła Ingrid głosem drżącym wraz z całym ciałem. -Lila - powtórzyła, robiąc krok w kierunku Recsc, lecz potem zrobiła zwrot, dojrzała do łóżka i usadowiła się na nim.

Reesc odwróciła się od Ingrid ku Hleanor, która powiedziała:

- Caroline, odpuść sobie na chwilę. Spotkamy się na górze. Reese nie chciała odejść, lecz usłuchała. Kopnęła w kraty, by zwrócić uwagę strażnika, i poszła.

Pod jej nieobecność Ingrid zupełnie oklapła. Eleanor stała nad nią tylko i patrzyła, niepewna, co robić, jak ją pobudzić.

- Musimy jeszcze porozmawiać, pani Santerre. - Tylko tyle przyszło jej do głowy przed wyjściem. I nie miała pojęcia, czy Ingrid w ogóle ją usłyszała.

Eleanor Coffey poszła po schodach do pokoju operacyjnego. Przystanęła przed wahadłowymi drzwiami, po czym pchnęła je i weszła do środka. Zobaczyła, jak Reese ciska swoimi rzeczami na biurku - telefonem, teczkami, trzaska szufladami - wszystkim, cokolwiek znalazło się w zasięgu jej ręki. Eleanor zatrzymała się przy drzwiach, tu też nic nie wiedząc, co robić. W końcu usiadła na krześle Millera, żeby oddzielić się od Reese fizyczną barierą dwóch biurk. Nie chciała, by gniew przyjaciółki skrupił się na niej.

- Caroline - zaczęła, lecz Reese najwyraźniej nie usłyszała. - Caroline - powtórzyła, tym razem głośniejszym głosem — przestań.

I Reese przestała. Po raz ostatni z hukiem zamknęła szufladę, a potem uspokoiła się i rozejrzała wokół.

- Co za uparta dziwka! - wymamrotała pod nosem.

- To jeszcze nie wszystko - rzekła cicho Eleanor.

- Wspaniale. Nie mogę się doczekać. Nic tu. Nie możemy tutaj rozmawiać.

- Tak, masz rację. Zabierajmy się stąd.

Rozdział dwudziesty

Pojechały do Eleanor. Wzięły jej samochód, jazda przebiegła w milczeniu, gdyż Reese musiała się powstrzymać od uszczypliwych komentarzy na temat mercedesa. W zamian

usiłowała się nacieszyć jego luksusem. Zapachem skóry, nie nowym, lecz jednak wyczuwalnym. Przebiegła palcami po drewnianej tablicy rozdzielczej. Recse doszła do wniosku, że Eleanor ma dobry gust, i postanowiła myśleć o czymś przyjemnym.

Gdy weszły do mieszkania, Reese od razu podeszła do kanapy, zanim jeszcze Eleanor zdążyła przygotować drinki.

- No więc co masz? - spytała Recse, gdy obie siedziały już na kanapie.

- Ingrid jest właścicielką domu Carver.

- Jezus! Nie Santerre? Kiedy się o tym dowiedziałas? Dziś rano. Ale jest jeszcze coś. Ona posiada te wszystkie domy. Również i ten, w którym pracowała zmarła dziewczyna.

- Skąd ty to wszystko u^Tiesz?

- Poprosiłam parę osób o przysługę. Trochę sama pogrzebałam. Moje miejsce pracy ma pewne zalety.

- Ile domów?

- Ze sześć. Wszystkie tego samego rodzaju, ale rozrzucone po całym mieście.

- Kiedy powstały?

- Jeden po drugim. Mniej więcej co roku.

- Jej własne, małe imperium. Ktoś jeszcze jest w to wmieszany?

- Nie, tylko jej nazwisko widnieje na tytułach własności. Żadnych syndykatów, najmniejszych prób kamuflażu.

Santerre musiał wiedzieć. Uważasz, że chcieli, by to wyszło na jaw?

- Ona może tak. On absolutnie nie. Choć, jak zdążyłam się zorientować, on uważa, że jest nietykalny. Może chce tego dowieść. I pewnie ma rację. Caroline, wszyscy siedzą u niego w kieszeni, i to nie tylko w tym mieście. Przyjrzałam się jego firmie...

Harris mi mówił. INISCO, zgadza się? Lekarstwa, chemikalia i tym podobne.

- Tak, i tym podobne. Nazywają to Apteką Świata. Beztróskie życie dzięki ich pigułkom i proszkom. Rozejrzyj się, a zobaczysz, jak zaniżają ceny, co niejedną fabrykę doprowadziło do bankructwa. Ostatnio natomiast kupują sobie aprobatę

Federalnego Urzędu Leków. Ale część farmaceutyczna to pestka w porównaniu z tym, co się dzieje w dziale chemicznym.

- Prawa ręka daje lewej, czego sobie tylko zażyczy...

- I odwrotnie. Przypomnij sobie operację „Pustynna Burza”. Pomyśl o Iraku, przed wojną w zatoce. Pomyśl o chemikaliach jako o broni chemicznej. O oblewaniu ludzi różnymi substancjami prowadzącymi do chorób i śmierci, na rozmaite sposoby i z rozmaitych powodów. Pomyśl o Komitecie Akcji Politycznej, o Pentagonie, ale przede wszystkim o zyskach. Zyskach i władzy.

- Myślę, że jesteśmy załatwione. Całkowicie i nieodwołalnie.

- To kolejny obszar jego działalności. Caroline, nikt nie chce jego upadku.

- Więc jego łapy sięgają...

- Od morza do morza i na drugi brzeg. Ale mamy kłopot, który bardziej nas dotyczy. Sama to powiedziałaś.

- Co powiedziałam?

- Że jego opowiadanie brzmi tak, jakby miał je gotowe od lat. Najwyraźniej wszystko zaplanował, osadził na odpowiednim tle, przygotował się na tę ewentualność. Pewnie dlatego tytuły własności są na nazwisko jego żony. Drobnie dodatkowe zabezpieczenie na wypadek, gdyby go złapali. Teraz może wrobić żonę już zupełnie gładko.

- Więc co? Po prostu nami manipuluje? - A jak uważasz?

- Nie chcę nawet myśleć o tym, co mi przyszło do głowy.

- A co ci przyszło?

- Że jestem... że jesteśmy pionkami w jakiejś jego grze. Że ta cała cholerna biurokracja tylko zaspokaja jego kaprysy. To znaczy, że rzucają coś o takiej skali na nasz mały posterunek... Gus mówił to od samego początku. - Co mówił?

- Że jeśli rzucają nam taką grubą rybę, to chcą, żebyśmy albo złapali ją w określony sposób, albo odrzucili. Harris też mi to od razu podsunął. Że Santerre ma w kieszeni burmistrza, każdego urzędnika miejskiego trzyma w garści. Ale potem powiedział: „Idź i spróbuj go złapać”. I że zwolni mnie z innych spraw. Gusa też. Ostrzegł nawet, że nie będzie mógł zapobiec temu, co się stanie, jeżeli sprawy pójdą nie tak. Chciał, żebym uprzedziła Gusa. Więc o co mu w końcu chodzi?

- Caroline, słyszałam, że w sprawach zawodowych Harris to facet, który lubi siedzieć okrakiem na barykadzie. I mości sobie miejsce z obu stron.

- Więc będzie wyciągał mi linę, aż się na niej powieszę? Albo zrobisz z niej kołnierzyk, w którym będzie dobrze wyglądał. Informujesz go na bieżąco?

- Z początku tak, teraz już mniej. Ale tylko dlatego, że nie miałam czasu, a on nie pytał.

- A Gus?

- Nie wiem. Nie jestem już pewna Gusa.

- Jak to?

- Zeszłej nocy obiecał, że będzie miał oko na Carver. Powiedział, że przez całą noc nic wychodziła. Potem ona mówi, że była z Santerre'em. Poradź mi, jak to połączyć, żeby on wyszedł z tego w porządku. A także jak mam samą siebie przekonać, że Santerre jeszcze nie wie.

- O czym?

- O wycieczkach Carver do śródmieścia. O moich wizytach u niej. A teraz zostawiłam ją i odesłałam tam z powrotem. Gus miał ją odwiedzić na dworzec. Ellie, ta dziewczyna...

- Co znowu?

- Poprosiłam ją, żeby poniuchala dla mnie. Ellie, ona nawet nie mrugnęła. Myślę, że chce być następna na jego liście. - Nie możesz temu zapobiec. - Może i nic, ale na pewno nic chcę do tego przykładać ręki.

- Ma całe lata, żeby ją zabić. A może chce ją mieć żywą? Może jej potrzebuje? Żonie z pewnością jest potrzebna.

- A może po prostu nie chce dać jej tego, czego ona chce.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Ledwo Carver wysiadła z pociągu, natychmiast to wyczuła. Nieruchoma cisza zmierzchu przypomniła jej o czymś, czego nie mogła umiejscowić, o czym nic chciała pamiętać. Ale gdy ujrzała limuzynę jego limuzynę - która na nią czekała, nie mogła już uciec od tego wspomnienia.

Gdyby miała resztki wątpliwości, obecność samochodu u-

pewniłaby ją, że wiedział o wszystkim. I że postanowił podnieść stawkę.

Z wolna, niemal płynąc, podeszła do samochodu. W środku usiłowała udawać spokój. Przez lata ciągle uciekała się do tego wybiegu. I zawsze zdołała zachować pozory opanowania. A przynajmniej tak jej się wydawało.

Lecz dzisiaj nawet nie mogła udawać. Próbowwała powstrzymać drżenie, ale nic z tego nie wyszło. Nie potrafiła też uspokoić myśli ciągle powracających do owej nocy, kiedy kazał ją pociąć.

Wzrok miała utkwiony prosto przed siebie. Patrzyła na tył karku Tony'ego. Wpatrywała się weń, by zaczerpnąć stąd nieco otuchy. Ale to nie odniosło skutku, gdyż Tony również był obecny tamtej nocy. On zadał ostateczne cięcie. I chociaż to właśnie Tony'ego było jej najtrudniej znieść, Carver przekonywała samą siebie, że ta niechęć bierze się ze zmęczenia, wcześniejszej poniewierki, zwykłej obolałości - tylko tyle.

Ostatnio jego towarzystwo przestało jej przeszkadzać. Może po prostu wymogły to na niej okoliczności - widywała go tak często. Właściwie cały czas, ale przynajmniej był od niej oddzielony. Zawsze siedział na przednim siedzeniu, a w razie potrzeby mogła podnieść szklaną przegrodę.

Wmówiła też sobie, że nie odegrał roli w pocięciu jej. Że nie wiedział, co ma nastąpić. Był tego równie nieświadomy jak i ona. Ta wersja wydawała się jej prawdopodobna, choć rozumiała, że musiał tak postąpić z powodu swej pozycji. Że w ogóle jest kierowcą, nie siepaczem.

A jednak zdecydował się pozostać jako kierowca. Dwaj inni byli podwykonawcami i już dawno zniknęli. Nowi pojawiali się i odchodzili, a Tony trzymał się swego zajęcia. I choć brał udział w wydarzeniach tamtej nocy, napadł na Carver i pociął ją, nigdy nie awansował.

Starła się powrócić do rzeczywistości. Udało jej się to na moment, gdy zastanawiała się, co teraz zrobi z nią Santerre. Jakie są jego zamiary. Ale cokolwiek wymyśli, ona to przeżyje. To wydawało jej się największą obelgą. Że każe jej wszystko znosić bez nagrody, bez ratunku.

Ale teraz ratunek zaczął oznaczać coś innego. Nie może już sobie dłużej wmawiać, że Reese nie odegrała roli w tej zmianie.

Pomyślała, że policjantka wtargnie niespodziewanie, by uratować ją przed Santerre'em. Carver musiała ostatecznie przyznać się sama przed sobą, że żywi to kłopotliwe pragnienie, że nie potrafi dłużej się przed nim bronić.

Dotychczasowe sposoby ucieczki już nie wystarczały, skuteczniejszych została pozbawiona. Odebrano je dziewczynie, zanim zdążyły się wyczerpać, zanim w ich miejsce znalazła inne osłony. Nawet strzykawka w jej torbie wydawała się na nic. Wykazała jej to Reese prostymi słowami - to się na nic nie zda. Utkwiły one w pamięci Carver. Nie pouczanie czy prawienie morałów, po prostu stwierdzenie niezaprzeczalnego faktu.

Usiłowała odegnąć od siebie te myśli powrócić do swej dawnej osobowości. Chciała zaczerpnąć oddechu, ale powietrze było tak duszne, że stawało jej w gardle. Próbowwała więc je przetykać zamiast oddychać.

Reese opuściła mieszkanie Eleanor Coffey w stanie bliskim szoku. Szła na oślep, choć krok miała zdecydowany. Od czasu do czasu odwracała głowę w poszukiwaniu taksówki, lecz gdy się pojawiała, policjantka zbyt wolno wyciągała rękę.

Maszerowała więc wytrwale, przemierzając odległość osiemdziesięciu pięciu bloków, które dzieliły jej apartament na Piątej Alei od mieszkania Eleanor. Przez cały czas myślami biegła do Carver, Santerre'a, Ingrid; przelotnie zatrzymywała się na Millerze, Harrisie. Odbiła długą drogę, zastanawiając się, w co się właściwie wpakowała i czy nie mogła złapać taksówki dlatego, że nie była zdecydowana, jaki adres podać kierowcy.

Santerre czekał w swoim gabinecie. Myślał o popołudniowym spotkaniu z Burnsem. Adwokat prosił go, by przez jakiś czas trzymał się w cieniu i oparł się pokusie publicznych wystąpień. Uznał takie postępowanie za roztropne, toteż nie podważał go. Zastanawiał go język Burnsa. Adwokat z podziwu godnym wysiłkiem starał się ukryć niesmak wobec upodobań chlebobdawcy; gdy był zmuszony do ich omawiania, zawsze zdradzał cię niechęci, choć wyrażał ją jedynie w formie niewyraźnych aluzji.

Santerre tolerował taką postawę prawnika, wiedząc, że przy zachowaniu odpowiedniej równowagi jest to atutem w jego pracy. Wziął teczkę, którą dostarczył mu Burns. Przejrzawszy ją, znalazł tam informacje niekorzystne dla siebie, niemniej interesujące. A więc teraz również i jego żona miała na swoje usługi groźnego adwokata. No cóż, Santerre poradzi sobie z tym bez trudu.

Odrzucił teczkę z powrotem na stolik i wziął drinka. Tylko niezwykle bystry obserwator, przypatrujący mu się bardzo uważnie, zorientowałby się, że Santerre ściska szklanekę mocniej niż zazwyczaj albo że gasi papierosy, zanim zdąży wypalić je do końca, że częściej podnosi się z krzesła, by dorzucić sobie lodu, dolać więcej whisky.

Pod warstewką opanowania cały aż się gotował. Gniew tak go pochłaniał, że przyćmiewał prawdziwy obiekt jego wściekłości. Tak trudny, niemożliwy do osiągnięcia, że Santerre chwyci się tego, co jest dlań dostępne. Czego od lat używał w zastępstwie córki. Potrzebował jej - potrzebował Niny, by wyświadczyła mu tę kluczową usługę, a to również go podniecało.

Czekając na Ninę, powrócił myślami do owej nocy, kiedy ją spotkał. To, że znalazł dziewczynę tak blisko domu, nadal zakrawa dlań na cud. Miał kolejną przykrą scenę z żoną - wtedy to była codzienność, tuż po wypadku. Ingrid lamentowała i obwiniała go. Wpadała w tak dziką wściekłość, że rzucała weń, co miała pod ręką, i nie można jej było uśmierzyć żadnymi środkami uspokajającymi.

Tej nocy zaczęła ciskać, czym popadnie. Roztrzaskiwała o ściany kruche przedmioty, aż bałagan, zamęt stały się dla niego nie do zniesienia.

Skierował się ku drzwiom - poleciały za nim jakieś szklane rzeczy, roztrzaskując się obok niego, zaśmiecając kawałkami szkła marmurowy hol. Ingrid mierzyła albo obok niego, albo dokładnie w jakiś cel, gdyż ani razu nie oberwał. Na koniec marmurowe jajo spadło na marmurową podłogę. Podskoczyło, po czym potoczyło się, podrygując, aż na koniec zatrzęsło się tuż koło jego buta. Nastąpiła chwila ciszy, po czym znowu rozległo się zawodzenie. „Sprowadź ją z powrotem” — łkając, powiedziała Ingrid po raz ostatni, nim osunęła się na podłogę.

Pojechał więc na dworzec. Zamierzał spędzić noc poza

domem - w hotelu, samotnic, spokojną noc, by dojść do siebie. A potem zobaczył ją - Ninę najwyraźniej szukającą klientów na parkingu. Była tak ładząco podobna do jego córki, że wstrząsnął się, jakby zobaczył ducha.

Podszedł do niej. Potem szybko ujął ją za ramię, tak jak często ujmował córkę. Chciał się przekonać, czy ona rzeczywiście istnieje - czy jest z krwi i kości, czy też widzi omam, uludę.

Udawiała szorstkość. Ale widział, że to do niej nie pasuje. Nie nauczyła się jeszcze grać tej roli, więc w sam raz nadawała się do takiej, o jaką mu chodziło. Pod każdym względem odpowiadała jego celom. Plan zaczął już nabierać kształtu. A w miarę jak go tworzył, czuł się coraz bardziej zadowolony, co wyraziło się w lekkim uśmiechu. „Sprowadź ją z powrotem”? Zrobi właśnie to, o co prosiła go żona. Po raz pierwszy postąpi tak, jak sobie życzyła.

Gdy limuzyna wjechała na bitą drogę, Carver również myślała o tej nocy, gdy poznała Santerre'a, Pracowała na parkingu. Co do tego się zgodzili. A on też wydał jej się widmowaty, gdy wyłonił się znikąd i wziął ją za rękę.

Trzymał ją lekko, lecz skutecznie. Uchwycił jej łokieć nie dłonią, lecz palcami. Kciuk i dwa, może trzy palce wbiły się w jej staw w taki sposób, że nie mogła tuszyć ręką. Dzięki temu kierował nią bez trudu.

Nie zawarli ze sobą żadnej umowy, nie ubili interesu. Wylądowała w jego samochodzie. Pozwoliła, by ją zabrał. Gdy wjechali na długi podjazd pod jego domem, wciąż zastanawiała się, dlaczego do tego dopuściła. A potem zaprowadzono ją do Ingrid. Naiwnie, wręcz głupio, wzięła to za przeznaczenie.

Santerre lekko się uśmiechnął, przypomniawszy sobie, jak jego żonie zaparło dech w piersiach, gdy sprowadził Ninę do domu. Leżała tam, gdzie ją zostawił: skulona na marmurowej posadzce pośród odłamków szkła.

Kiedy wprowadził Ninę do środka, jego żona poruszyła się na dźwięk otwieranych drzwi i wstała, by ich przywitać. Tą

chwilą rozkoszował się z góry - ręka Ingrid poderwała się do ust, by stłumić dźwięk, który zdążył już się jej wyrwać.

Carver również pamiętała ten dźwięk. Niesamowity, wręcz kompromitujący, ciągle ją prześladował. To ten dźwięk, bardziej niż cokolwiek innego, połączył, zespolił ją z Ingrid.

Takiego obrotu sprawy Santerre w swoim planie nie przewidywał. Ta chwila na zawsze została zaprzepaszczona, ponieważ dziewczyna oderwała się od niego. Przeszła tak szybko od jego boku do boku żony, przemierzyła hol, by przy niej ukłęknać. A więc przeliczył się. Sądził, że skoro Nina wygląda tak odpowiednio do tej roli, będzie ją grała.

Jeszcze teraz Carver wzdrygała się, przypominając sobie ten dźwięk i udreńczony, niczego nie rozumiejący wyraz oczu kobiety. Nie wiedziała, dlaczego wywarła na niej takie wrażenie. Podeszła do niej instynktownie, coś ją do leżącej pociągnęło tak szybko, że nie pomyślała o skutkach. Jak wpłynię to na zachowanie mężczyzny, który ją wynajął.

Odpowiedź odkryła aż nazbyt szybko. W końcu nadal płaci za tę drobną omyłkę. Ale stara się nigdy nie myśleć o wrażeniu, jakie wywarła na niej kobieta. Lecz Reese i do tego się dogrzebała. Carver wymknęła się nieopatrzna wzmianka - przyznała, że pragnęła mieć matkę i myślała, iż znalazła ją w Ingrid. Wyznała to Reese. Opowiedziała jej o rzeczach, do których uparcie nie chciała się przyznać sama przed sobą. Unikała tego, żywiąc głębokie przekonanie, że taka samoświadomość może ją zawieść do miejsc o wiele gorszych niż wszystko, co zdoła wymyślić Santerre.

Pogładziła dłonią kolano. Stwierdziła, że przez dziurę w dzinsach głaszcze małą szramę. To kawałek szkła z ich podłogi utkwił tam na stałe, tworząc mały, niebieskosiny guz. Głaskała go, póki Tony nie wjechał na podjazd Santerre'a.

Czekał na nią. Poszła do gabinetu jak zwykle, choć odgłos szurania płaskich obcasów na marmurowej posadzce przypomniawszy jej, że nie jest odpowiednio ubrana. Lecz gdy go zobaczyła, przekonała się, że i on ma na sobie mniej oficjalny strój: bez marynarki, bez krawata, z podwiniętymi rękawami koszuli. Natychmiast pożałowała, że nie wzięła narkotyku. Dlaczego zapomniała o tej cholernej działce?

I wtedy zobaczyła - łańcuszek wokół jego szyi. Teraz widziała już tylko naszyjnik, jej pamięć zatoczyła się koło do miejsca i nocy, o których z całych sił starała się zapomnieć. Najpierw pomacał naszyjnik, a potem zawieszoną na nim fiolkę. Wiedziała, co zawiera fiołka. Kawałek jej ciała, pływający w zielonożółtym płynie - jego trofeum, dowód, że ludzie Santerre*a wykonali robotę.

- Dziwię się, że to trzymasz - zauważyła.

- Nie, wcale cię to nie dziwi - odparł.

Jak zwykle miał rację. Zawsze nosił ten naszyjnik, tyle że ukryty, schowany pod koszulą i krawatem.

Usiadła na kanapie, aże nie przyniósł jej drinka. Sięgnęła po torbę, wyciągnęła strzykawkę, lecz on już do niej podchodził. Zanim zdążyła się zorientować, siedział koło niej - potrafił poruszać się bardzo szybko, sprawiając przy tym wrażenie, że w ogóle się nie rusza. Bez trudu wyjął jej z ręki strzykawkę i rzucił na stojący obok stolik. Patrzyła, jak strzykawka toczy się po nim. Nie odrywała od niej wzroku, póki nie zatrzymała się na teczce.

- Mam coś dla ciebie - powiedział Santerre. - Coś znacznie lepszego niż to.

I zanim uświadomiła sobie, co on robi, już trzymał ją za włosy. Ciągnął je, odchylając jej głowę do tyłu. Potem wsunął jej coś do ust. Poczowała gorzki smak, gdy to coś zaczęło się rozpuszczać. Santerre ciągnął ją za włosy. Drugą ręką gładził jej gardło, niczym kłębniemu domowemu zwierzątku.

Wydawał z siebie jakieś kojące słowa C2y dźwięki, gdy pastylka przesuwiała się coraz niżej. Dziewczyna osuwała się wraz z nią, tracąc przytomność tak szybko, zbyt szybko. Na ostatek poczuła w ustach knebel, ale nie wiedziała, czy to efekt działania pastylki, czy jego zaciskającej się dłoni.

Reese dotarła wreszcie do domu. Zziębnięta i obolała od szalonego marszu, pierwsze kroki skierowała do łazienki. Odkręciła kurki, puściła wodę do wanny w nadziei, że kąpiel ją uspokoi. Nie zajrzała nawet do skrzynki na listy. Nie zwracała też uwagi na migotanie automatycznej sekretarki. Chodziła tylko po mieszkaniu, czekając, aż wanna się napelni.

Gdy kąpiel była gotowa, zanurzyła się w niej, zdecydowana się odprężyć. I zgodnie z jej oczekiwaniami tak się rzeczywiście stało. Zapadała się, a potem powoli unosiła. Z wolna odpływała od terażniejszości, aż w tej gorącej, wonnej wodzie nieomal chwyciła ją drzemka. Tkwiła w jakimś niebycie, w zawieszeniu.

Wtem, nagle, bez udziału terażniejszości, z tego kojącego zapomnienia przeszła do drugiego absorbującego ją wymiaru — do przeszłości. I wtedy, jakby w nią piorun strzelił, uniosła się, wyszła z wanny i już stała przy umywalce owinięta aksamitnym szlafrokiem.

Odkręciła zimną wodę, ochlapała sobie twarz, zmuszając się jednocześnie do zachowania przytomności umysłu i powrotu do terażniejszości. Poszła do łóżka, znowu przypominając sobie o Carver, I nie mogąc otrząsnąć się z tych myśli, wróciła do punktu wyjścia.

Gdy wchodziła do łóżka, słowa Ingrid zamąciły jej umysł. Cała tajemnicza wymiana zdań między tą kobietą i Carver ponownie rozegrała się w głowic Reese. Wciągnęła ją, szarpiąc to w jedną stronę, to w drugą. Zmagiła się z tym wszystkim - kto kim manipuluje, kto wygrywa. Ale głównie wszystkim walczyła z wyobrażeniem Carver w łóżku Santerre'a.

Właśnie w łóżku obudziła się Carver. Gdy doszła do siebie, odkryła, że znowu została schwytana. Pierwszą oznaką był cienki pasek, mocno zaciśnięty na jej szyi. Bolały ją ramiona, związane z tyłu. Szorstki skórzany pasek wrzynał się jej w przeguby. I Santerre zdjął z niej ubranie.

On sam siedział na brzegu łóżka. Przybrał pozę zmartwionego rodzica, opiekującego się chorym dzieckiem. Gdy zamrugła, pochylił się niżej. Łańcuszek i fiolka zadyndały bliżej jej oczu. Bujały się w przód i w tył, rzucając dziwaczne małe cienie na twarz Carver.

- Wygodnie ci? - odezwał się wówczas, a jego głos wyrażał to samo zmartwienie co poza.

Dziewczyna nie odpowiedziała.

Ach, Nino, zawsze z ciebie taki uparciuch - ciągnął.

Wsunął rękę do kieszeni, wyciągnął scyzoryk i otworzył go. Leżała zupełnie nieruchomo, gdy głaskał jej twarz nożem - płaską powierzchnią, nie ostrzem. W ten sposób zostawiał to jej - czy chce się poruszyć i zostać pocięta. Carver nadal spoczywała bez najmniejszego ruchu.

- Jak się ma moja żona? Znowu nic odezwała się.

W odpowiedzi Santerre przeciągnął nożem po jej wargach. Zrobił to w taki sposób, że zmusił Carver do otwarcia ust - tylko tak mogła uniknąć cięcia. A potem nóż znalazł się na jej języku.

- Nie potrzebujesz już tego więcej? - zapytał Santerre, leciutko obracając ostrze. A choć pytanie było proste i konkretne, kryło w sobie głębszy sens.

Carver nadal nic nie mówiła. Trzymała język nieruchomo - równie nieruchomo, jak on trzymał nóż.

- Nie rozumiem cię. Przez cały czas nie chciałaś jej widzieć i nagle do niej pędzisz? Dogadzam ci. Spełniam twoje zachcianki. I co Z tego mam? Wdzięczność? Lojalność? Nie. Tylko kłamstwo i zdradę. W ten sposób chcesz odplacić mi za moją wspaniałomyślność?

Obrócił ostrze jeszcze o ułamek milimetra. Odpowiadaj - rzekł.

Carver czuła to wszystko: kwaskowy metal, zapowiedź gęstego, słodkawego płynu, zadowolenie Santerre'a. Te wszystkie czynniki połączyły się, spływając niczym płyn z kroplówki. A choć go nie przełknęła, musiała wszystko wchłonąć. Nie pozostawił jej żadnego wyboru.

Reese nadal leżała bezsennie. Nie próbowała już zasnąć, przestała przewracać się z boku na bok. Tak było lepiej, wolała gonitwę myśli niż te swoje sny. Lecz dziś, choć nie spała, nie mogła odegnąć Franka. Usiłowała zepchnąć go w kąt, skoncentrować się na Carver, Ingrid i Santerze. Ale Frank ciągle ją

nachodził, a w takiej chwili musiała się otrząsnąć dosłownie potrząsnąć głową, by odzyskać jasność myśli, bo gdy Frank się pojawiał, wszystko zachodziło mgłą. Zawsze wszystko widziała mętnie.

Tej nocy nie mogła się przed nim obronić. Jak zawsze składała to na karb zmęczenia, zbyt długiej i ciężkiej pracy, niewłaściwego jedzenia. Zasłaniała się drobiazgami, by uniknąć poważniejszych kwestii.

Carver. Za każdym razem myślami biegła do Carver. Frank podążał razem z nią. Ćmiło jej się przed oczami, zanim jeszcze zdążył przybyć. Carver i Samerre. Tych dwoje traciło kształt, wykrwawiało się razem, póki na ich miejsce nie pojawiał się niezdarny, zamazany obraz Franka. Najpierw zmierzał ku niej, potem leżał tam - krwawiąc na jej dywan. Zrobiła z niego mokrą plamę. I jeszcze jedno, o czym nikt nie wiedział: czekała.

Och, wmówiła sobie, że była oszołomiona, zszokowana. Nadal przekonywała siebie, że to prawda. I tak było, ale nic do końca. Z pewnością czuła się wytrącona z równowagi, ale zachowała zdolność działania. Przyczaiła się. Pamięta uczucie czekania. Nie może tego zapomnieć, choć tak bardzo się stara. I to doznanie, nieodłączne od lęku, było o wiele gorsze niż późniejsza satysfakcja. Ona przynajmniej przyszła niespodziewanie. Czekanie było zamierzone, wykalkulowane - powzięła decyzję.

Znowu wyskoczyła z łóżka. Tym razem znalazła się w kuchni, z butelką w jednej ręce, szklanką w drugiej. Gdy, nalewając drinka, mocno ścisnęła szklankę, przypomniała sobie, jak Carver trzymała strzykawkę. A choć mówiła sobie to, co powiedziała dziewczynie, myślała o czymś zupełnie przeciwnym, no, może w lekko zmienionej formie. To się na nic nie zda — uznała — weź sobie coś mocniejszego.

Santerre uwolnił Carver. Ubrała się, wzięła kopertę. Siedziała teraz znów w limuzynie. Lampka świeciła tak słabo, że dziewczyna jedynie poprzez dotyk mogła ocenić swe obrażenia. Położyła rękę na przegubie, czuła palenie i drobne nacięcia. Zawahała się, a potem zmusiła do zbadania w ten sposób karku. Gdy tylko dotknęła gardła, czuła, jak się

zaciska, przydusza, jakby jeszcze znajdowała się na nim jego ręka lub pasek. Opuściła dłoń. Ale to uczucie pozostało, a ponadto język miała spuchnięty, rozkrwawiony po obu stronach nacięcia. Pod tym względem Santerre był staroświecki — oko za oko.

Czuła też strach. Ciągłe była do tego nie przyzwyczajona. A dokładniej, tak do niego przywykła, że już go nawet nie zauważała, nie powinna właściwie odczuwać żadnej obrazy. Ale w ostatnich dniach bała się coraz bardziej. Lęk był jedynym uczuciem, jakiego doznawała, i winę za to, czy też zasługę, przypisywała Reese.

Santerre bez słów wyjaśnił jej, jak powinna się teraz zachowywać. Komu ma składać sprawozdania. Carver nie była pewna, czy opowie Reese o tym, co jej się przydarzyło, czy w ogóle przyjdzie na umówione spotkanie.

Przypomniała sobie przemyślany wykres oceny ryzyka, który przedstawiła jej policjantka. Carver roześmiałyby się, gdyby nie bolało ją gardło i usta. Zamknęła oczy, ale jeszcze wyraźniej ujrzała wizerunek Santerre'a - ten, z którego nie mogła się otrząsnąć. Ciągłe go widziała, miała przed oczami dyndającą fiolkę, gdy rozpoczynał swój rytuał. Z Innej fiolki wytrząsał kokainę, którą wąchał. Wspominając ten obraz, pomyślała o swoim flakoniku Błękitnych Niebiosach - jedynej rzeczy, która należała do niej i na której mogła polegać.

Gdy Tony ją dowiózł, poszła od razu po fiolkę, wyciągnęła ją z szuflady biurka. A teraz, skoro ma ją bezpiecznie w torbie, pójdzie spokojnie na górę i położy się spać, choć będzie to wymagało jeszcze jednego zastrzyku. Ale sen nadszedł - zupełnie tępy, bez marzeń.

W końcu sen ogarnął także i Reese. Również sztucznie sprowadzony, bez marzeń. Udało jej się to dzięki alkoholowi - upiła się na tyle, by wszystko wymazać z pamięci. Reese poszła do łóżka już nieobecna duchem, niepomna na nic, pijana jak bela.

CZWARTEK

Rozdział dwudziesty drugi

Następnego ranka Reese obudziło uporczywe beczenie budzika. Na początku cicho dźwięczało jej w uchu, po czym przeszło ją na wskroś, rozrywając uszy. Owszem, głowa jej pękała. Zrobiła kawę, z początku upuszczając filtry, a potem całą maszynkę. Mogłaby się uśmieć z siebie, ze swego kaca jak z podręcznika medycyny, ale nie potrafiła zdobyć się na najmniejszy przebłysk humoru. A to dlatego, że amnezja, którą spowodował alkohol, okazała się przejściowa.

Wszystko wróciło niczym uderzenie pioruna tuż po pierwszych dźwiękach budzika. Wrócił Frank, lecz Reese nie przywykła stawić mu czoła w dzień. Ale był tu. Raz widziała go, jak leży w jej łóżku, czekając na kawę. Za chwilę spoczywał obok łóżka, skrwawiony. Za ten nowy rozwój wydarzeń, te wizje za dnia, Reese winę, czy też zasługę, przypisywała Carver.

Wzięła się w garść - umyła pod prysznicem, ubrała, wyszła. A choć zazwyczaj lubiła chodzić pieszo do pracy, tym razem udało jej się minąć tylko dwa bloki na rogu Piątej Alei i ulicy Trzynastej zatrzymała taksówkę.

Gdy dowlokła się na posterunek, hałas niemiło uderzył jej uszy. Ciężko stąpając, wspięła się po schodach do pokoju operacyjnego, doczłapała do swego biurka. Niemal po omacku sięgnęła po krzesło. Następnie usiadła, by spojrzeć w twarz Millerowi.

- Ciężka noc? - zapytał.

- Co? - powiedziała, chociaż usłyszała pytanie. Nie była tylko pewna, jaki miało ono wydźwięk.

- Wyglądasz...

- Co? - przerwała mu. Jej głos brzmiał ostro, wręcz wrogo.

- ...na zmęczoną. Właściwie na zupełnie wykończoną. Reese wzięła się w garść. Przypomniała sobie, że Miller nie

wie, nic może wiedzieć, jak jego partnerka spędza tak wiele nocy. Że nie ma jej teczki. Nikt tu jej nie ma. No, z wyjątkiem Harrisa. Harris ma całą jej dokumentację. Ale wszyscy znają jej historię. Wszyscy wiedzą, że zabiła Franka.

Potrząsnęła głową, jak tylekroć podczas ubiegłej nocy. Frank nie może atakować jej tutaj.

- Na pewno nic ci nie jest? - troszczył się Miller.

- U mnie wszystko w porządku, to o ciebie się martwię.

- O mnie? Dlaczego o mnie?

- Nie tutaj - rzekła, podnosząc się.

Reese poprowadziła Millera do garażu. Usiedli w ich samochodzie.

- Więc jesteś zmęczony? - zaczęła.

- Co takiego?

- Po tych wszystkich nocach spędzonych na obserwowaniu Carver. Nękają cię? Czy już cię dopadli? A może mieli cię od samego początku?

- O czym ty, do diabła, mówisz?

- Sama nie wiem, Gus. Myślę, że w najlepszym razie kłamiesz. Kłamiesz, że tam w ogóle pojechałeś. Albo kłamiesz na temat tego, co tam widziałeś. - Nie kłamię w ogóle i nikt mnie nie dorwał. I opowiem ci dokładnie, co widziałem wczoraj. - Wczoraj?

- Tak. Gdy ją odstawiłem na dworzec, podjechałem pod jej dom. W samochodzie zachowywała się bardzo dziwnie. Nie odzywała się ani słowem, nie odpowiadała, kiedy usiłowałem ją zagadnąć. Jakby mnie tam w ogóle nie było. Jakby jej tam w ogóle nie było. To mnie przeraziło i zmartwiło. Więc pojechałem tam i czekałem, jej samochód z wygaszonymi światłami stał przed domem. Jechałem szybko, ale pomyślałem, że może jakimś cudem ona zdążyła jeszcze szybciej. Potem na jej podjazd

skreśliła limuzyna, z której ona wysiadła. Wbiegła do środka. Limuzyna odjechała, potem nic się już nie działo. Nic do rana.

- A zeszłej nocy?

Mówiłem ci, nie wytykała nosa z domu.

Carver powiedziała coś innego. Że była z Santerre'em,

- Gdy tam przyjechałem, panowała cisza. Siedziałem do szóstej rano. Więc albo zdążyła już wrócić, albo przywieźli ją po moim odjeździe. Posłuchaj mnie. Oboje uważaliśmy, że gdyby dokądś pojechała, wzięłaby swój samochód. Albo szukaliśmy kogoś, kto po nią przyjedzie, Nie miałem pojęcia, że odwozi ją kierowca. Nie wiedziałem, do kogo należy ta limuzyna, nie miałem pewności. Mówię ci tyle, ile wiem. Kiedy się dowiedziałeś o niej i Santerze?

- Wczoraj odparła i urwała rozmowę. Nadal oceniała jego i to, co jej opowiedział.

- Sprytna sztuczka - skomentował, gwizdnąwszy cicho.

Ten dźwięk przypomniał Reese oględziny martwego ciała— przypomniał jej, jak bardzo potrzebowała pomocy Millera, by przez to przebrnąć. On jeden pomógł jej zachować równowagę. Jeden jedyny.

- Jak to z niej wydobyłaś? - zaciekał się Miller. Skonfrontowałam ją z żoną - odrzekła. Znowu mu ufała. - Mamy jeszcze coś. Żona jest właścicielką całej kupy domów. Również tego, który obstawialiśmy.

- Wiesz to od niej?

Nie. Eleanor się tego dogrzebała.

- Żona jest właścicielką? Co to, do diabła, znaczy?

- Jeszcze nie wiem. Rzucę jej to w twarz i zobaczymy, co powie. Ale na razie chciałabym, żebyś trochę powęszył. - Pogrzebała w kieszeni i wyciągnęła listę, którą jej dała Eleanor. — Tu masz wszystko: adresy, daty zamknięcia. Chcę, żebyś ustalił, według jakiego schematu to się odbywa. Jeżeli w ogóle możemy mówić o jakimś schemacie.

Pociągnąć dziewczynki za język?

- O to właśnie mi chodzi.

- Nie uważasz, że mogliby to lepiej ukryć?

- Sęk w tym, że nie wiem, w co grają. I kto jeszcze bierze udział w tej zabawie. Wygląda mi to na jedną wielką podpuchę,

na którą mielibyśmy się dać nabrać, żeby nas wystawili. Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Mhm.

- Ale pójdziesz tam?

- Tak.

Reese poczuła, że ramiona jej się rozluźniają, lecz plecy pozostały sztywne.

- Słuchaj - powiedziała - muszę się stąd zabierać. Jestem umówiona z Carver. Jeśli się spóźnię, na pewno mi ucieknie. Jeżeli w ogóle się pojawi.

- Podwiozę cię.

- Nie, wolę wziąć taksówkę. Jak wyglądała?

- Słucham?

- Zeszłej nocy, jak wyglądała?

- Nie widziałem wiele. Ale wyraźnie jak najszybciej chciała wyjść z tego samochodu.

Reese poszła, nie mówiąc już nic więcej.

Rozdział dwudziesty trzeci

Na zewnątrz, na ulicy, Reese oddychała lżej, lecz uczucie ulgi nie trwało długo. Wkrótce spotkała ją przykrość, nieodłącznie związana z Manhattanem - wychodzi się, by zaczerpnąć powietrza, po czym szybko człowiek się przekonuje, że nie ma tu żadnego powietrza.

Zatrzymała taksówkę z nadzieją, że jednak dojedzie pierwsza.

Powiedziała taksówkarzowi, żeby zawiózł ją do Washington Square Park. Po drodze zastanawiała się, co ją podkusiło, żeby wybrać takie miejsce - daleko od posterunku, lecz blisko jej mieszkania. Nie mogła wmówić sobie do końca, że uczyniła tak ze względu na wygodę Carver. Dobrze wiedziała, że to jej samej tak było wygodnie. Co prawda mieszkanie nic wydawało się ostatnio Reese wygodne. Nie czuła się już w nim bezpiecznie.

Wynajęła je, gdy jeszcze pracowała w IX Komisariacie. Wtedy było to rozsądne - w pobliżu jej rewiru, lecz poza jego granicami, już na początku swej pracy postanowiła nigdy nie

mieszkać w rejonie obejmującym teren jej działalności. Po wypadku, po historii z Frankiem, Rleanor radziła jej, by się przenieść. Lecz Reese odrzuciła ten pomysł, przytaczając wszelkie racje praktyczne. Teraz żałowała, że nie usłuchała przyjaciółki.

Znowu potrząsnęła głową, usiłując skupić myśli na Carver. Reese mogła tylko żywić nadzieję, że dziewczyna się pojawi. Lecz gdy wysiadła z taksówki przy krawężniku od północnej strony parku, ujrzała ją - już tam była, czekała pod łukiem, choć brakowało jeszcze dziesięciu minut do umówionej godziny.

W żadnym wypadku nie chciała przestraszyć Carver, podeszła więc do niej najspokojniej, jak tylko mogła. Starła się iść powoli i upewniła się, że Carver widzi, jak Reese się zbliża.

- Długo czekasz?

- Właściwie nie odparła Carver. I choć nadal rozglądała się niespokojnie, trochę się chyba odprężyła. Reese nie odrywała od niej wzroku. Mechanicznie, fachowym okiem zauważyła sińce i nacięcia na szyi dziewczyny. Na razie nie chciała o nich wspominać, nie skomentowała też jej wczesnego przybycia,

- Może usiadziemy? -- zaproponowała tylko. Zaprowadziła Carver na pustą ławkę w odludnej części parku. Gdy już usiadły, Reese starannie dobierała słowa.

- Myślałam, że już mu nie pozwalasz się wiązać.

Nie zostawiła dziewczynie miejsca na unik. Carver podciągnęła kołnierzyk koszuli. Nawet go zapięła, choć najwyraźniej sprawiało jej to ból. Niebawem znowu go rozpięła. Te nerwowe ruchy zajęły bardzo niewiele czasu, a wydawało się, że trwały w nieskończoność.

- Nie pozwalam - w końcu potwierdziła. - Nie pozwalałam. On... on... Reese czuła, że dziewczyna walczy ze sobą.

- Co on? Co on ci zrobił? - zapytała bardzo łagodnie, bardzo delikatnie. - On wic. Rozumie pani? Wie wszystko.

- Powiedz mi, co ci zrobił.

- Nie powinnam była w ogóle tu przychodzić.

- Ale przyszłaś. Opowiedz mi.

Carver spojrzała Reese w oczy. Zanim się odezwała, rzuciła jej długie, kamienne spojrzenie, jednak zaczęła mówić:

- Dal mi narkotyk. Nie mam pojęcia, jaki. - Carver urwała. Opuściła wzrok. - Nie wiedziałam, że to zrobi. Nie wiem, co to było. Nie widziałam go. To jakaś pigułka, ale nie zdążyłam jej zobaczyć. Wsunął mi ją do ust, zanim zdążyłam się zorientować. Rzecz jasna, ma swobodny dostęp do wszystkiego. -Przy tych słowach znowu uniosła wzrok, lecz nic ku Reese. Patrzyła gdzieś poza nią, gdy ciągnęła dalej: - Oczywiście ma swobodny dostęp do mnie.

Reese chciała powiedzieć coś, cokolwiek, lecz nie mając pewności, jakie słowa wywarłyby pożądaný skutek, siedziała w milczeniu.

Carver spuściła wzrok na swoje ręce. Były dziwnie spokojne w tym momencie, a gdy Reese ujrzała cięcia i zaczerwienienia na przegubach, wyciągnęła rękę, a Carver ujęła ją.

- Zrobił mi to już raz, wtedy — opowiadała Carver. - Przedtem, kiedy byłam z nimi obojgiem. Tamtej nocy o mało mnie nie zabił. Ona też tak myślała. Wiem, że tak myślała. Wtedy domyśliłam się, co się stało z ich córką, aż ją w końcu zapytałam. Ona chyba myślała, że wiem. I chyba wiedziałam. To znaczy wiem, że takie rzeczy ciągle się zdarzają, ale mimo wszystko... człowiek woli wierzyć, że nic złego się nie dzieje.

Myślałam, że wyjechała do jakiejś szkoły z internatem. Wie pani, do Szwajcarii czy dokądś tam. Nie miałam pojęcia, w co... z kim się w to wpakowałam. No bo skąd mogłam wiedzieć? Mogłam?

- Nie - odparła Reese.

Zeszłej nocy było jak wtedy. No, mniej więcej. Zachowywał się jak wtedy, jak tamtej nocy, kiedy wcisnął mi pigułkę, a gdy się obudziłam, byłam związana jego paskiem, a on się do mnie dobierał. Ale wtedy znowu straciłam przytomność. Kiedy się obudziłam, jego już nie było, a ona mnie myła, opiekowała się jak dzieckiem.

Zapytałam ją o córkę. Odpowiedziała, że znalazła ją w takim samym stanie jak mnie - związaną i siniejącą. Nie mówiła nic więcej. Nie musiała. Poradziła mi, żebym się stamtąd zabrała. On wyszedł na chwilę, a ja powinnam zniknąć.

Powiedziałam jej, że to ona powinna zwiewać, Zrobiłam tak, bo nie mogłam uciec bez niej, Nie potrafię tego wytłumaczyć w żaden rozsądny sposób. Dla mnie to też nie ma sensu.

Szkoda, że nie widziała pani, w jakim stanie ona była, kiedy zobaczyłam ją po raz pierwszy. Co z nią zrobił. Musiałaby pani czuć do niej to, co ja czuję. Nikt nie czuje do niej tego, co ja. Może z wyjątkiem jego, ale co mi to daje?

Miałyśmy wyjechać razem. To był jej pomysł. Chyba ja zawiodłam. Nie wierzyłam, że to zrobi. I wiedziałam, że nic z tego nie będzie. Przynajmniej tak uważałam. Więc wyjechała beze mnie, zostawiła mnie samą w tym domu. Widziała pani ten dom?

Reese potrząsnęła głową. Przejeżdżała tylko obok niego, widziała bramę.

- Ten dom... jest olbrzymi, jak wiejskie rezydencje. Przypomina jakiś labirynt, z którego za cholere nie można wyjść. Ja w każdym razie nie mogłam. Nie wtedy. Teraz wiem, co i jak, ale nie wtedy. Nie od razu. Nie mogłam uwierzyć, że to zrobiła. Czekałam tam trzy dni. Nie spałam, nie jadłam, trochę piłam. No, może sporo piłam. Czekałam, aż wróci. Ciągle czekałam.

Potem zrobiło się jakoś niesamowicie. Taka przygnębiająca cisza. Zamówiłam taksówkę. Tak po prostu zadzwoniłam po taksówkę. Myślałam, że może to koniec. Po jakimś czasie przyszło mi do głowy, że może to naprawdę koniec. Ale on chyba wiedział, że tak myślałam, i wtedy ich przysłał. Kazał mnie pociąć.

Jakieś dwa, trzy dni później przysłał po mnie samochód.

Nic wezwałaś policji? Carver spojrzała na Reese, zmierzyła ją wzrokiem z góry na dół.

- A pani zdaniem kto mnie pociął?

- Nie mam pojęcia.

- Paru gliniarzy, którzy siedzą u niego w kieszeni, odwaliło robótkę po godzinach. Tak to tutaj wygląda. Tam u pani to wygląda inaczej?

Reese absolutnie nie miała zamiaru zdradzać jej swoich poglądów na ten temat, ale wyraz jej twarzy się zmienił. Carver musiała coś z niego wyczytać, bo powiedziała:

- Chyba nie.

Reese w żaden sposób nie skwitowała tej uwagi. Wróciła do poprzedniego tematu:

- I co było potem?

Weszłam na jego listę płac. Jeśli nie możesz ich pobić, dołącz do nich. Do domu, drągów, do tego wszystkiego.

- A ona?

Znalazł ją, oczywiście. Kazał ją znaleźć. Przynajmniej nie znalazł nas razem, To chociaż rozegrałam dobrze. I byłam dla niej niemiła, powiedziałam, że nie chcę się z nią widzieć. To mu się podobało. Wyczułam od razu. Przynajmniej na początku był zadowolony, chociaż przez to czegoś brakowało. Zawsze czegoś brakuje.

Zgodziliśmy się na taki układ. Ciągniemy to od lat, choć tak naprawdę nic nie jest wart. Nigdy nie był. Ja nic z tego nie mam, i on też. Ale trzymamy się tego, bo... Chyba ze względu na nią. Żeby jej dopieprzyć. Choć teraz można to zrobić na rozmaite sposoby. Ja do tego nie jestem potrzebna.

- Wiedziałaś?

- O czym?

- O dziewczynie, którą zabił?

- Nie.

- Ale wiedziałaś, że chodzi do tych domów?

- Już mówiłam, że kiedy my to robimy, czegoś brakuje. On jej potrzebuje, Potrzebuje jej przy tym. To dla niego część uciechy.

- A ty?

- Co?

- Ty jej potrzebujesz? Carver odwróciła wzrok.

- Robię, co do mnie należy.

- Więc dlaczego ty? Słucham?

- Dlaczego się ciebie trzyma? Przez tyle lat?

- To proste. Proste jak cholera. Jestem do niej podobna. To znaczy do córki. I o to chodzi. Na tym to tylko polega - na rodzinnym podobieństwie. Zrobili mnie członkiem tej popierdolonej rodziny.

Reese nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Musiała zająć się terażniejszością, a jeszcze nie skończyła z przeszłością. I jak na jej oko Carver chyba nigdy z nią nie skończy.

- Więc co ci zrobił zeszłej nocy? - spytała wreszcie.

- Powiedziała pani już, wcisnął mi jakiś narkotyk. I widzi pani, jak się obudziłam. Tak jak wtedy, związana i... - Ale w tym miejscu urwała, a gdy znowu zaczęła mówić, zmienił jej się głos, ze zniecierpliwionego stał się przytłumiony. — Nie przeleciał mnie. Przynajmniej nie obudziłam się, kiedy to robił. Jeśli mnie już do tego nie potrzebuje... To co nam jeszcze zostało?

- Czego chciał?

- Słucham? - rzekła Carver. Z jej głosu, twarzy bił lęk.

- Gdy cię obudził, czego od ciebie chciał? Reese starała się mówić spokojnie, by nie zdradzić własnych obaw.

- Wypytywał mnie - to znaczy właściwie nie. Zapytał o żonę. Powiedział: „Jak się miewa moja żona?“, czy coś w tym rodzaju. Ale nie chciał słuchać. Nie o to mu chodziło. Po prostu chciał mi dać do zrozumienia, że wie.

- Co wie?

Wszystko. Wie, że się z nią widziałam. Że z panią rozmawiałam. Już pani mówiłam. Wie wszystko.

- Ale nic mu nie powiedziałaś?

Carver zaśmiała się. No, może bardziej niż śmiech przypominało to szyderyczy chichot.

- Nie, nie doniosłam na panią. Przecież nie musiałam, zgadza się? A poza tym cały czas trzymał mi nóż w ustach. Naciął mi lekko język. Naprawdę nic poważnego. Rany w ustach szybko się goją. Ale jak tyle gadam, zaczyna boleć.

Reese nadal trzymała rękę Carver w swoich dłoniach, tuliła ją, choć obie o tym zapomniały. Teraz policjantka wzmocniła uścisk.

- Słuchaj. To już zaszło dość daleko. Za daleko. Nie powinnaś tam wracać. — Ręka Carver obróciła się w dłoniach Reese. — Możemy zapewnić ci ochronę. Umieścimy cię w bezpiecznym miejscu - ciągnęła Reese.

- Sama pani w to nic wierzy. Bo gdyby tak było, czy spotkałybyśmy się tutaj? Niech pani da spokój. Nie wierzy w to pani tak samo jak ja.

Mówiła prawdę. Reese w to nie wierzyła. Ale była zdecydowana za żadne skarby nie pozwoli Carver tam wrócić. Tak jej strasznie na tym zależało, że zaproponowała jej schronienie w swoim mieszkaniu.

- U mnie w domu wyjąkała. - To tylko parę bloków stąd. Carver zrobiła niedowierzającą minę. Reese również nie wierzyła własnym uszom. Żadną miarą nie mogła sobie wmówić, że dziewczyna będzie u niej bezpieczna. Albo że w ogóle zostanie. Ale Carver gotowa była na to pójść. Obie podniosły się już z ławki. Wspólnie chciały przeprowadzić ten bardzo wątpliwy plan.

Gdy Reese przyprowadziła Carver do swego mieszkania, czuła się śmiesznie prosząc, by się rozgościła, proponując drinka.

- Gdzie jest łazienka? - spytała tylko dziewczyna.

Reese pokazała jej, rozumiejąc pytanie aż nadto dobrze. Carver już grzebała w torbie, praktycznie trzymała strzykawkę w ręce.

Reese zaczęła. A gdy Carver wróciła, Reese zrobiła jeszcze parę nieporadnych uwag, uświadamiając sobie, że wcale nie chce wychodzić. Ale musiała wracać. Musiała zadać Ingrid to pytanie na temat domów. Zastanawiała się, czyby nie zapytać, co Carver wie na ten temat, jeżeli w ogóle coś wie, ale wolała nie ryzykować. A nuż dziewczyna wścieknie się i po prostu sobie pójdzie?

A zatem dalej prowadziła niezobowiązującą rozmowę.

- Gdybyś czegoś potrzebowała, chyba znajdziesz wszystko. Jest trochę jedzenia, kawa, telewizor stoi w sypialni.

- Czy tak się nazywa pani przyjaciółka? Co takiego?

- Ta adwokatka, pani znajoma, nic ma na nazwisko Coffey czy coś w tym guście?

- Owszem, a dlaczego?

- Zobaczyłam je na teczce u Santerre'a. Myślałam, że chce kupić plantację, czy coś w tym rodzaju, tyle że było jakoś dziwnie napisane.

Reese usiłowała zachować spokój,

Aha - powiedziała poważnie i dodała: - No, tak czy tak, muszę wracać.

Wyszła. Zostawiła bezbronną Carver i tym samym też poczuła się bezbronna. Narazona mniej więcej na wszystko.

Rozdział dwudziesty czwarty

Reese postanowiła wrócić pieszo na posterunek. Chciała mieć czas do namysłu, do zastanowienia się nad własnym postępowaniem. Nie była zadowolona z obrotu wydarzeń. Ostatnie słowa Carver wytrąciły ją z równowagi. Gdyby San-terre rzeczywiście zainteresował się Eleanor, z pewnością miałby więcej niż jedną teczkę na jej temat. A jednak Carver nie była tego całkowicie pewna. Reese nie bardzo jej wierzyła, tak jak jeszcze nie mogła uwierzyć, że umieściła ją w swoim mieszkaniu.

Idąc, wymyślała historyjkę, która miałaby uzasadnić przeprowadzkę Carver do jej domu. Ale opowiadanie jakiejś historyjki w ogóle nie miało sensu. Nikomu nie wspomni o tym, co zrobiła. Wymyśla historyjki dla siebie. Wewnętrzne kamuflaże.

Ale takie rozważania to czysta strata czasu. Na rogu Szóstej Alei i ulicy Dwudziestej, spięta i wykończona własnymi myślami, zatrzymała taksówkę. Gdy stanęła na chodniku przed posterunkiem, odczuła pewną ulgę. Przez chwilę może udawać, że jest zwykłą gliną, prowadzącą zwyczajną sprawę.

Reese zeszła do podziemia, do celi Ingrid. Poleciała strażnikowi, by się odsunął. Nie chciała wchodzić do środka, miała nadzieję, że uda jej się tego uniknąć. Ingrid zobaczyła ją. Popatrzyły na siebie przez kraty.

- Niech mi pani powie, dlaczego posiada pani te domy. Dlaczego tytuły własności wystawione są na pani nazwisko? - zapytała Reese.

Ingrid wyglądała na bardzo zmęczoną.

— To jeszcze jedna z jego chytrych sztuczek - odparła znużonym głosem. - Prosiłam go, żeby nie sprowadzał już więcej dziewcząt do domu. Po historii z Niną błagałam go, żeby tego nie robił. Nie mogłam znieść takich rzeczy pod własnym dachem. I on się zgodził. Zamiast tego zaczął kupować domy. Najpierw dom Niny. Potem następnie. Ciągłe podkładał mi jakieś papiery do podpisu, więc chyba te też podpisałam. Z pewnością, bo podetknął mi je pod nos. Powiedział, że spełnia moją prośbę. Daje mi to, co chciałam. Że to na własne życzenie.

A mimo to, żeby mnie upokorzyć, nadal sprowadzał Ninę

do naszego domu. Tylko Ninę, bo poprosiłam, żeby przestał, dopiero po historii z nią. Chwytał mnie za słowa i obrócił je przeciwko mnie. Przez te wszystkie lata nie chciała mnie widzieć, a on miał ją w moim łóżku. A gdy pragnął innych, pragnął mnie, jeździł ze mną do najpiękniejszych hoteli i zohydzał je. Tyle ohydy, tyle lat ohydy.

Reese milczała. Ręka Ingrid spoczywała na kratkach, Reese przykryła ją swoją dłonią. Trzymała ją tak przez chwilę, po czym odeszła bez słowa. Kroczyła tym obskurnym korytarzem aż do podnóża schodów. Zauważywszy tam zegar, porównała czas ze swoim zegarkiem. Była prawie piąta. Minęło ponad sześć godzin. Wydało jej się to niemożliwe.

Reese zaczęła wchodzić po schodach do pokoju operacyjnego. W połowie drogi usłyszała, że woła do niej Miller. Ujrzała, że wychyla się w jej kierunku przez barierkę. Spotkali się na schodach. Zaciągnął ją do kąta na podeście.

- Bingo.

- Co? - zdziwiła się. - Czego się dowiedziałeś?

- Nie tutaj usłyszała.

Sprowadził ją na dół, z powrotem na chodnik.

- Czego się dowiedziałeś? - powtórzyła.

- Tutaj też nie - zastrzegł się. Jedziemy do ciebie.

Reese roześmiała się w głos. Miller już zatrzymywał taksówkę. Najwyraźniej on również był dziś przeciwny wykorzystaniu samochodu policyjnego. Podał kierowcy adres, a Reese go nie powstrzymywała. Gdy jechali windą na jej piętro, czuła się jak zamroczona. Może będzie pilnował Carver. Może porozmawiają w pomieszczeniu, gdzie stoi pralka. A może wszystko weźmie w łeb.

- Ejże - powiedział, gdy po prostu przekreśliła gałkę i weszła. Glina i nie zamyka się na klucz? Zwariowałaś?

Nie odpowiedziała. I nie zamknęła za sobą drzwi na klucz.

- Napijesz się? - zapytała.

jasne, czemu nie? Na służbie, po służbie, teraz to na jedno wychodzi.

Nalała drinki i postawiła je na podręcznym stoliku. Miller czekał już na kanapie, lecz zanim usiadła obok niego, zajrzała

do sypialni. Kie szukała Carver, interesowało ją, czy dziewczyna weszła po mieszkaniu. W gruncie rzeczy trudno jej się było zorientować. Zobaczyła marmurową kostkę na nocnym stoliku. Zapakowano ją jako dowód, a potem zwrócono po pobieżnym śledztwie. A Reese zatrzymała ją. Odłożyła na swoje miejsce. Gdy spojrzała na kostkę, zastanawiała się, czy Carver ją zauważyła.

Zamknęła drzwi sypialni. Przypuszczała, że Carver pewnie nie miała czasu, by rozejrzeć się po domu. Prawdopodobnie wyszła zaraz po Reese. Ale policjantka wiedziała przecież, że tak się stanie.

Usiadła obok Millera, usiłując nie myśleć o Carver, lecz skupić się na jego odkryciach.

- No więc co masz? - spytała.

Dwie dziewczyny chętne do rozmowy. Dwa domy. Ta sama historia. Słowo w słowo to, co opowiadała ci tamta mała. Cherise.

- I co? - spytała Reese.

Zdaje się, że działają na tej zasadzie: Santerre albo jego żona kupują dom...

- Nic. Rozmawiałam z nią. Tytuł własności na jej nazwisko to jeszcze jeden jego chory dowcip.

Miło to słyszeć. W każdym razie Santerre kupuje dom, każe nająć personel, zabawia się tam, póki którejś nie zabije, potem rusza dalej.

- Więc najpierw kupuje domy?

- Dziewczeta nie pamiętają dokładnie dat. Wiesz, mówią na przykład: parę lat temu na wiosnę, albo coś w tym rodzaju. Ale jeśli je trochę przycisnąć, tak to się układa. Pasuje do tych dat likwidacji domów, które mi podałaś.

- Więc obie te dziewczyny zaczęły, gdy Santerre stał się właścicielem domów?

Jedna tak. Druga jest starsza. Miller pogrzebał w kieszeniach, wyciągnął notes, przekartkował go. - Tak to opisała: „Dostajemy nowy zarząd, polem pojawiają się nowe, świeże, młode. Zaczynam pracować na krótsze zmiany”. Później opowiadała o opłatach, które narzuca nowe kierownictwo, jaką forszę robiła przedtem, i tak dalej. Aha, i jak traktują te młode, kiedy idą z „Królem Voodoo”. Tak go nazywają. Opowiadała

o tym wszystkim, jakby to była przeszłość. Zapytałem ją, kiedy to się wszystko skończyło, a ona na to: „Kiedy znalazł sobie jedną na stałe”. Wyobrażasz sobie? One wszystkie myślą, że tamte dziewczęta znalazły królewicza z bajki.

- I co się wtedy dzieje?

- Kierownictwo przechodzi w inne ręce. Chociaż musiałem wysłuchać całej litanii skarg na temat opłat. W tej kwestii chyba nic się nie zmienia.

A inne dziewczęta?

- He?

- Te, które szły z nim? Są tam nadal?

- Nie. Wyniosły się. Poużywała sobie na nich.

- A ta młoda?

- Ta sama historia, tylko od innej strony. Ściągnęli ją ze Spence - wiesz, tego elitarnego liceum. Głowę dam, że nie wiedziała, w co się pakuje.

Ile może mieć lat?

- Twierdzi, oczywiście, że ma dwadzieścia jeden. Ale liczby się nie zgadzają. Te dziewczęta z prywatnych szkół nie są chyba zbyt dobre z matematyki. Dałbym jej piętnaście, góra szesnaście.

I nadal pracuje?

- Tak. Najwyraźniej się jej spodobało. Chyba trochę się przyuczyła w domu.

Ona tak mówi?

- Niezły z niej numer. Tylko jej forsa w głowie. Nie ma zamiaru skończyć jak jej matka, takie głupoty.

- To znaczy jak?

-- Nie chce wyjść za mąż dla pieniędzy, być niewolnicą jednego faceta. Kazali jej wyjść za bogacza, a ona nie lubi, jak jej rozkazują. Nazywa Santerrc'a Człowiekiem Voodoo. Powiedziała, że ją wezwali, kiedy przyszedł. Poznała, że to pan i władca - sama tak go nazwała. W przeciwieństwie do tej twojej nie chciała iść z nim. Ociągała się.

Rozmawiała z paroma, które poszły z nim i wróciły. Na-ćpane, a potem cackano się z nimi jak z jajkiem. Ale powiedziała jeszcze coś - że je bito. Zauważyła siniaki na przegubach i na szyi.

Słyszając to, Rcesc podniosła swego drinka. Spieprzyła sprawę.

Przez te głupie zagrywki z Carver nie umówiła się z nią na następne spotkanie.

- Hej, słuchasz mnie? - upewniał się Miller.

Tak, tak. Niedobrze mi się od tego robi. Możemy szybko dolecieć do końca?

- Nie mam już wiele. Ale ustaliliśmy schemat.

- Chyba żadna nie będzie chciała zeznawać?

- To mało prawdopodobne.

- Więc to on pilnuje zwierzyny - podsumowała Reese, odstawiając drinka, akurat kiedy Miller podniósł swojego.

- Na to wygląda - odparł.

A ta młoda mówiła coś o żonie? Cokolwiek?

- Ani słowem.

- A ta druga też nie?

- Nawet się nie zająknęła - rzekł Miller. Oparty na kanapie, sączył drinka. Reese sięgnęła po swojego, gdy kolega odezwał się nagle: — Momencik. - Odstawił swoją szklaneczkę. Znowu przckartkował notes. - Jedną chwileczkę. Tu mam- Niewiele. Ta młoda, która mówiła, że go unika, że się wymiguje, i tak dalej. Powiedziała tak: „Nie jestem głupia”. Rany, wszystkie tak mówią, co? Podobnie jak my? - Gus...

Poczekaj. Nie jest to dużo, ale usłyszałem jeszcze: „Nie jestem głupia. Nie pozwolę, żeby ten dupek mnie związał. Mam już cholernych rodziców. Nie potrzebuję drugiego zestawu”.

Nie wypytałeś jej dokładniej? Nie pocisnąłeś?

Wymknęła mi się. Ale jeszcze ją dopadnę, dobrze? Jutro, od samego rana. Odnajdę ją. Wiem, jak ją znaleźć.

Reese pohamowała się. Nie mogła mu robić wyrzutów, skoro sama tak okropnie sfuszerowała swoją działkę.

- Nie ma sprawy. Mnóstwo z nich wydobyłeś. Znacznie więcej, niż się spodziewałam. Nie bardzo tylko wiem, co z tym zrobić.

- Możemy porównać daty ze zgłoszeniami o zaginięciu osób albo ze znalezieniem nie zidentyfikowanych zwłok.

- Nie mamy czasu. A gdybyśmy nawet mieli, to zbyt wąty materiał. I potrzebowalibyśmy pomocy. To by im dało cynk.

Miller odłożył notatnik na stolik i przez chwilę siedzieli

w milczeniu. Reese czuła, że partner chce ją zapytać o spotkanie z Carver, ale nie ma odwagi.

- Mówiłeś coś z tego Harrisowi? - Reese wskazała na notatnik.

- Nie. A powinienem?

- Nie.

Uważasz, że powinniśmy mówić mu cokolwiek? - spytała cichszym głosem.

- Chyba nie, już nic.

- Santerre wie o Carver. Że z nią rozmawialiśmy. Raczej że ją wykorzystywaliśmy.

- Taak? - rzekł Miller. Potem Reese zauważyła, jak usiłuje zdobyć się na niedbały ton, mówiąc: — Jak ci z nią dzisiaj poszło? Pokazała się?

- Tak. Ze śladami od paska na szyi i przegubach.

Miller znowu gwizdnął cicho, po swojemu. I znów ten dźwięk przypomniał Reese, jak oglądali razem ciało. Mając tę scenę przed oczami, zapytała:

- Czy w ogóle ją zidentyfikowali?

- Kogo? - zdziwił się. Potem, zorientowawszy się, o co chodzi, nieśmiało rzekł: - Prawdę mówiąc, nie wiem.

- Uważasz, że w sumie tańczymy, jak nam zagrają? Brniemy w ślepa uliczkę? - Co? Niczego się od niej nie dowiedziałaś?

- Mnóstwo się dowiedziałam. I ty wiesz mnóstwo. Ale nadal niczego konkretnego na niego nie mamy.

- Ale czego się dowiedziałaś?

Reese zrelacjonowała swoją rozmowę z Carver, a gdy kończyła, zaczęła się zastanawiać, czy mu powiedzieć, że ją tutaj sprowadziła. A ponieważ znajdowali się tu oboje, ponieważ Miller siedział w jej mieszkaniu - gdzie zabiła poprzedniego partnera - chciała go zapytać, co o tym wie. Która wersja wypadku jest mu znana. I w którą wierzy.

Wypadek. Jakież to zgrabne, mylące słowo! Reese przypomniała sobie, jak zareagowała, gdy Ingrid użyła słowa „wypadek” na określenie zamordowania córki, jaki to w niej wzbudziło niesmak, gdy kobieta uporczywie się go czepiała. Jak idiotycznie się czuje, gdy sama je wymawia, by osiągnąć pożądaną reakcję. Wypadek. Przypadek. Co to za różnica, do cholery?

Pobiegła myślami do tamtych wydarzeń, najwyraźniej urywając w środku zdania, bo Miller zapytał:

- Kończysz już?

- To mniej więcej tyle - rzekła. Nie powiedziała mu jednak, że sprowadziła do siebie Carver. I na pewno nie zada żadnego z tych innych pytań.

- Myślisz, że ją zabije - odezwał się Miller. Nie powiedział tego tonem pytającym.

- Słucham? - Znowu zrobiła unik, lękając się tego, co można by wyczytać z jej twarzy, co Miller usłyszy w jej głosie.

- Tak uważasz, prawda? Każdemu by to przyszło do głowy. Wraca do starych sztuczek.

- Zboczonych.

Nie o to mi chodziło. Wiesz, co miałem na myśli. Znowu zaczyna ją wiązać, narkotyzować. Nie robił tego od lat. Czy to się może inaczej skończyć? Lecz Reese nie odpowiadała.

- A gdzie ona właściwie jest? - zapytał Miller.

- Co?

Carver. Gdzie ona jest?

- Teraz już chyba w domu.

- Więc pojedę tam...

- Nie, zaczekaj chwilę. Powiedziała coś takiego... Rozmawiałeś dzisiaj z Eleanor? - Nie, dziś nie.

- Muszę do niej zadzwonić.

- Dlaczego, co się stało?

- *Zaczeka]* chwilę.

Reese poszukała swego telefonu bezprzewodowego i przyniosła go na kanapę. Potem dzwoniła pod każdy numer: do biura, telefonu w samochodzie, telefonu komórkowego, do domu. Żaden nie odpowiadał, ale ostatni zaniepokoił ją najbardziej. Nie włączyła się automatyczna sekretarka, przez cały czas odzywał się tylko sygnał. Wyłączyła telefon, ale nadal trzymała go w ręce.

- Co cię gryzie? - usiłował dowiedzieć się Miller.

- Coś, co powiedziała Carver. Mówiła, że w domu Santerre'a widziała teczkę z wypisanym na niej nazwiskiem Eleanor. Nie

była tego całkiem pewna. Nie przywiązywała znaczenia do tej informacji, ale teraz Eleanor nie odpowiada.

- I myślisz...

- Nie wiem, co myśleć. Po prostu mam złe przeczucie.

- Więc pojedźmy zobaczyć, co się dzieje.

- Mhm...

Oboje skierowali się ku drzwiom. Na chodniku było ciemno choć oko wykol, blask rzucały tylko lampy uliczne i światła samochodów. Reese spojrzała na zegarek. Znowu godziny gdzieś się rozpląnęły. Była prawie dziesiąta.

Miller również zerknął na zegarek.

- Późno - powiedział. - Chodźmy do jej mieszkania.

- Nie, ty idź do biura. Ja pójdę do mieszkania.

- Jesteś pewna, że powinniśmy się rozdzielić?

Nie widzę innego sposobu. Wiesz, gdzie to jest, prawda? Skinął głową. Potem oboje zatrzymali taksówki.

Rozdział dwudziesty piąty

Carver opuściła mieszkanie Reese niemal natychmiast po wyjściu policjantki, ale nie udała się od razu do domu. Włączyła się po ulicach, póki nie zaczęły ją boleć nogi. Potem pojechała metrem, obawiając się, że w przeciwnym razie mogłaby powrócić do mieszkania Reese. Chciała tam zostać, pragnęła wierzyć, że byłaby w nim bezpieczna, lecz uznała to za straszliwą głupotę. Musi dalej brać udział w grze - przecież to ona zna reguły.

W końcu wylądowała na dworcu Grand Central, ale wyszła stamtąd i zatrzymała taksówkę. Nie miała zamiaru przesiedzieć spokojnie całej jazdy, skoro wiedziała dokładnie, kto będzie tam na nią czekał. Tkwiała więc teraz w taksówce, wciąż ściskając fioletową Błękitnych Niebios - ostatnią szansę ucieczki.

Reese przez cały czas jazdy taksówką trzymała rękę na rewolwerze. Ruch w stronę przedmieść był duży, nawet o tej godzinie. Chciałaby siedzieć za kierownicą, poganiała taksówkarza,

kleła innych kierowców, zanim jeszcze on zdążył bluznąć przekleństwami. Kleła też siebie za to, że jest w taksówce, a nie w wozie policyjnym. W końcu dotarli do parku między ulicami Dziewięćdziesiątą Czwartą i Piątą. Tutaj stanęli na światłach.

- Tu wystarczy - rzekła Reese, rzucając pieniądze i jednocześnie otwierając drzwi. Gdy tylko wyszła na asfalt, światła zmieniły się niekorzystnie dla niej. Biegła aleją, machając i umykając przed samochodami, gdy usiłowała przejść na drugą stronę. Jakiś przeklęty cadillac przytarł ją akurat, gdy dochodziła do krawężnika, tak że aż zatoczyła się na chodnik. Złapała równowagę i biegła dalej, puściła się pędem wzdłuż długiego bloku, który ciągnął się chyba przez pół miasta, podczas gdy starszawy kierowca cadillaca miotał za nią nieprzyzwoite obelgi.

Zakreśliła na rogu i śmignęła do środka budynku, w którym mieszkała Eleanor.

- jest w domu? - zapytała odźwiernego, zwalniając kroku, gdy go mijala. - Tak - odparł.

Usłyszała jego odpowiedź, choć była już w windzie i drzwi właśnie się za nią zamykały. Od razu wybrała klucze Eleanor z pęku innych. Miała też na wierzchu broń, zatknietą za pas. Drzwi windy otworzyły się. Reese wyszła do holu, przyłożyła ucho do drzwi mieszkania Eleanor, ale niczego nie usłyszała. Głucha cisza.

Wsunęła klucz do zamka i przekreśliła go, cicho otworzyła drzwi, po czym z powrotem wsunęła klucze do kieszeni. Wyciągnęła broń zza pasa.

W mieszkaniu było kompletnie ciemno. Reese szła na pamięć. Kierowała się w stronę sypialni, gdy wpadła na coś twardego. Przyklekła, wymacała ciężki stolik podręczny, przewrócony na bok. Obmacała dywan wokół niego - był mokry, ale nie lepki. Jej ręka musnęła gładkie szkło butelki - również przewróconej. Gdy ją potrąciła, wylało się z niej jeszcze więcej alkoholu. Reese posuwała się dalej. Jej oczy zdążyły nieco przywyknąć do panujących wokół ciemności - rozróżniała już przedmioty. Widziała drzwi do łazienki - poznała je, gdyż były lekko spaczony, przez co nigdy się nie domykały. Znowu przystanęła, nasłuchując. Z ciszy nie wyłowiła najmniejszego dźwięku, cofnęła się zatem i kopnęła w drzwi tak, że omal się nie rozłupały.

Najpierw głucho uderzenie, potem szarpanina. Szybko obrzuciwszy wzrokiem wnętrze, wyróżniła dwa niezgrabne kształty. Jeden na kolanach, kolo niej. Drugi na łóżku. Bliższy gwałtownie rzucił się do przodu. Objął rękami kolana Reese, usiłując ją przewrócić.

Taksówka podwiozła Carver pod same drzwi. Weszła do domu, a potem po schodach na górę. Nie przystając ani na chwilę, nie myśląc o niczym innym, udała się wprost do łazienki, do wanny. Jedyne tam zapaliła światła, i to dopiero gdy odkręciła wodę. Paliły się tylko do chwili, kiedy znalazła i zapaliła świecę.

Ody wanna się napelniała, zrzucała ubranie. Potem dodała olejku do wody, bez najmniejszego wspomnienia o Ingrid. Dopiero gdy zanurzyła się w wannie, zamoczyła przeguby rąk i szyję, poczuła ukłucia. To doznanie obezwładniło ją. Upłynęło kilka minut, nim zdołała zebrać myśli na tyle, by podnieść się i wyjść z wody.

Stała teraz obok wanny, a ponieważ wychodziła tak pośpiesznie, wszystko wokół ochlapała wodą. Padające krople zgasiły nawet świecę. A Carver, drżąca, po omacku deptała po swych porzucanych ubraniach. Gdy znalazła i włożyła na siebie szlafrok, nogą musnęła torbę. Chciała tego pragnąć - by się naszprycować. Jeszcze bardziej chciała pragnąć fiolki. Ale nic pragnęła. Naprawdę marzyła tylko, żeby zasnąć. Nie pograć się w syntetyczną drzemkę, do czego była przyzwyczajona, lecz zapasć w prawdziwy, głęboki sen.

Ciągle po omacku przeszła do sypialni. Rzuciła szlafrok na podłogę przy łóżku, po czym wsunęła się pod mocno zniszczoną pościel. Ale nadal czuła się, jakby była zanurzona w wodzie, paliła ją szyja i nadgarstki. Oszołomiona ukłuciami bólu, nie mogła już dłużej uciekać przed Ingrid, odgrodzić się od niej. Kobieta wciągała ją coraz dalej i głębiej. Aż do tej nocy, o której opowiadała Reese. Ingrid zrobiła jej wówczas kąpiel, ożywiła ją zimną wodą. Carver pamięta, jak odzyskiwała przytomność, bezładnie wymachując członkami. Wszystko było pozalewane. Wszędzie czuła igielki zimna i czuła palenie. Paliły ją te same miejsca.

Teraz też czuła, że coś się pali - słaby zapach siarki rozniósł się, zanim rozległ się ten dźwięk trzask zapalanej zapalniczki. A potem zajaśniał żar w okolicy krzesła stojącego w najdalszym kącie. I choć wydawało się to nie do wiary, Carver naprawdę na to czekała, czekała na niego. Carver czekała na Santerre'a w jedynym miejscu swej istoty, które na zawsze pozostało pokrecone.

Gus Miller zdołał przekonać strażnika, by wpuścił go na górę, do gabinetu Eleanor Coffey. Nie musiał pokazywać odznaki. Nie musiał nawet mówić, że jest gliną. Facet po prostu uwierzył w jego zapewnienia, że potrzebuje jakichś papierów i dlatego przyszedł po godzinach. Teraz, gdy wyszli z windy i podążali holem, strażnik powiedział:

- Ach, wy prawnicy. Zawsze zajęci, zawsze zaganiani, zawsze dokądś pędzicie. Pracuje pan z tymi tutaj? Tak się spieszą, że zapomnieli, po co przyszedli? Musiał pan specjalnie po to ganiać?

- Taak - rzekł Miller. Wie pan, jak to jest. Jasne, że wiem.

Doszli do drzwi. Strażnik je otworzył.

- Niech pan pamięta, żeby za sobą zamknąć - dodał, po czym zniknął, zostawiając Millera samego w gabinecie. Policjant stwierdził, że wszystkie zamki w koło zostały wyłamane. Usiadł za biurkiem, zamek jedynej szuflady również był wyłamany, choć nie tak fachowo. Przebiegł palcami po rozłupanym drewnie, po czym sięgnął po słuchawkę. Wybrał numer domowy Eleanor Coffey, ale usłyszał tylko sygnał.

Miller wyszedł z gabinetu i opuścił budynek, zastanawiając się, jak najszybciej dotrzeć do dzielnicy willowej.

Reese czuła, jak kolana wykrzywają się jej pod siłą chwytu mężczyzny. Mocno ścisnęła trzymaną w dłoni broń, po czym walnęła. Ciężki cios rozciął mu głowę. Poczowała lepkość, ujrzała, jak napastnik przewraca się. Ruszył na nią drugi. Wyciągnęła broń w jego kierunku, ale on nie zatrzymał się. Wymierzyła nisko i wystrzeliła. Szedł dalej, ale już wolniej, pochylony, kołysząc się na boki. Zaczął osuwać się na ziemię.

Reese okrążyła ich. Obróciła się. Ustawiała się między nimi *dwoma* i łóżkiem. Zerknęła szybko za siebie.

- Ellie?

Żadnej reakcji. Widziała Eleanor leżącą na łóżku, ale przyjaciółka nie poruszała się, nie zrobiła najmniejszego gestu.

Reese spojrzała na mężczyzn. Ten, którego postrzeliła, podniósł swego towarzysza. Zataczali się, lecz ruszyli szybko w kierunku wyjścia. Już ich nie było. Nie wyszliby, gdyby ich zatrzymała. Ale ona nie zwracała sobie tym głowy. Pozwoliła im uciec, a sama podeszła do Eleanor.

- Znowu wychodziłaś - powiedział Santerre, wydmuchując dym z papierosa.

Carver milczała, więc ciągnął dalej:

- Rozumiesz chyba, że wolałbym nie sprawiać ci bólu. Carver skinęła głową, lecz nie wydobyła z siebie głosu.

- Ale wiesz, że zrobię to, jeśli nie będę miał innego wyjścia, Czego ty ode mnie chcesz? - rzekła Carver. Zabrzmiało to jak jęk.

- Chcę, żebyś mnie zrozumiała.

Przez półprzymknięte powieki Carver dostrzegła, że zbliża się ku niej rozżarzony popiół. A potem poczuła na łóżku ciężar ciała Santerre'a.

- Rozumiemy się przecież nawzajem, prawda? Zawsze się rozumieliśmy. My wzajemnie i rozumiesz też moją żonę. Toteż spodziewam się, że pojmiesz, co mam ci teraz do powiedzenia. Co ci chcę o niej opowiedzieć.

Carver znowu skinęła głową i kiwała nią cały czas w trakcie jego opowieści.

Reese zbadała puls Eleanor. Był słaby, ale wyczuwalny. Po omacku szukała telefonu. Znalazła go, ale nie działał. Potrzebowała światła. Pobiegła do kuchni, do szafki z bezpiecznikami, powkręcała wszystkie. W pomieszczeniach zamigotały różne światła. Popędziła z powrotem do sypialni. Zapaliła tam lampy. Telefon też zaczął działać, bo dzwonił. Chwyciła słuchawkę i powiedziała:

- Tak?

To był Miller. Dzięki Bogu, to był Miller.

Zadzwoń po karetkę - poleciła. - I przyjeżdżaj tu zaraz.

Odwróciła się z powrotem do Eleanor. Jej wygląd nie stanowił dla Reese zagadki. Znała się dobrze na tym z czasów, gdy zajmowała się narkotykami. Eleanor była mocno naćpana. Przypomniała sobie opowieść Carver o tym, jak Santerre wmusił w nią pastylkę. Reese zaczęła potrząsać Eleanor, usiłując ją podnieść, posadzić, po czym przejść z nią parę kroków. I Eleanor, jeszcze oszołomiona, zaczęła dochodzić do siebie.

Potem pojawił się Miller i stanął w drzwiach. Nic jej nie jest? - upewniał się.

- Nie, pomóż mi z nią połączyć.

- Karetka jest w drodze.

- Powiedziałaś im, że jesteś gliną? Nie.

- To dobrze. Poskarżymy się tylko, że nasza przyjaciółka za dużo wypila. Niech ją zbadają. Potem im dziękujemy.

- Tu wszędzie jest krew. Reese rozejrzała się.

- Zabierzmy ją do salonu.

Miller postawił podręczny stolik, a tymczasem Reese chodziła z Eleanor. Salon nie wyglądał źle. Ślady krwi prowadziły do służbowej windy, ale Reese była przekonana, że sanitariusze ich nie zauważą.

Jak ci się udało tak szybko tutaj dostać? spytała teraz Millera.

- Byłem w holu. Odźwierny nie chciał mnie wpuścić. Powiedział, że wewnętrzny telefon nic odpowiada. Ten strażnik powinien pracować u niej w biurze. Zdaje się, że tam każdy może wejść.

Reese słuchała informacji o wyłamanych zamkach, rozglądając się jednocześnie po pokoju. Jeżeli chodziło im o teczki, to prędzej znaleźli je tutaj. Wyglądało na to, że zastali Eleanor, gdy akurat pracowała nad nimi na kanapie. W tym momencie Reese zauważyła wieczne pióro przyjaciółki, z którego atrament wyciekał na dywan. Tuż obok leżała butelka, z której jeszcze wypływał alkohol.

- Gus, mógłbyś z tym zrobić porządek?

Jasne - odparł. Postawił butelkę na stole, a pióro obok niej.

- Dlaczego tak długo ich nie ma? - dziwiła się Recse. - Sądząc po dzielnicy, powinni już tu być.

- Może odźwierny ich też nie chce wpuścić na górę.

- Ktoś wpuścił bandziorów Santerre'a. Właśnie, i co się stało?

Opowiedziała mu z grubsza, co się wydarzyło, jeszcze przed przybyciem karetki. Z sanitariuszami poradzili sobie dosyć gładko. Eleanor mogła już mówić, choć jej słowa brzmiały jeszcze dość niewyraźnie. Felczerzy zbadali ją, następnie wygłosili rutynowe ostrzeżenie przed łączeniem wódki z przepisanyimi lekami, i już ich nie było.

Skoro tylko wyszli, okazało się, że Eleanor jest zupełnie przytomna. Ale pamiętała tylko walkę na kanapie. Dwu mężczyzn w granatowych kombinezonach usiłowało wepchnąć jej pastylkę do gardła. Owszem, pracowała - przeglądała teczki dotyczące INISCO i Santerre'ow. Tak, wszystkie te teczki zniknęły.

Carver wysłuchiwała do końca opowieści Santerre'a. A gdy skończył, patrzyła, jak rozpina pasek. Teraz pragnęła swej fiolki - chciała sama to zakończyć. Za żadne skarby świata nic pozwoli, by on skończył za nią.

PIĄTEK

Rozdział dwudziesty szósty

Gdy Reese i Miller opuścili mieszkanie Eleanor Coffey, na Piątej Alei panował już poranny tłok.

- A niech to szlag! - zaklęła Reese, wsiadając do taksówki, którą wezwał dla nich odźwierny.

- Jeżeli zaczął już zacierać ślady... - odezwał się Miller.

- Myślisz, że już ją załatwił?

- Nie wygląda to dobrze. Tak bezczelnie napadł na Eleanor. Przecież zdawał sobie sprawę, że natychmiast dostaniemy informację.

- Ale dlaczego teraz?

Może wie o czymś, o czym my nie wiemy? Taksówka przejeżdżała teraz przez Central Park. Gdy kierowca czekał, aż będzie mógł skręcić do śródmieścia, Reese kusił, by kazać mu wjechać na autostradę, żeby ich zawiózł do domu Carver albo Santerre'a. Ale wiedziała, że oboje z Millerem muszą iść do ich domu - na posterunek.

Ramię w ramię przeszli przez drzwi pokoju operacyjnego. Napijesz się kawy? - spytała Reese.

- Tak, parę litrów powinno postawić mnie na nogi - odparł Miller. Usiadł i powoli, z roztargnieniem, otworzył teczkę,

którą położono na jego biurku. Lecz gdy Reese pojawiła się z kawą, chwycił partnerkę za ramię.

- Spójrz, co tu mamy.

- Na co mam spojrzeć? - spytała, podnosząc teczkę.

- Popatrz pod „Przyczyna zgonu”.

Reese to uczyniła. W tej samej chwili poczuła, że cała wypełniona jest adrenaliną, która wzięła nad nią górę. I wtedy wybuchła.

- To ona, do cholery, utonęła? Trzeba czterech dni, żeby stwierdzić, że utonęła!

Zobaczyła, że Harris się jej przypatruje. Z raportem w ręce poszła wprost do niego, wpadła do jego gabinetu.

Od jak dawna pan o tym wiedział? He? Co jeszcze ukrywa pan w zanzadrze?

- Detektywie...

- No co jeszcze?

- Detektywie, niech pani siada. Harris zamknął drzwi i zaciągnął rolety.

- Detektywie, powiedziałem, żeby pani usiadła.

- Niech mi pan powie, co pan jeszcze chowa, żeby mnie wpuścić w kanał. - Wystarczy. - Tak pan myśli?

- Tak, i uważam, że pani wcale nie myśli.

- Aha, a pan już dawno wykombinował, o co w tym wszystkim...

- Reese, jeszcze jedno słowo, i odbieram pani tę sprawę.

- Z przyjemnością by pan to zrobił, co?

- Reese, niech się pani zamknie i posłucha mnie. Powiedziałem pani, jak to będzie wyglądać, i pani zdecydowała się wziąć tę sprawę. Pamięta pani? A ten cholerny raport dostałem dziś rano, podobnie jak pani. Zobaczyłem go pierwszy tylko dlatego, że raczyła się pani pojawić dopiero teraz.

Nie wiem, co mam o pani ostatnio myśleć, detektywie. I nie wiem, jak rozumieć raport, który pani trzyma w ręce, bo ostatnio o niczym mi pani nie mówi. Chodzi swoimi drogami, jak Samotny Jeździec. Poczynała sobie pani swobodnie na dole w celach. Robiła pani, co uważała za stosowne, w pokoju operacyjnym. A ja na to pozwalałem. Dawałem pani wolną

rękę, przymykałem oko na wszystko. Chce pani teraz, żebym tego pożałował? Pożałował, że pani uwierzyłem?

Uderzał we wszystkie czułe miejsca. Zwłaszcza ten ostatni cios zadany był po mistrzowsku. To dobre — powiedzieć, że jej wierzy, a tymczasem może dać głowę, że ona nie ma do niego zaufania. Tym razem nie załatwił jej na cacy, ale porządnie ją przyhamował.

Czy wiadomo, kiedy Santerre to otrzymał? - zapytała już spokojniej.

- Przypuszczam, że jego adwokat dostał to dziś rano, tak jak cała reszta.

Reese z trudem udało się utrzymać język za zębami.

- No więc niech mi pani powie, detektywie, jak mam to rozumieć.

Jeszcze nie wiem. Muszę porozmawiać z żoną. Ale już Reese miała przed oczami obraz córki, pamiętała, jak Ingrid mówiła, że włożyła ją do wanny. - Ona jeszcze nie wie, co?

- Zostawiliśmy ją dla pani.

Reese skierowała się do drzwi, lecz Harris uniósł dłoń, by ją zatrzymać.

- Niech pani to zrobi na górze, Reese, w trójce.

- Ach, w trójce? A to czemu? Żeby pan mógł zachachmęcić...

- Nie, może pani wykorzystać wszystko, cokolwiek z niej wyciągnie.

- A pan to jakoś załatwi? Pani wie, co jest grane?

- Naprawdę?

Lepiej, żeby pani wiedziała. Powiedziałem na samym początku, że wszystko ma być zgodne z przepisami. I nie może pani twierdzić, że narzucałem twardą dyscyplinę. Teraz muszę trochę pocisnąć, bo jak będę trzymał panią na takiej długiej smyczy, to się w końcu pani na niej powiesi. Rozumiemy się?

- Absolutnie.

- To dobrze. A teraz, detektywie, niech pani robi, co do pani należy.

Reese opuściła biuro Harrisa i przeszła przez pokój operacyjny, w którym panowała niezwykła cisza. Podeszła do swego

biurka i zadzwoniła na dół, po Ingrid. A teraz wiedziała, że musi też wezwać Eleanor. Po przejściach zeszłej nocy ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, było ściąganie tu przyjaciółki. Ale zadzwoniła i Eleanor obiecała, że zaraz przyjedzie na posterunek.

Czekając, aż strażnicy przyprowadzą Ingrid, Reese czuła na sobie wzrok pozostałych detektywów, udających, że zajmują się papierkową robotą. Teraz ona robiła to samo - zerkając na raport, w istocie obrzucała spojrzeniem pokój.

- Chcesz, żebym tam z tobą poszedł? - zapytał cicho Miller.

- Nie, dzięki, ale przy tobie nie będzie mówić. Wiesz coś, prawda?

- Nic, czego byłabym pewna.

Drzwi pokoju operacyjnego otworzyły się. Wszyscy patrzyli, jak wprowadzono Ingrid. Wszyscy prócz Reese, która skierowała wzrok na gabinet Harrisa. Widziała, jak obserwuje Ingrid spoza podwiniętych teraz rolet. Potem ich oczy spotkały się. Lekko skinął jej głową. Odpowiedziała mu skinieniem. Potem zwróciła się do strażników - było ich dwu po bokach półprzyciemnej kobiety - i rzekła:

- Zaprowadźcie ją do trójki.

Zrobili, jak im powiedziano, wykonali, co im kazano. Nie było to trudne zadanie, jeśli się umie słuchać rozkazów.

Reese odczekała chwilę. Chciała wprowadzić Ingrid w stan zdenerwowania. Ale nie przeciągała tego. Wszyscy inni detektywi nie spuszczała z niej oka.

Z raportem w ręku weszła do pokoju. Tu zwolniła strażników. Teraz była tylko Reese, Ingrid i raport z sekcji zwłok. Ale wiedziała, że wszyscy pozostający na zewnątrz wpatrują się w nią. Wiedziała, że cała obsada posterunku patrzy i słucha przez to cholerne dwustronne lustro.

- Niech pani siada, pani Santerre - zaczęła Reese po prostu. Ale Ingrid cofnęła się. Odsuwała się od Reese coraz dalej,

aż wpadła na krzesło. Dopiero wówczas usiadła przy stole. Lecz gdy zajęła miejsce, zaszła w niej jakaś przemiana. Twarz, na której przedtem malowało się oszołomienie, przybrała kamienny wyraz. Spokojnym, zdecydowanym głosem zapytała: O co chodzi, pani detektyw? Reese po prostu położyła przed nią otwartą teczkę.

- Nie rozumiem. Na co mam spojrzeć?

Niech pani patrzy pod „Przyczyna zgonu”, pani Santerre. Niech to pani przeczyta. Na głos.

- Nie może pani powiedzieć po prostu, czego pani ode mnie chce?

- Właśnie powiedziałam. Niech pani czyta.

Ale wyrazy rozmazywały się przed oczyma Ingrid. Jakby poruszały się po kartce.

- Nic nie widzę.

- Nie, pani nic nie widzi. To do pani podobne, co, pani Santerre?

Proszę mnie tak nie nazywać. Proszę nic...

- Tak się pani nazywa, szanowna pani.

- Nazywam się... Mam na imię Ingrid.

- A jak miała na imię pani córka? Proszę mi przypomnieć. Ingrid osunęła się do przodu, aże przez to miała bliżej do tego słowa na papierze. Zamknęła oczy, ale dalej je widziała.

- Lila, zgadza się? Ją też pani zabiła?

- Nie, nie. Co też pani mówi!

- Proszę spojrzeć na ten protokół.

- Nie. - Ingrid poderwała się i była już w połowie drogi do drzwi, gdy Reese zastąpiła jej drogę. Omal na siebie nie wpadły, lecz Ingrid skręcała coraz bardziej w bok od Reese, byle dalej od jej słów.

Myślę, że to pani mąż mówi prawdę. Krył panią przez cały czas. Zgadza się?

- Nie, pani nie rozumie.

- Rozumiem, że pani kłamie.

- Nikogo nie zabiłam.

- Nie? W takim razie proszę mi to wytłumaczyć.

Ingrid wcisnęła się między ścianę i szafę na akta. A Reese podchodziła coraz bliżej. Ingrid usiłowała się odwrócić, ale nie miała miejsca. Potem zamknęła oczy.

Spójrz na mnie! - ryknęła Reese. - Spójrz na mnie!

Oczy kobiety otworzyły się gwałtownie. Zakryła głowę ręką, chroniąc się przed ciosem, który nie następował.

- No więc jak to się stało? - cisnęła Reese. Skąd się wzięła woda?

- Chciałam jej pomóc. Chciałam jej tylko pomóc. W jaki sposób, Ingrid? W jaki sposób?

- On wyszedł. Nalałam jej wody do wanny. Chciałam ją tylko uwolnić, rozwiązać. Myślałam... - Umysł jej się zaćmił.

Co? Co myślałaś?

- Że w wodzie będzie mi łatwiej. Szybciej ją rozwiążę. Ożywi się. Myślałam, że wszystko doprowadzę do porządku. Że wszystko będzie dobrze, jeśli tylko uda mi się ją rozwiązać. Obudzić ją.

Zaniosłam ją do wanny. Była taka lekka. Nie tak jak... -Znowu zaczęła błędzić gdzieś myślami.

- Jak kto? - spytała Reesc łagodniejszym głosem, wyciągając rękę.

- Jak...

Reesc ujęła kobietę za rękę. Odsunęła rękę Ingrid od jej twarzy.

- jak moja córka. Jak inne. Ta była taka lekka. Myślałam, że tym razem wyjdzie inaczej, bo... bo mogłam ją unieść. Rozumie pani, prawda?

Reese skinęła głową, choć nie rozumiała ni w ząb. Widziała tylko łyżki cielic Izy, powoli spływające z twarzy Ingrid.

Włożyłam ją do wanny. Usiłowałam rozplątać węzeł. Ale w wodzie szło mi jeszcze gorzej. Wszystko było takie śliskie. Nie mogłam się dostać do węzła...

Co zrobiłaś? Ingrid, powiedz mi, co zrobiłaś.

Obróciłam ją, żeby się dostać do węzła. Nie ruszała się. Ani drgnęła, dopiero ja ją poruszyłam. I wtedy wszystko się popsuło. Wszystko poszło na odwrót. Jej twarz zanurzyła się w wodzie. Nie mogłam rozplątać węzła. Nie dość się spieszyłam. A ona się nie budziła. Nie mogła się obudzić. Wszystko wyszło na odwrót. Chciałam, żeby z nią poszło dobrze. Tak samo jak z Niną. Ninie nic nie jest. Reese lekko zeszywniała.

Nina ma się dobrze, tak? Nadal wszystko u niej w porządku?

Tak, tak. Wszystko w porządku. - odpowiedziała Resse, choć, oczywiście, nie mogła być tego pewna, lękała się czegoś wręcz przeciwnego i miała nadzieję, że zdołała ukryć swe obawy. - Gdzie był twój mąż? zapytała.

- Uznał, że mała nie żyje. Wyszedł, żeby kupić tę ohydną torbę.

A ty?

- Mówiłam już. Chciałam jej pomóc. Usiłowałam jej pomóc.

- Czy w ten sposób pomagałaś Liii? Co?

- Czy twoja córka utonęła?

Ingrid tak głęboko wsunęła się w kąt, że zdołałaby stamtąd wyjść, jedynie przeciskając się obok Reese. Nie mogła się nawet od niej odwrócić, choć chciała. Reese trzymała rękę Ingrid, nie wypuszczała jej z uścisku. A gdy kobieta zamknęła oczy, Reese rzekła:

- Spójrz na mnie, Ingrid. Ingrid, spójrz na mnie. Czy twoja córka utonęła?

Oczy kobiety znowu gwałtownie się rozwarły. A Reese dostrzegła w nich tylko strach - szalony strach.

- Utonęła? Kiedy jej pomagałaś, usiłowałaś jej pomóc? Tak to się stało? Ingrid, spójrz na mnie.

- Nie. Nie. Nie tak, jak mówisz. Nie było tak, jak mówisz.

- Opowiedz mi.

- Wszedł. Ona żyła. Rozbudziłam ją dzięki wodzie. Myślałam, że przyszedł mi pomóc. Poprosiłam go, by mi pomógł. Była taka ciężka, a ja nie jestem silna. Sama nie mogłam jej podnieść. Nic mogłam jej wydostać. Ukląkł przy mnie. Myślałam, że przyszedł mi pomóc, ale...

- Ingrid, Ingrid, co on zrobił?

Przytrzymał ją... Przytrzymał ją w wodzie. Usiłowałam mu przeszkodzić. Nic jestem silna. Nic zdołałam mu przeszkodzić. Rzuciła się. Wszędzie było nachlapane. Wepchnął jej głowę pod wodę i tak trzymał. Rzuciła się. Ciągnęłam go za rękę. Był spokojny. Wyglądał tak spokojnie.

Ciągnęłam go za rękę, a on mnie uderzył i ja uderzyłam głową w coś...

- Ingrid, Ingrid, posłuchaj mnie. Czy tak też było w hotelu? Czy on wszedł, kiedy jej pomagałaś?

- Co?

- Ta dziewczyna... Czy twój mąż... Czy wszedł wtedy, kiedy jej pomagałaś? W hotelu, Ingrid? Czy on wszedł?

- Nie... Byłam całkiem sama. Nie mogłam tego naprawić. Nie mogłam doprowadzić wszystkiego do porządku. Jej, ona... Nie mogłam rozplątać węzła. Nie mogłam jej obrócić.

Przedtem nie była taka ciężka. Myślałam, że uda mi się ją wyprawić, zanim on wróci. Myślałam, że się obudzi. Jak Lila, jak Nina. Myślałam, że dam radę ją rozbudzić. Wtedy nic by się jej nie stało. Myślałam, że wydostanę ją z hotelu, zanim on wróci, i nic jej nie będzie. Ale ona się nie obudziła. Nic już nie jest jak należy. Z wyjątkiem Niny. Z Niną wszystko w porządku.

Reese lcciuieńko odwróciła wzrok.

- Nic jej nie jest, prawda? Mówiła pani, że u niej wszystko dobrze?

- Owszem. Wszystko u niej w porządku. Ale Reese mogła myśleć tylko o jednym: „Jedź tam, jedź i upewnij się, że tak jest, bo zbyt wiele czasu minęło. O wiele za dużo”.

Pukanie do drzwi wystraszyło je. Obie się teraz trzęsły. Reese oderwała się od Ingrid. Usiłowała wziąć się w garść.

- Ingrid, odejdz stąd i usiądź.

Kobieta po prostu posłuchała, a Reese tymczasem podeszła do drzwi. To była Elcanor.

- O co chodzi, Caroline? Co się stało?

Reese podeszła do stołu, wyciągnęła raport, wskazała odpowiedni ustęp.

- Co to, do diabła, znaczy?

- Ona to zrobiła - rzekła cicho Reese, kiwając głową w kierunku Ingrid. — Jednak to ona zrobiła. Sama się przyznała.

- Co? W jaki sposób?

- To w tej chwili nieważne. Słuchaj, zostań z nią. Nie zostawiaj jej samej. I niech nikt się do niej nie zbliża. Muszę porozmawiać z Harrisem.

- Caroline, zaczekaj. Nie rób tego. On ci teraz nie pomoże.

- Wiem o tym.

Rozdział dwudziesty siódmy

Gdy przybył Burns, Santerre znajdował się w swoim gabinecie, gdzie rozmawiał przez telefon. Burns czekał zakłopotany, aż skończy.

Żona, zdaje się, właśnie się przyznała - rzekł Santerre, odkładając słuchawkę.

- Tak?

- Dostał pan raport koronera. Przesłałem go wczoraj wieczorem. Mam nadzieję, że pana nie obudziłem.

Gdy wypowiadał tę ostatnią uwagę, Burns wychwycił zdenerwowanie w jego głosie. Słyszał, jak staje się ono coraz bardziej widoczne, mimo pozornie dobrego nastroju jego klienta.

- Tak - wyjąkał Burns — ale...

- Ale co, Tom? Wydaje mi się, że zakończyliśmy sprawę. Mimo tego zamieszania zeszłej nocy. Co za kretyni!

- Ale zabrali teczki, prawda? Powiedzieli mi, że tak.

- A, owszem. Sam zobacz. Ta przemiękła papka leży tu, na stole. Biorąc pod uwagę, jak to wygląda i co jest w środku, trzeba z tym będzie zrobić trochę porządku.

Burns spojrział na stos teczek pomazanych krwią.

- Coś zostało uszkodzone? - zapytał.

- Tylko tych dwu, prawniczka nie. Zdaje się, że przyjaciółka z policji złożyła jej niespodziewaną wizytę. To nieco popsuło nam szyki. Ale dzisiaj się nam odpląca. Pracuje nad przyznaniem się mojej żony.

Nie bardzo rozumiem.

- I nic wstydzisz się do tego przyznać, Burns? Może powinieneś poszukać innego pracodawcy, jeżeli nie rozumiesz takiej prostej sprawy.

- Panie Santerre, nic zamierzałem sugerować, że...

- Nie zaczynaj, Tom. Trochę już na to za późno. Nie chcesz sobie brudzić tym rączek? O to chodzi?

- Nie, panie Santerre. Chciałem tylko powiedzieć...

- Co? Co chciałeś powiedzieć? Daj spokój, Tom. Doskonale wiem, że żywisz wobec mnie, powiedzmy, mieszane uczucia. Nie rób takiej nerwowej miny, nie płacę ci za to, żebyś mnie lubił. Ale płacę dobrze. Lubisz pieniądze. I żona jest szczęśliwa. I córeczka chodzi do tej szpanerskiej szkoły. Jak ma na imię twoja córka, Tom? Jak pamiętam, śliczna z niej dziewczyna. Fakt, że niezbyt często mi ją pokazujesz. Pamiętasz moją córkę, Tom? Pamiętasz Lilę? To była prawdziwa piękność. Przyznasz, że jej śmierć to wielka tragedia.

Burns skinął głową.

- Ale daliśmy sobie radę. Jak pamiętam, byłeś dla mnie wielką pomocą. Nawet do głowy mi nie przychodzi, że mógłbym nie korzystać z twoich uzdolnień. To straszne uczucie. Aha, więc w którym punkcie jesteśmy?

Lecz podczas tyrady Santerre'a Burns zatracił zdolność mówienia.

- Ach tak. Przypominam sobie. Moja żona przyznała się do winy. Wiesz co, Tom, może byś tam pojechał? Miej oko na wszystko. Ja też muszę załatwić tu parę spraw. Gdy się z tym uporam, zadzwonię do ciebie. Potem obaj pomyślimy, jak najlepiej zaopiekować się moją żoną.

Carver obudziła się roztrzęsiona i rozbita. Jej nerwy podejmowały funkcje stopniowo, tworząc żywotne kanaliki w ogólnej mgłę. Szedł do niej z paskiem, tyle pamięta. Potem jakieś ćwierkanie przeraziło ich oboje. Wyciągnął coś z kieszeni, po czym zaczął wrzeszczeć. Myślała, że wrzeszczy na nią, ale słowa nie pasowały. Potem uświadomiła sobie, że krzyczy do telefonu:

- Idioci, dałem wam proste zadanie, a wy...

Później cisnął telefonem. Mały, plastikowy aparacik roztrzaskał się na kawałki, gdy rzucił nim o ścianę. Znowu ruszył ku niej, ale tym razem nic miał paska. Wcisnął jej za to w gardło jeszcze jedną pastylkę, która oszołomiła ją zdumiewająco szybko i skutecznie. Myślała, że załatwił ją na dobre, ale po paru godzinach przekonała się, że żyje i usiłuje wrócić do siebie.

Zmusiła się do wstania z łóżka. Gdy przechodziła przez pokój, nadziała się stopą na ostry kawałek plastiku pozostałości z roztrzaskanego telefonu. Wróciła do łazienki i odkręciła zimną wodę. Wzięła szybki prysznic. Nie będzie już brała kąpieli, nie dzisiaj, może już nigdy, po tym, co opowiedział jej o Ingrid. A ona zrozumiała, uwierzyła, że Ingrid utopiła tę dziewczynę. Wyobraziła sobie, jak mogło do tego dojść. Po prostu wiedziała, jak to się stało. Wiedziała aż za dobrze.

- A więc widzisz - rzekł. - Moja żona jest winna. Twoja znajoma policjantka zajmie się jej zeznaniem, tak jak ja zajmę się tobą.

Carver uświadomiła sobie, że żyje dzięki telefonowi. Telefon zakłócił plany Santerre'a, wymagał jego natychmiastowej uwagi. Uwierzyła też, że Reese uzyskała to, na czym jej zależało. Policjantka wyjaśniła sprawę i Carver nie będzie jej już potrzebna.

Owinęła się szlafrokiem. Stopą musnęła torbę, nadal leżącą na podłodze łazienki. Podniosła ją. Zniosła ze sobą do łóżka. Pogrzebała w niej, tuż obok strzykawki natrafiła na fiolkę. Swoją fiolkę. Położyła się wygodnie, odprężyła wszystkie mięśnie - z wyjątkiem prawej dłoni, która nadal ścisnęła flakonik.

Reese wróciła do gabinetu Harrisa. Rozmawiał przez telefon, lecz odłożył słuchawkę, słysząc trzask otwieranych drzwi.

- Myślałam, że pan to obserwował - zaczęła.

- Owszem.

- Mimo wszystko zabił córkę, a Gus znalazł dwie pracujące dziewczyny... załatwił całą masę dziwek. Wiem na pewno. Możemy go obciążyć dwiema.

- W jaki sposób?

- Potrzebujemy jeszcze trochę czasu...

- Jego prawnik właśnie tu jedzie.

- To ten, z którym rozmawiał pan przez telefon? Co, przekazywał mu pan najświeższe informacje?

- To oni do mnie zadzwonili. Nie muszę się pani tłumaczyć z moich... Niech pani tego nic obraca przeciwko mnie. Może gdyby wcześniej przekazała mi pani niektóre rewelacje, można by było nad nimi popracować, ale sama napytała sobie pani biedy. Albo zaraz da mi pani coś konkretnego, albo zamykamy sprawę.

- Opowiedziała mi o córce, Słuchał pan tego? Czy za bardzo spieszo było panu do telefonu? Przeprowadzimy ekshumację, a przynajmniej dotrzemy do opisu sekcji zwłok.

- Ciało poddano kremacji przed zrobieniem sekcji zwłok.

- O, widzę, że informacje przenoszą się w obie strony.

- Reese, mam już dosyć...

- No to jej zeznanie.

- Ona nic jest wiarygodna.

- A on jest?

- Tu? Nie. Ale w świecie? Jak najbardziej. Niech pani nie udaje naiwniaczki. Sama pani najlepiej wie, jak działa ten system.

Co to ma znaczyć?

- Dobrze pani rozumie, o czym mówię. Ale jeśli pani sobie życzy, mogę powiedzieć to jeszcze wyraźniej. Po pierwsze, jak pani myśli, skąd się pani tu wzięła? Jak dostała pani stopień detektywa? Frank był złym facetem i wszyscy o tym wiedzieli. Pani się nim zajęła, a my zajęliśmy się panią. Ma pani klapki na oczach? Tak się pani tu znalazła, Reese. Dzięki temu, że szliśmy ręką w rękę. Dlatego wylądowała pani w takiej szpaner-skiej dzielnicy. Kozuszek śmietanki towarzyskiej i ktoś z hakiem w życiorysie. Pani się akurat nadawała, jak mało kto.

Ale przecież nie mówię pani niczego nowego. Pani dobrze wie, że nie dostała tej sprawy przez przypadek. Ktoś inny mógłby to sobie wmawiać. Ale nie pani, Reese. Ani przez chwilę. Chłopcy z centrali wiążą z panią wielkie nadzieje. Pozwolili pani dorwać się do tego śledztwa. Uważają panią za dobrego gracza. Coś pani nie pasuje? Czy może pani tu nie pasuje? Liczyliśmy na panią i przeliczyliśmy się? Chce nam pani pokazać? A może chce pani wrócić, skąd przyszła? Być tajniakiem z hakiem w życiorysie? Tego pani chce? Bardziej się to pani podoba? Lepiej odpowiada? Wykańczać maluczkich, żeby chronić wielkich? Albo skończyć w rynsztoku? To jest do załatwienia. Możemy panią wpuścić w bardzo głęboki kanał.

To było zbyt obcesowe dla Reese, za bardzo dostała po oczach. Nie mogła znaleźć słów.

- Niech mi pani odpowie, pani detektyw. Jaki ma pani problem? A może pani stanowi dla nas problem, który musimy rozwiązać? Jest pani podobna do Franka bardziej, niż nam się wydawało?

Nadal nie mogła wydobyć z siebie głosu. Poruszył zbyt wiele problemów, zbyt wiele myśli kotłowało się w jej głowie. Pozmieniał porządek wielu spraw, które z takim trudem starała się uładzić. I Frank. Znowu wrócił Frank. Ale nie ten Frank, który powracał do niej od tyłu miesiący, lecz Frank, jakiego znała wcześniej, zanim stali się parą ćpunów, którą mieli odgrywać. Zanim zostali menelami, których mieli rozpracowywać.

A więc już drugi raz tańczyła tak, jak jej zagrali w sprawie

Franka, lecz dopiero teraz rozumiała, że sama się wystawiła. A jej się wydawało, że wszystko zgrabnie ukryła, już wtedy grała na dwie strony - robiła zeń czarny charakter, by samej wydać się bielszą. I wierzyła naiwnie, że wszystko jest w porządku. Że naprawdę odnosi sukcesy, mimo wszelkich trudności. Nie rozumiała, że to bez znaczenia. Że władze mają wszystko gdzieś. A teraz sama się przekonała, że nieważne, czy ustawili ją od samego początku - dali jej do pary Franka, by go wykończyła, czy też nastąpił szczęśliwy zbieg okoliczności. Uświadomiła sobie, że nic się naprawdę nie liczy.

To, co się liczyło, co ją naprawdę zabolowało, to jej nieprawdopodobna głupota. Podprowadzili ją jak dziecko. Była pionkiem na szachownicy cóż to za ponury żart! Przypomniała sobie, jak cierpiała tamtej nocy, z powodu tego, co zrobiła. Jak się bała, że odkryją prawdę. Wyrzucą ją z trzaskiem. Tymczasem dostała awans. Jak czuła się winna, że tak przyzwyciężyła się 2 nią obeszli. A tymczasem wzięli ją od najgorszej strony i dzięki temu stała się jedną z nich. Dlatego ją nagrodzili. Wszystko śmierdziało, a ona na to szła.

A teraz, gdy cały jej świat stanął na głowic, gdy aż kotłowało się w niej w środku, zaczęła się zastanawiać, czy nie słuszniej postępowałaby, zachowując się tak jak Frank. Może na tym polegał kłopot z nim. Może właśnie ktoś, kto nie ma racji, jest złym facetem, złym policjantem, potrafi odróżnić dobro od zła. A jeśli tylko taki gość dostrzeże tę różnicę i przywiązuje do niej wagę? I ciągle ma nadzieję, że to człowiek ustanawia tę różnicę i wszystko od niego zależy?

Reese usiadła, ponieważ nogi ugięły jej się pod ciężarem tej nowej wiedzy.

Harris oparł się o krawędź biurka. Mówił spokojnie, nawet łagodnie, mdląco słodkim tonem człowieka, który pognąbił swoją ofiarę i dobrze o tym wie.

- Niech to pani zostawi, tak jak jest - radził. - Sprawa potoczy się swoją drogą. Żona pójdzie swoją drogą, Nie musi jej pani towarzyszyć. Nie trzeba znowu wyciągać tamtej historii, żeby smród ciągnął się za panią. A Santerre to zrobi. Absolutnie jest do tego zdolny.

Reese słuchała go, a jednocześnie zerknęła przez okno.

Ujrzała Eleanor, która stała przed drzwiami pokoju przesłuchań, rozmawiając z przybyłym właśnie Burnsem.

Reese zawsze była przekonana, że to Eleanor pociąga za sznurki, ona spowodowała, że wszystko się rozplynęło. A potem poszła sobie, pospiesznie odeszła z biura prokuratora okręgowego. Reese zastanawiała się, co Eleanor wie. Ile i kiedy wiedziała i ile, jej zdaniem, wie Reese.

- Pani detektyw?

- No tak, to by było na tyle - odrzekła Reese, wolno podnosząc się z krzesła i kierując ku drzwiom.

Wyjaśniliśmy sobie wszystko? - upewniał się Harris.

- Tak, wszystko jasne - potwierdziła Reese, trzymając rękę na gałce drzwi. Jeszcze raz się odwróciła, by nań spojrzeć, po czym zrobiła w tył zwrot i poszła do pokoju operacyjnego, w którym ciągle rozmawiano przytłumionymi głosami.

Rozdział dwudziesty ósmy

Santerre siedział samotnie w swym gabinecie, rozkoszując się obrotem spraw. Nawet on nie zdołałby wymyślić tak eleganckiego zakończenia. Poszło trochę zbyt łatwo. Ale żona, wzywając policję sama na siebie, aż nadto nadrobiła wszelkie uproszczenia. Okazała się też zdolną przeciwniczką w jeszcze jednej kwestii: zostawiała mu Ninę. Ten problem będzie musiał rozwiązać sam.

Nawet zakłócenia ostatniej nocy miały swoje dobre strony. Bez wątpienia lepiej byłoby już się jej pozbyć. Lecz choć plan ten był praktyczny, a nawet zawierał parę zabawnych elementów, brakowało mu istotnej treści. Teraz zadba o spełnienie tego, czego zawsze pragnął. Zawsze wyobrażał sobie, że może wykorzystywać Ninę wedle swych upodobań. Zawsze planował, że połączy ją z żoną w ostatnim miłosnym spełnieniu. Niech wszystko potoczy się po jej myśli, a potem z nią skończy.

Inne nawet się do niej nie umywały. Nie potrafiłyby doprowadzić do eleganckiego zakończenia. A on właśnie tego pragnął efektownego finału, aby z tym skończyć. Chciał już położyć temu kres, choć nigdy się z tym nie zdradzał ani do

tego nie przyznawał. Ta potrzeba nigdy nie wyjdzie na jaw, nawet w obrębie jego własnej czaszki. Ani ta, ani żadna.

Reese, nie zatrzymując się, przeszła tuż obok Toma Burnsa i Eleanor Coftcy. Przystanąła tylko na chwilę, by zamienić słówko z Millerem - poprosiła go, by miał oko na wszystko, a zwłaszcza na Ingrid. Potem szybko zeszła do podziemnego garażu. Nie zwracając niczyjej uwagi, wsiadła do samochodu i ruszyła. Lecz gdy tylko wyjechała na ulicę Czterdziestą Drugą, utknęła w popołudniowym tłoku.

Posuwała się koło za kołem wraz z wszystkimi innymi samochodami zmierzającymi w kierunku West Side Highway, Westchester, walcząc z pokusą włączenia *syreny*. Tylko tego jej było potrzeba - by wszem i wobec oznajmić swój wyjazd, a wówczas Harris powiadomiłby Santerre'a.

Harris rzeczywiście jej poluzował, poluzował tyle rzeczy w niej. Wszystko, co było pod przykrywką, pochowane, zagrzebane, teraz zostało rozplątane, wygrzebane, podchodziło do góry, gęste od mętów, zbierało się w jej piersi, w gardle.

Usiłowała sobie przypomnieć, co właściwie wydarzyło się z Frankiem, jednak tak długo próbowała czegoś wręcz przeciwnego, że nie było to łatwe. Szukała przebłysków, które pochwyliła w gabinecie Harrisa. Od tak dawna jej wizerunek Franka ogranicza! się tylko do ostatniej nocy - niebezpieczny i miotający groźby, naćpany koką, choć nawet to było kłamstwem. Raczej zwariowany, i ona też. I nabuzowany. Ich dwoje to okropne połączenie - zwariowani, nabuzowani. Dlatego właśnie ta dwójka stanowiła tak paskudną parę, naprawdę paskudną.

Nie mogła sobie przypomnieć, jak to się wszystko zaczęło, kiedy się umoczyli. Uczciwie nie potrafiła powiedzieć, kiedy nastąpił ten pierwszy raz. Nie było wyraźnej linii, granice wydawały się zatarte. Jak wtedy, gdy powiedziała, że był naćpany, choć był tylko zwariowany i nabuzowany. Gdy sama sobie opowiadała drobne, niejasne kłamstewka, dla spokoju sumienia. Umoczyli się, a potem noga im się powinęła i wpadli w to z głową. Ona wpadła w to z głową.

Podobnie jak Reese, również Santerre nie mógłby określić, kiedy nastąpił zwrot. Nie potrafiłby dokładnie powiedzieć, kiedy przekroczył granicę, kiedy przypadek zamienił się w uknuty plan. Chyba gdzieś tak po śmierci Liii. Zaczęło się pewnie od Niny. Nie udało mu się z nią. Zawiodła go. Nina nic przypominała jego córki, stąd nie była też podobna do niego. Nie bardzo go lubiła.

Nie, Nina była czuła dla jego żony. Lila nigdy. Lila w ogóle nie okazywała czułości. Ryła córką swego ojca. Uśmiechnął się lekko na myśl o niej. Dziwnym uśmiechem, któremu towarzyszyło dziwaczne doznanie. Ale, oczywiście, jakiegokolwiek uczucie to u niego rzadkość. Rozkoszował się swą rezerwą, uważał, że to najbardziej godna pozazdroszczenia cecha jego charakteru, jego największa siła.

Żona nie umiała się hamować. Żadnej dyscypliny, z wyjątkiem tej, którą on narzucał. A tym razem wymknęła się spod jego ręki, zniweczyła jego plany. Nieważne. Dokończy to bez niej. Człowiek słabszy, mniej praktyczny, uległby chętnie odwlekaniu wszystkiego w nieskończoność. Jedno opóźnienie może okazać się nie do uniknięcia, zwłaszcza jeśli byłoby dziełem przypadku. Ale dalsza zwłoka świadczyłaby o pobłażliwości i ryzykanctwie, a on nie miał żadnej z tych wad. Gabriel Santerre nade wszystko cenił właściwe wyczucie czasu.

Carver wiedziała, że po nią pośle. Narkotyk, który jej dał, całkowicie przestał już działać, w związku z czym czuła się podenerwowana, lecz miała jasność myśli. W pierwszym odruchu, oczywiście, chciała powrócić do stanu oszołomienia. Wyciągnęła z szuflady strzykawkę, lecz była pusta. Bez trudu mogłaby znaleźć pełną lub napełnić tę, lecz wrzuciła ją z powrotem. To się na nic nie zda.

A co by poskutkowało? Nadal zaciskała w dłoni fiolkę i nie miała zamiaru jej wypuścić. Nie była gotowa na użycie jej. Wzięła ją ze sobą do łazienki i nim weszła pod prysznic, umieściła ją starannie w apteczce. A gdy skończyła się myć i wycierać, wyjęła ją ponownie.

Zaniosła ją do sypialni, położyła na toalecie, a potem zaczęła się ubierać - dla niego. Dopełniła tego łatwo i szybko, następnie

zeszła po schodach z fiolką w dłoni. Przystanęła na chwilę, chcąc wrócić po torbę, ale pomyślała, że nie będzie jej potrzebować. Wszystko, co niezbędne, trzymała w ręce.

Gdy znalazła się na dole w salonie - jedynym pokoju, który w połowie uważała za swój - czekała na kanapie. Tymczasem wsunęła fiolkę w pończochę, mocując ją między obcisłym włóknem i udem. Następnie wygładziła spódnicę, opierając jedną rękę na małej wypukłości. Jeżeli nie może uniknąć ani odsunąć tego, co ją czeka, przynajmniej będzie przygotowana.

Niebawem usłyszała zgrzyt opon na żużlu podjazdu. Podeszła do drzwi, mając jeszcze nadzieję, że gdy je otworzy, zobaczy Reese. Ale była to limuzyna.

W tym momencie Reese dotarła już do autostrady. Ruch nadal był duży, ale przynajmniej posuwała się do przodu. Manewrowała uważnie, starając się wykorzystać wszelkie możliwości szybszej jazdy. Usiłowała skupić się na celu podróży, jedynym punkcie w tym całym żalonym bagnie, gdzie nadal mogła jeszcze coś zdziałać. Ale na dworze zrobiło się już ciemno, co zwiększyło jeszcze jej obawy, że jest na przegranej pozycji, że przybywa za późno.

Santerre czekał w swoim gabinecie. Zastanawiał się, czy znowu nie wcisnąć Ninie narkotyku, ale postanowił trochę się z nią zabawić. Jeżeli ucieknie się do narkotyku, nie będzie w tym żadnej uciechy, żadnego wyzwania. A należało mu się. Wyrzekł się już tylu rzeczy.

Bez narkotyku umysł Carver działał niezwykle jasno, oczy widziały wszystko w sposób boleśnie wyraźny. Czerwona poświata małego zegarka kwarcowego na desce rozdzielczej limuzyny rozpraszała ją i drażniła. Zamknęła oczy i położyła rękę na udzie, na fiolce, bezpiecznie spoczywającej za jej pończochą.

Limuzyna wjechała na podjazd. Carver, słysząc znajomy chrzęst żużlu pod oponami, otworzyła oczy. Gdy samochód

zatrzymał się, wysiadła. Podeszła do drzwi. Jak zwykle nie były zamknięte na klucz. Weszła do środka, lecz drzwi zostawiła nadal otwarte. Przechodząc przez marmurowy hol do gabinetu, trzymała rękę na udzie.

Weszła do słabo oświetlonego pokoju. Santerre stał przy barze. Nie odezwał się do niej, skwitował jej przybycie tylko podaniem drinka. Wzięła go i usiadła na kanapie. Stamtąd patrzyła, jak Santerre dolewał sobie do szklanki. Odwrócił się do niej plecami, więc obserwowała go od tyłu, widziała rękę trzymającą szklankę, dokładającą lód, przechylającą butelkę.

Cały czas jej dłoń spoczywała na udzie, na fiolce. Rozglądała się po pokoju, lecz spojrzeniem raz po raz powracała do San-terre'a. Jej wzrok nieodmiennie przyciąga! niewielki obszar, na którym stał. Światło było tam silne, lecz nie wiadomo, z jakiego źródła pochodziło. Rozpraszało się na jego szklance jakby znikąd, odbijając się od lodu i bursztynowego płynu. Carver potrząsnęła głową, starając się oderwać od tego szczególnego kalejdoskopu. Powiedziała sobie, że pewnie chciał specjalnie oświetlić bar, czego przedtem po prostu nie zauważała - zawsze była zbyt oszołomiona narkotykiem. Nigdy też nie zwróciła uwagi, że choć Santerre pił bez przerwy, zawsze sprawiał wrażenie trzeźwego.

Dziś pragnęłaby, żeby był trochę rozmemłany, ale nie dostrzegła śladu niedbałości. A choć nie chciała, za nic w świecie, pomyślała o Ingrid. O słowach, których użyła Ingrid, gdy opisywała noc, kiedy zamordował ich córkę: - Stracił panowanie nad sobą. To nie w pełni oddaje stan, w jakim się znajdował, ale tak do tego doszło. W pewnym sensie.

I od tej pory ciągle do tego dochodziło. Ingrid na to pozwalała. I Carver też. A teraz, gdy się ku niej obrócił, choć obserwowała go uważnie, dała się zaskoczyć, wytrącił ją z równowagi. Sunął ku niej niczym światło, oślepiające, deprymujące, rażące. Jej ręka bezwiednie poderwała się z uda, by zakryć oczy.

Znowu potrząsnęła głową, lecz nie mogła przytłumić ani zmienić tego widoku, choć on to potrafił. Gdy odsuwał się od niej, przygasał. Gdy się zbliżał, rozjaśniał się. Była to jakaś salonowa sztuczka, lecz Carver obawiała się, że to nie jest

zaden fortel. Czują, że Santerre promienieje zarem, bądź też zar płynie z niej. Im bardziej Santerre się zbliżał, tym mniej potrafiła rozróżnić między nimi.

Ujął ją za rękę. Uczuła w niej ogień płynący z jego dłoni. Drugą rękę z namysłem położyła na udzie. Wymacała ją tam -fiolkę, która da jej wsparcie, powstrzyma jego atak. Wystarczy, by trochę go ochłodzić, nim poprowadzi ją do olbrzymiego holu. Tu znowu rozjarzył się. Kandelabr, kinkiety - wszystkie te kryształowe błahostki spragnione światła w różnych kierunkach odbijały rozproszone fragmenty jego postaci. Lekki poblask płynął od jednego kawałka rznietego szkła do drugiego, ślizgał się po białym marmurze, znikał w tej czarnej gwieździe w środku, również wygłodniałej.

Ciągnął ją teraz. Ona również podskakiwała po marmurze. Między rozproszonym światłem, kryształami i marmurem. Potknęła się, upadła na kolana. Mignął jej przed oczami obraz Ingrid owej pierwszej nocy, gdy leżała skulona między rozbitym szkłem. Dłoń Carver musnęła małą bliznę na kolanie, gdy Santerre podnosił ją na nogi. Jej ręka znowu powędrowała do fiolki. Santerre ujął Carver pod ramię, zastosował ten dobrze znany, skuteczny chwyt.

Dowlókl ją do schodów, a potem na górę. Tam światła zwężyły się i nabrały wyrazistości. Carver pamiętała czerwoną lampkę w samochodzie, kiedy zakryła ręką oczy. Zastanawiała się, czy była to jakaś swoista próba wycofania się. Nie przypominała sobie, by kiedykolwiek zdołała tak długo obywać się bez narkotyku, który otepiał i przyćmiewał wszystkie jej zmysły, sprawiając, że czuła się jak odrętwiała. Może znajdowała się teraz w najwyższym stanie świadomości nagle powróciła jej ostrość reakcji. Ale wcale tak nie było, dotyczyło to tylko wzroku, może dotyku, jego ręka płonęła w jej dłoni. Jej ręka płonęła na fiolce.

Otworzył drzwi do sypialni. Było tam ciemno choć oko wykol, jaskiniowy mrok, chłodny i pusty, do którego ją zaciągnął. Nagle ze ścian zaczęło bić ciepło i światło. Puścił jej rękę. Odwróciła ją dłonią do góry, szukając śladów, ale niczego nie znalazła. Mimo wszystko potrzasała nią, nie mogła jej rozprostować i miała wrażenie, że jest przypalona. I wiedziała, tak jak wszyscy, a raczej lepiej niż wszyscy, że tego, co najbardziej boli, przeważnie nie widać.

Nie poprosił jej, by się rozebrała, a ona z pewnością mu tego nie zaproponuje. Seks z nim w tym stanie podwyższonej świadomości, w stanie jakiegokolwiek świadomości, wydawał się niemożliwością, czystą i absolutną niemożliwością. Do diabła, dlatego się szprycowała. Zawsze tylko dlatego. Tak było jeszcze przed Santerre'em. Ta potrzeba, ta konieczność, okazała się pułapką.

Ponadto tu nigdy nie chodziło o seks. A choć Carver nie od razu się do tego przyznała, nie chciała się przyznać, każdy, kto uczestniczy w tej grze, uświadamia to sobie dosyć szybko. A jeśli gra posuwa się do ostateczności? Tak jak u Santerre'a, jak u Ingrid? Staje się pokreconą prawdą w tych piekielnych światach, prawdą tych piekielnych światów? Prawda w miejscu, gdzie każdy i wszystko stoi na głowic? Prawda takich miejsc polega na tym, że liczy się tylko miłość, miłość oraz jej brak.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Reese wyjechała poza granice miasta. Teraz krążyła po autostradach świata Carver. Raz po raz przebiegała myślą swój plan, aż tworzył wokół niej rozmazane kręgi. Dostać się tam, wejść do środka, wyciągnąć Carver, tylko tyle. Co zrobić, jak wszystko przeprowadzić, wydawało jej się jasne i proste. Ale to przypomniało jej przeszłość, zataczała nie kończąca się pętlę czasową, która rozpoczynała się od Franka i kończyła na Carver, a potem biegła z powrotem.

Frank wziął ją na potężny odlot. Naprawdę osiągnęła z nim te wyżyny. A potem wróciła sama. Sama, odmieniona, i wszystko wokół niej się odmieniło. Do diabła, dopiero niedawno dowiedziała się, że tak wiele. Że zapuściła się zbyt daleko, by kiedykolwiek wrócić do domu. Ale w końcu nigdy tam naprawdę nic nie mieszkała, a urodziła się zupełnie gdzie indziej. Czego nie można powiedzieć o Carver. Carver się do tego urodziła. Stąd, o ile Carver może poznać Reese, o tyle Reese nigdy nie pozna Carver. Ale podeszła już dość blisko. Otarła się o nią na tyle, że chciała spróbować. Rozumiała dziewczynę przynajmniej w takim stopniu, że zależało jej, by Carver wyżyła.

Dziewczyna, od której to się wszystko zaczęło - zaczęło się znowu dla Reese - spoczywała przez cały czas w kostnicy i prawdopodobnie zostanie kolejnym, nie zidentyfikowanym trupem. A Lila, od której to się naprawdę zaczęło - obróciła się w popiół. Spalona w krematorium przed przeprowadzeniem sekcji zwłok. Jak straszliwie gładko i schludnie. Jakże praktycznie.

Santerre cisnął Carver na łóżko. Wylądowała twarzą do ziemi, lecz szybko przewróciła się na plecy. Santerre nadal promieniował blaskiem. Potrząsnęła głową raz, potem drugi. Lecz nadal, gdy się ku niej zbliżał, rzucał światło, choć nie było oślepiające. Jej wzrok musiał przywyknąć, bo rozróżniała już poszczególne przedmioty.

Przez koszulę widziała naszyjnik. Fiolkę, która zwisała mu z szyi, roztaczając zielonożółty blask. Płonęła jeszcze silniej niż sam Santerre. Fiolka przykuła jej wzrok. Wpatrywała się w nią tak intensywnie, że oczy zaczęły ją piec i zaszyły łzami. Szybki fuch odwrócił jej uwagę. Sprawnie, zręcznie Santerre zdjął pasek. Potrząsnął nim, raz, drugi, rozciągnął go rękami. Na owym czerwono-brązowym pasku, tej wstędze ciemności rozdzielającej światło, skupiła uwagę Carver, w nim utkwiała spojrzenie.

Odpełzła od Santerre'a. Jednocześnie słyszała, jak się z niej śmieje. Ale nie patrzyła. Nie będzie na niego patrzeć. Dobrze wie, co robi. Patrzyła jedynie na pasek, skupiła wzrok na ciemnym przedmiocie, który na razie leżał spokojnie, jednocześnie kalkulowała, jakimi ruchami będzie się ku niej posuwał, jak ona będzie się odsuwać od niego. Tym razem będzie się zachowywać dokładnie tak jak on.

Czekała na tę chwilę, ten moment, gdy będzie musiał uklęknąć na łóżku, by się do niej zbliżyć. Oparła się plecami o deskę u wezglowia, dalej nie miała już dokąd się odsunąć. A on ciągle nacierał. Niespiesznie, pewny siebie, szedł na nią. A ona, z ręką ciągle na fiolce, oczekiwała go. W chwili gdy jedno jego kolano spoczęło na łóżku, drugie zaczęło się zginać, skoczyła nań.

Carver chwyciła pasek obiema rękami i mocno trzymała.

Słyszała, że Santerre śmieje się coraz głośniej. Ciągnęli, każde w swoją stronę. Im silniej ciągnęła, tym głośniej się śmiał. Potem krótka cisza, długa, celowa pauza, i Santerre puścił.

Carver potoczyła się do przodu. Zwaliła się na łóżko, podczas gdy śmiech Santerre'a dudnił wokół niej. A potem mężczyzna odezwał się. Cicho, niemal z żalem, powiedział:

- Ach, Nino. Będzie mi brakować tych twoich małych gierek.

Omali nie wyciągnął paska z jej przerażonych palców, ale oprzytomniała, słysząc jego słowa, a zwłaszcza swoje imię, i znowu wyrwała mu pasek.

Santerre szamotał się z Carver. Podziwiał jej zawziętość, ulegał jej nawet, rozkoszując się tymi igraszkami. Okazała się silniejszą przeciwniczką, niż się spodziewał. Ale wszystko ma swoje granice. Musi skończyć pewną sprawę. Ta gra zaczęła go nużyć.

Carver ważyła wszystkie za i przeciw i czekała. Nadal ścisnęła pasek, ale i ona się bawiła. Teraz obróciła przeciw niemu jego sztuczki. Upuściła pasek, na moment odwracając uwagę Santerre'a, który lekko się zachwiał i upadł. Chwyciła swoją fiolkę, po czym sięgnęła do kieszeni jego spodni, wiedziała bowiem, że tam wcisnął swój flakonik.

Santerre czuł, że ręka dziewczyny łapie go za kieszeń. Usiłowała się w ten sposób podnieść. Zaraz ją zmiażdży. Trzymając teraz pasek mocno w dłoni, oderwał się od niej z całą siłą, raz na zawsze. Lecz jednocześnie dobiegł go trzask rozrywanego materiału. Podniósł się, spojrzał na swoje zniszczone spodnie, a potem z wściekłością uniósł rękę.

Carver wiedziała, co się teraz stanie. Ostatni raz spróbowała dostać się do jego rozerwanej kieszeni. Nie odrywała oczu od ręki Santerre'a. Nadal trzymała dłoń przy jego kieszeni. Wcisnęła do niej swoją fiolkę, usiłując wysupłać tę drugą. Lecz gdy myślała, że już jej się to udało, kieszeń zupełnie się oderwała. Z bezużytecznego kawałka materiału obie fiolki wypadły na łóżko.

Santerre znowu się wyprostował. Opanowała go taka wściekłość, jakby Carver oderwała mu kawał ciała, a nie materiału. Furia tak go zaślepiła, że nie zdoła odróżnić jednej fiolki od drugiej - przynajmniej taką nadzieję miała Carver. Tylko na

nadzieję starczyło jej czasu. Podniósł rękę wyżej - wiedziała, że zada mocniejszy cios. Nie odrywała wzroku od Santerre'a i fiołek. Podczas ostatniej szarpaniny jedna z fiołek spadła na podłogę.

Teraz jedyna fiołka, którą widziała, dyndała mu na szyi. Ostatni przebłysk światła, nim jego ręka opadła, nim wszystko pogrążyło się w ciemności.

Reese jechała bitymi drogami z bezsilną wściekłością. W pośpiechu przepuszczała zakręty. Musiała potem wracać przez ten labirynt na zadupiu. A wszystko tu tchnęło taką ciszą, takim spokojem, że czuła się jak włóczęga i intruz.

Ale wreszcie go znalazła. Wjechała na długi, wysypany żużlem podjazd Santerre'a, z poślizgiem zahamowała między limuzyną i drzwiami. Z wyciągniętą bronią wyskoczyła z samochodu. Najpierw ujrzała kierowcę limuzyny. Gdy się do niej zbliżał, jego mina wyrażała bardziej zaciekawienie niż groźbę. Ale Reese nie traciła czasu na takie rozróżnienia. Wyciągnęła ku niemu broń. Natychmiast podniósł ręce do góry. Grzecznie dał się przykuć do żelaznej balustrady, zdobiącej drzwi. Zakneblowała go też, choć jak dotąd nic wydał żadnego dźwięku.

Następną przeszkodę stanowiły drzwi, lecz dała sobie z nimi radę równie gładko jak z kierowcą. Wbiegła do holu w szalonym pośpiechu. Mało brakowało, a straciłaby równowagę na tej wytwornej posadzce. Było to dla niej ostrzeżenie. Zmusiła się, by zwolnić tempo, ocenić sytuację, nie rzucać się tak bardzo w oczy.

Rozejrzała się, wypatrując, co się tylko dało, w przyćmionym, migotliwym świetle. Kierunek nie nasuwał większych wątpliwości. Musi po prostu iść za światłami, kinkiety wskażą jej drogę. U szczytu schodów spoza lekko uchylonych drzwi dochodził dziwny poblask. Przystanęła tuż przed nimi, głęboko zaczerpnęła powietrza. Delikatnie musnęła jeden z kinkietów. Usłyszała słaby brzęk, gdy kryształy lekko się ze sobą stuknęły. Żaden inny dźwięk nie dobiegi uszu Reese. Brak było wszelkich odgłosów czy oznak życia.

Obiema rękami ściskając broń, pchnęła stopą drzwi. W środku prawie nie było światła: słabe błyski w chorobliwych

odcieniach: niebieskawozielonych, zielonkawożółtych - barwach sińców. Po chwili wzrok Reese przyzwyczał się do tego półmroku i wówczas ujrzała ją - ujrzała wyciągniętą Carver. Czerwono-brązowy pasek mocno, szczelnie wrzynał się w jej szyję. Reese zmusiła się do wolnych, celowych ruchów, zdusiła chęć, by podbiec do dziewczyny.

Z wyciągniętymi rękami, nadal mocno ściskając broń w obu dłoniach, uważnie rozglądała się na wszystkie strony. Mimo to zaskoczył ją, gdy wynurzył się z cienia. Poruszał się szybko, choć wydawało się, że stoi nieruchomo. Zorientowała się, że ma go przed sobą, dopiero gdy czystym srebrem błysnęły jego spinki. A potem usłyszała ponury głos chorego człowieka

- Ach - powiedział ze znużeniem - pani detektyw. Spodziewałem się pani nieco wcześniej. Szkoda, że pani nie zdążyła.

Tyle tylko powiedział, a ona się nie odezwała. Gdy się przybliżył, zauważyła, że poza sztywnymi mankietami ubranie ma pogniecione i w nieładzie. Podążyła wzrokiem za jego ręką sięgającą do nie istniejącej kieszeni. Miał w palcach mały kawałek materiału. Wyglądał niemal chłopięco, jak uczeń - koszula wychodziła mu ze spodni, kołnierzyk miał rozpięty, krawat rozluźniony i przekrzywiony, a jego uśmiech wyrażał raczej onieśmienie niż zadowolenie z siebie.

Reese zorientowała się, że nie idzie ku niej, lecz zmierza w stronę łóżka. Ona również ruszyła w tym kierunku. Usiłowała przysunąć się bliżej, odgrodzić go od łóżka. Ale Santerre po prostu ją zignorował. Usiadł na łóżku, odsuwając Carver.

- Panie Santerre, proszę wstać i odsunąć się od łóżka. Ale już wróciła mu dawna buta. Zachichotał tym samym śmiechem, który pamiętała tak wyraźnie z ich pierwszego spotkania.

Panie Santerre - powtórzyła, tym razem głośniejszym głosem - wstać i odsunąć się, aie już!

- Bo co? - zapytał. - Przecież mnie pani nie zastrzeli. Oboje o tym wiemy. To jej życia nie wróci - rzeki, trącając lekko Carver, co wprawilo jej ciało w nieco kołyszący ruch. - Tamtych dwóm też nie. Dobrze podaję liczbę zwłok, zgadza się, Caroline? Mogę mówić do pani: Caroline?

Ponownie sięgnął do swej nieistniejącej kieszeni, po czym posunął się - wziął fiolkę leżącą na łóżku.

Otworzył ją i wysypał zawartość na szklany blat nocnego stolika. Reese poczuła znajome, mdlące podniecenie. Mnóstwo tu tego było. 13 cząsteczek jakiegoś środka farmaceutycznego. Z drugiej, nie uszkodzonej kieszeni Santerre wyjął scyzoryk i złotą rurkę. Położył ją obok proszku. Następnie otworzył scyzoryk i zaczął układać olbrzymie porcje w zgrabne, geometryczne wzory.

Reese usiłowała oderwać od niego wzrok. Santerre, skończywszy swoje układanki, wziął rurkę i pochylił się ku najbliższej kupce, ułożonej w sposób najbardziej misterny. Lecz nagle zatrzymał się i obróciwszy ku Reese, skostatował:

- Cóż za brak wychowania! Wyciągnął ku niej rurkę.

- Najpierw panie — powiedział, a gdy odmówiła stanowczo, rzekł: — Ależ, pani detektyw. Caroline. Wydaje mi się, że dosyć to pani polubiła. Razem z tym pani partnerem. Jak też on się nazywał? Proszę nie mówić, sam sobie przypomnę. Frank. A tak, Frank, Frank Thompson. Porządny był z niego facet, jak na mój gust. Bardzo pożyteczny, póki... No, nie trzeba pani mówić, że się zbicił. A na pewno nie muszę wspominać o jego nieszczęśliwym zgonie.

I tak kolejny kawałek układanki trafił na swoje miejsce. Santerre wiedział o tym przez cały czas. Po prostu czekał, by wykorzystać te informacje, podczas gdy Reese zwracała sobie głowę kawałkami układanki, chcąc uniknąć spojrzenia na całość. Przypomniała sobie słowa Carver: „Tam u pani to wygląda inaczej?” Z trudem oderwała spojrzenie od narkotyku. Śmignęła wzrokiem ku lekko kołyszącemu się ciału Carver. Zrobiło jej się niedobrze, znowu odwróciła spojrzenie, na moment skrzyżowała oczy z Santerre'em, po czym opuściła wzrok. Po raz pierwszy zauważyła łańcuszek na jego szyi i fiolkę z zielonożółtym płynem.

Reese znowu zemdlilo, choć nie знаła zawartości fiolki. Myślami pobiegła do kostnicy. Idzie po skrzypiąco czystej podłodze, czuje ten zapach, ciągnie solidny, zabezpieczający zatrząsk. Potem wysuwa tę płytę. Tym razem w torbie znajduje się Carver.

Moja droga, wygląda pani, jakby ujrzała ducha jego głos przestraszył ją i przywołał do rzeczywistości.

Oderwała oczy od fiolki i spojrzała na podłogę. Tu, obok jego buta, zobaczyła inny flakonik.

- Cóż, jeśli nie chce pani przyłączyć się do mnie, pozwoli pani, że zacznę sam.

Ze wzrokiem wbitym w podłogę słuchała jego prychnania. Urywany dźwięk nie przestawał rozbrzmiewać, a ona wpatrywała się w stopę Santerre'a. Z jej ręki zwisała bezużyteczna broń.

Santerre najwyraźniej skończył, Parskanie ustało.

- Chyba czas, żebym zawiadomił miejscowe władze - powiedział. Trzymał już słuchawkę w ręce, gdy nagle się zreflektował: - A może wolałaby pani, żeby pani tu nie widziano? Zakładam, że dobrze się teraz nawzajem rozumiemy. Mógłbym po prostu...

Słowa zawisły w powietrzu. Reese widziała, jak Santerre pochyła się do przodu i osuwa. Upadł na podłogę, opierając się na rękach i nogach, z trudem łapiąc oddech, usiłując się poczołgać.

Reese śmignęła ku Carver. Ze stolika chwyciła nóż Santerre'a i przecięła pasek. Gdy uwolniła jej szyję i przeguby, Carver opadł bezsilnie. Reese dotknęła jej gardła. Bez wątpienia wyczuła tętno. Pospiesznie zaczęła jej robić sztuczne oddychanie, ale nie odniosło to żadnego skutku. Mimo wszystko nadal usilnie próbowała. Przerwała na moment, gdy usłyszała bełkotanie, lecz zaraz zorientowała się, że dźwięki te wydaje Santerre.

Wymierzyła Carver mocny policzek, potem drugi, znowu uderzyła ją w głowę, chwyciła za włosy. Niespodziewanie silny, szybki cios oślepił Reese. Dostała w głowę tak mocno, że odrzuciło ją od Carver. Tocząc się, usiłowała wymacać ręką broń, trzymała ją już w dłoni, by stawić czoło Santerre'owi. Ale kolejny cios zwałił ją z powrotem, za nim przyszedł następny. Gwałtowne, szalone uderzenia spadały na nią raz za razem.

Podniosła broń, wymierzając ją, zanim ujrzała cel. już miała strzelić na ślepo, gdy zobaczyła, że to Carver. Oczy miała szeroko rozwarte, lecz szalone - niewidzące i szklane.

- Przestań! - ryknęła na nią Reese. Głowa Carver podskoczyła do góry, potem, dygocząc, opadła na prawe ramię; cała się trzęsła, gdy rozpoznała Reese.

Policjantka rzuciła, spojrzenie na Santerre'a. Nadal czołgał się po podłodze, lecz coraz częściej upadał, wijąc się i trzymając za żołądek. Reese spojrzała na Carver, potem znowu na Santerre'a, i tak raz tu, raz tam, aż zakreśliło się jej w głowie.

Doszedł do niej dźwięk, początkowo słaby, lecz narastający - nieprzerwany mechaniczny świergot. Przebił się przezeń męski głos. Reese spojrzała na Carver, Carver na Reese, podczas gdy głos powtarzał automatycznie:

- Proszę się rozłączyć. Prawdopodobnie słuchawkę zdjęto z widełek. Proszę sprawdzić numer i zadzwonić jeszcze raz. Dziękuję. Jest to nagrana informacja.

Teraz obie, Carver i Reese, wpatrywały się w słuchawkę, nadal zwisającą ze stolika. Nagranie zaczęło odtwarzać się od początku, lecz przerwało je owo ohydne mechaniczne kwilenie. Do wtóru dochodziło zduszone skomlenie Santerre'a. Reese zaczęła się podnosić, ale Carver chwyciła ją za rękę.

- Przystanie - powiedziała. - Poczekajmy, to przestanie. Reese przeniosła wzrok ze słuchawki na Carver. Carver wpatrywała się teraz w Santerre'a.

- Jeżeli jeszcze poczekamy, to przestanie.

Reese wyrwała się z jej uścisku. Podniosła słuchawkę i położyła ją na widełki. Przy okazji zauważyła resztki narkotyku.

- Powinno wystarczyć, jeśli nie będziemy się spieszyć - zapewniła Carver.

Reese przesunęła palcem po blacie stolika, potem spróbowała resztki nie była to kokaina, lecz heroina. Odwróciła się do Carver.

- Ty...? zapytała, ale zaraz urwała, po czym zapadła się w fotel, obity satyną, stojący obok nocnego stolika, tuż po drugiej jego stronie. Siedziała tam i czekała. Patrzyła na Carver, która pilnowała Santerre'a. Reese starała się, jak mogła. Ze wszystkich sił starała się o niczym nie myśleć ani niczego nie odczuwać.

SOBOTA

Rozdział trzydziesty

Czuwały do rana, aż pierwsze promienie słońca wpełzły do sypialni, aż ostatni ślad oddechu opuścił ciało Santerre'a. Obejrzały go razem. Reese uklękła obok niego, obmacywała mu gardło, trzymając na nim palce tak długo, aż zyskała absolutną pewność, że nic już nie wyczuwa. Sama też nic nie czuła, fizycznie i psychicznie była jak martwa.

Gdy Reese podniosła się, Carver trąciła Santerre'a nogą, przetoczyła go na plecy. Teraz Carver uklękła obok niego, mocno chwyciła łańcuszek, fiolkę i zerwała naszyjnik. W odpowiedzi na pytające spojrzenie Reese odrzekła po prostu:

- Jest mój.

Zeszły razem. Gdy otworzyły drzwi, znalazły Tony'ego, który czekał cierpliwie, choć w niewygodnej pozycji — związany i zakneblowany. Reese rozpięła mu kajdanki, rozluźniła knebel.

- Już tu nie pracujesz. Zrozumiano? Skinął głową.

- Masz własny samochód? Następne skinięcie.

Więc wsiadaj i jedź przed siebie, a jak ci przyjdzie ochota wysiąść, jedź dalej. Rozumiemy się?

Jeszcze jedno skinięcie i już go nie było.

Reese poszła za Carver z powrotem do domu, do gabinetu

Santerre'a. Potem usłyszały pisk opon ruszającego z dużą prędkością samochodu.

- Mamy go z głowy? - zapytała Reese. Carver skinęła potakująco.

- On jest w porządku. Będzie wiedział, co zrobić.

I po raz pierwszy od długiego czasu Reese pomyślała o Ingrid. Zadźwięczały jej w uszach słowa kobiety: „Nina jest w porządku... Potrafi się sobą zająć. Chyba wyraźnie dała to do zrozumienia. Nie potrzebuje mnie”. Tyle słów Ingrid wryło się w pamięć Reese, ale zrozumiała je dopiero teraz. Carver sama się wszystkim zajęła. Nie potrzebowała Reese. Bez niej wyszłoby na to samo.

Ale właśnie wtedy odezwała się Carver:

- Dziękuję.

- Za co, do diabła? - zdziwiła się Reese.

- Gdyby pani nie przyszła w ostatniej chwili, już bym nie żyła. Gdyby pani w ogóle się nie pojawiła, umarłabym znacznie wcześniej.

Reese spojrzała na nią nic nie rozumiejącym wzrokiem.

- Nie rozumie pani? Dalej pani tego nie rozumie? Reese potrząsnęła głową.

- Kupiłam to dla siebie, nic dla niego. Trzymałam to dla siebie. Rozumie pani?

Reese zaczynała rozumieć, choć nie była pewna, czy tego chce. Zabić albo zginać. Zabij się sama albo zginiesz, Takie były możliwości. To miały do wyboru, którego dokonały wspólnie z Carver. A sprawiedliwość? Jeśli nie da się jej kupić, trzeba ją wziąć we własne ręce. Po prostu wyrwały jej mały kawałek. Pobiły Santerre'a w jego własnej grze.

- Powinnam to zgłosić - rzekła Reese. - Lepiej będzie, jeśli cię tu nie zastaną, nie znajdą śladu po tobie, jak dobrze cię znają?

- Trudno powiedzieć. Ale jeśli to nie ludzie od pani powiedzieli mu, gdzie się podziewałam, to pewnie ci tutejsi. A najprawdopodobniej jedni i drudzy. On zawsze pracował na dwie strony. Lubił mieć wszystkich w ręku.

- Dobrze. Nie chcę odwozić cię do twojego domu. Pozostaje chyba tylko mój samochód. Co wybierasz - podłogę czy bagażnik?

- Nikt nie będzie trzymał mnie w bagażniku.

- No dobrze, niech będzie na podłodze, ale nie wystawiaj głowy i czymś się zakryj. Musimy jeszcze wziąć resztki tego paska. Zostawiłaś tu coś? Gdzie masz torbę?

- W domu.

- Dobrze, więc zabierzmy pasek i skończmy z tym wreszcie.

Weszły po schodach do sypialni. Santerre leżał dokładnie w tym samym miejscu, gdzie go zostawiły. Reese zabrała resztki paska, a pomiędzy nimi znalazła nóż Santerre'a. Wytarła go do czysta, po czym podeszła do ciała i przycisnęła nóż do jego ręki. Czy dotykała jeszcze czegoś, co mogłoby mieć znaczenie? Telefon, ale to nieważne, da się wytłumaczyć. A skoro nie żyje, nikt się nie będzie wdawał w szczegółowe wyjaśnienia.

Powróciły do gabinetu. Reese użyła telefonu, który stał na blacie potężnego biurka. Bardzo dogodnie w rejestrze pamięci telefonu Santerre'a lokalna policja znajdowała się na pierwszym miejscu. Można się było tego spodziewać. Nacisnęła przycisk, następnie oparła się o ciężkie drewno. Telefon odebrał zaspany sierżant. Obmyśliła sobie, że zadzwoni dostatecznie wcześniej, by zdążyć na końcówkę nocnej zmiany.

- Zdarzył się wypadek - powiedziała. - W domu Gabriela Santerre'a. Tak. Pan Santerre nie żyje. Mówi Reese z komendy okręgowej policji nowojorskiej. Zgadza się. Tak, tak, przyślijcie wszystko, co macie.

Odłożyła słuchawkę, spojrzała na Carver i rzekła:

- Zapakujmy cię do tego samochodu.

Wyszły przed dom. Reese wrzuciła resztki paska do skrytki w desce rozdzielczej, po czym przesunęła swój wóz w mniej widoczne miejsce i ukryła Carver z tyłu, pod kocem. Rozejrzała się. Limuzyna mogła skłaniać do zadawania niepotrzebnych pytań, ale ruszanie jej byłoby jeszcze gorsze. Będzie udawała, że nic nie wie na ten temat. I miała przedziwną pewność, że nikt jej o to nie zapyta. Wobec takiego człowieka jak Santerre żywiono lojalność tylko z jednego powodu, a powód ten zniknął, jeśli i człowiek zniknął. Nie, bardziej im będzie zależało na zatuszowaniu wszystkiego - na ochronie i załatwieniu własnych interesów.

Słyszała już syreny. Niebawem na podjazd zajęła karawana: nieoznakowany samochód, trzy radiowozy i karetka. Wszystkie zatrzymały się wokół Reese.

Wyszedł do niej funkcjonariusz po cywilnemu. Reszta, w różnych mundurach, czekała w swoich rozmaitych pojazdach.

- Pani do nas dzwoniła? Pani nazywa się Reese? - spytał ten właśnie policjant, podchodząc do niej.

- Tak - odparła, gdy się zatrzymał. - A pan?

- Marks, detektyw Marks. Orientuje się pani, co tu zaszło? Mówił dość przyjaźnie, więc Reese odpowiedziała w tym samym tonie:

- Wygląda na to, że przedawkował. Wokół ciała znajdują się rozmaite przybory do brania narkotyków.

- A pani tu przyjechała...

- Prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa. Miałam parę pytań do pana Santerre'a. Chodzi o tę historię w hotelu, ale pewnie o wszystkim pan słyszał.

- Nie za bardzo.

- Aha. - Jeśli chce udawać głupiego, nie będzie mu w tym przeszkadzać, pod warunkiem, że okaże się równie uprzejmy wobec niej.

- A gdzie on jest?

- Na górze.

- Nie żyje.

- Absolutnie.

- Lepiej poślę na górę moich ludzi. - Machnął ręką i wszystkie mundury ruszyły ku drzwiom. - Chyba sam też tam pójde. Jak się pani dostała do środka?

- Drzwi były otwarte. Pewnie dobrze pilnujecie okolicy, skoro taki człowiek jak Santerre czuł się tu bezpiecznie...

- Jak to?

- No, wie pan, żeby ktoś taki jak Santerre nie zamykał drzwi na klucz. Musiał mieć do was wielkie zaufanie.

- Trudno mi powiedzieć.

I tak sobie gwarzyli - oboje zakładali przynęty i rzucali wędki. Żadna nie była ostra. Żadne z nich w gruncie rzeczy nie chciało niczego złapać.

- Chce pan, żebym tu została? - spytała Reese.

- Nie, przejmujemy sprawę od pani. Pani jest ze śródmieścia, prawda?

- Taak - potwierdziła, uważając, że on o tym wie, ze względu na prowadzone przez Reese śledztwo. To, o którym rzekomo nie miał pojęcia.

- Znajdę panią w razie czego - dodał.

Marks podążył ku domowi, a ona do samochodu. To poszło gładko. Miała nadzieję, że nie nazbyt gładko. Chociaż nada! żywiła przekonanie, że jej pierwsze przeczucie - by im zaufać - było trafne. Nie zaczęła teraz obmyślać alternatywnej taktyki. Nie, miejscowi chcą tylko, żeby się stąd zabrała, a oni sami wszystko tu uładzą. Pozałatwiają swoje interesy. Dała im dość wskazówek. Woleliby, aby trzymała się od tego jak najdalej.

Przypuszczała, że na jej posterunku sprawy przybiorą mniej więcej ten sam obrót. Harris nie będzie się bał o własną skórę, więc również i jej odpuści. Da to wolną rękę Carver, Rozwiąże wiele problemów na górze i na dole, prywatnych ludzi i oficjalnych organów. Póki do władzy nie dojdzie następny Santerre. Król umarł. Niech żyje król! Nic nowego.

Rzuciła ostatnie spojrzenie na dom, po czym wsiadła do samochodu.

Zostań tam i nie odzywaj się, póki ci nie powiem - przykazała. A potem odjechała. Po prostu odjechała.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Reese nie odzywała się, dopóki nie opuściły labiryntu bitych dróg i wiejskich tras. Ujechały już spory kawał autostradą na południe, gdy przerwała milczenie:

- No dobra - powiedziała.

Carver odrzuciła koc. Wspięła się na górę fotela, zupełnie jak dziecko, i usiadła na przednim siedzeniu. Reese zerknęła na nią. Była wstrząśnięta, wykończona i wyglądała trochę dziecinnie. Jakby szukała czegoś, spodziewała się czegoś od Reese. Nie wiedząc, co innego może zaoferować, policjantka wyciągnęła rękę.

Carver ujęła ją, po czym zapytała cicho:

- Myśli pani, że już jest po wszystkim? Naprawdę po wszystkim?

- Tak.

Co się z nią stanie? Z Ingrid?

- Nie mam pojęcia. Zabiła tę dziewczynę. Sama się przyznała.

- Wiem.

- Wiesz?

- Powiedział mi.

- Kiedy?

- Zeszłej nocy. Nie, to nie było zeszłej nocy. Jeszcze poprzedniej.

- Co ci powiedział?

Że ta dziewczyna utonęła. To znaczy, że ona ją utopiła. Ingrid. Że na pewno się przyznała. To znaczy pani ma pewność. Że pani wyręczy go i zajmie się jego żoną. A on zajmie się mną. I zająłby się zeszłej nocy, gdyby nie ten telefon.

- W samą porę - powiedziała bezbarwnym głosem Reese. Chciała, by Carver nie poruszała w tej chwili tego tematu. Dziewczyna ustąpiła, pozostawiając Reese sam na sam ze swymi myślami, z tym dodatkowym bagażem. Dostał raport wcześniej, lecz to jej nie zdziwiło. Niewiele mogło ją zadziwić, zwłaszcza gdy chodziło o Santerre'a.

A Ingrid? Cóż, niech ją wciągnie machina sprawiedliwości. Niech ją zmiażdży. Niech ją zabiorą gdzieś na zawsze, Reese obchodzi to tyle co zeszłoroczny śnieg. Ciekawa była, czy kobieta wie już o mężu. Z rozkoszą przekaże jej tę wiadomość. Ale jeśli nie wie, to jest jedyną nie poinformowaną osobą w śródmieściu.

Reese ponownie zerknęła na Carver. Zastanawiała się, czy słusznie zabiera ją ze sobą. Ale doszła do wniosku, że to nie ma znaczenia. Uznała, że lepiej nie odwozić dziewczyny do tego jej domu. Miejscowi mogliby ją dorwać. Reese nie miała pewności, jaką grę podejmie ten dobrany zespół. Jakie miejsce przypada Carver w planie zatuszowania wszystkiego, co się tam działo. Carver zna odpowiedzi na te pytania znacznie lepiej niż Reese. Uczestniczy w tej grze od lat. Udowodniła to Reese. Wykazała, jaki ma zmysł praktyczny i jaka z niej twardzielka - prawdziwy gracz.

A może Reese teraz również stała się graczem. Skoro tak mocno przykręcili jej śrubę, czy miała jakieś inne wyjście? Ale jeśli nawet, to nie o takiego gracza chodziło Harrisowi. Szło mu o kogoś w takim typie, jakiego oczekiwał Santerre, skrojonego na zamówienie, by wypełniał jego polecenia. Do diabła, nie grała nawet w tę samą grę. A może jednak? Z innej strony, z innego punktu widzenia - ale czy tak naprawdę to coś zmienia? Czy ona osobiście coś zmieniła?

Carver powiedziała, że tak. Ale Carver nie wiedziała o tych chwilach, gdy Reese stała jak zauroczona - zahipnotyzowana przez Santerre'a, niezdolna wyzwolić się spod jego wpływu. Carver uwolniła ją, zanim ona uwolniła Carver.

Rzuciła jeszcze jedno spojrzenie na dziewczynę.

- Chcesz się z nią zobaczyć jeszcze raz? To znaczy z Ingrid? Czujesz taką potrzebę? - zapytała teraz Reese.

- Myśli pani, że ona wie?

- Nie jestem pewna. A jak pani myśli?

Zostawili ją mnie. Ale to jeszcze nie znaczy, że nic wie. Tam wieści szybko się roznoszą, zwłaszcza po celach.

- Chcę tam być. Chcę zobaczyć jej twarz.

- W porządku, nie ma sprawy.

Dojechały do granic miasta, a potem do samego miasta. Reese przejechała autostradą West Side, potem przecięła ulicę Czterdziestą Drugą. Gdy zbliżały się do posterunku, powiedziała:

- Weź sobie ten pasek ze skrytki.

Carver otworzyła ją, wyjęła skórzane kawałki. Biło od nich gorąco, ale też przez całą drogę ogrzewanie nastawione było na cały regulator. Wiedziała, że dlatego są tak rozgrzane, z żadnego innego powodu.

- Jeśli je chcesz, są twoje - rzekła Reese. Nie, dostałam, co do mnie należy.

- Mogę wiedzieć, co to takiego?

- Kawałek mojego ciała, który przechowywał. Ale te należą do pani.

Carver podała jej skórzane skrawki, a Reese wsunęła je do

kieszeni płaszcz. Potem skręciła na posterunek, a gdy już się tam znalazła — do garażu. I znowu Reese wprowadziła Carver od tyłu.

Gdy tylko weszły, doszedł do nich gwar, wyraźnie słyszalny, wyczuwalny, narastający z każdym piętrem. A każda osoba, którą mijaly, milkła i zaczynała się gapić. Reese odpłacała się wściekłym spojrzeniem. Bez dwóch zdań, wieści przenosiły się szybko.

Reese trochę się opanowała przed wejściem do pokoju operacyjnego. A gdy weszły do środka, musiały stawić czoło kolejnym milczącym spojrzeniom. Reese opanował szyderczy nastrój. Nikt nie poruszy tej sprawy, ani jedna osoba w tym pokoju. Wszyscy czekali na Harrisa.

Nie musieli długo czekać. Otworzył drzwi.

- Reese, do mnie powiedział.

Poszła miarowym krokiem, nadal prowadząc za sobą Carver. Nie spieszyła się. Przeszła przez pokój, dając wszystkim okazję, by pogapili się i pogłótkowali. Ton Harrisa był tak neutralny, że nic z niego nie mogli wywnioskować.

W gabinecie Harrisa Reese przejęła dowodzenie.

- Czy pani Santerre została poinformowana? - zapytała, nim Harris zdążył się odezwać.

- Nie, pani detektyw, zostawiliśmy ją... Chcę, żeby ją przyprowadzono na górę.

- Najpierw chce pani powiedzieć mi o ostatnich wydarzeniach, pani detektyw. Prywatnie.

- Do tej pory chyba o wszystkim zdążył się pan dowiedzieć, panie poruczniku.

- A może tak czy tak porozmawiamy prywatnie, bez pani znajomej. Chyba nie byliśmy sobie nawet przedstawieni.

- Muszę poinformować panią Santerre. Ta młoda kobieta jest przyjaciółką rodziny.

- Rozumiem - rzekł Harris, sięgając po telefon. Nim nacisnął parę klawiszy, rzucił Reese długie, badawcze spojrzenie, po czym odezwał się monotonnym głosem:

- Proszę przyprowadzić panią Santerre do pokoju przesłuchań numer trzy... - Chcę do dwójki - przerwała Reese.

- Proszę zaczekać - rzekł Harris, blokując połączenie.

I znowu, zanim Harris zdążył cokolwiek powiedzieć, odezwała się Reese:

To prywatna sprawa. Nie mamy potrzeby ani prawa przysłuchiwać się tej rozmowie.

- Zapomniała pani, że ta kobieta przyznała się do morderstwa?

- To nie ma nic do rzeczy i pan dobrze o tym wie. Harris znowu włączył rozmówcę.

Do dwójki - poprawił się i rozłączył, nie czekając na odpowiedź.

Reese wygrała kolejne starcie. Najwyraźniej Harris nie otrzymał instrukcji, jak zakończyć tę sprawę, a sam wołał nie decydować.

- No dobrze, ma pani, co chciała. Proszę powiedzieć żonie, ale potem opowie pani mnie.

- Jak pan sobie życzy, poruczniku.

Szum w pokoju operacyjnym nagle się wzmógł. Przeszedł wręcz w zgiełk, sygnalizując przybycie pani Santerre. Reese odebrała sygnał i zabrała Carver. Trzy kobiety wkrótce znalazły się za zamkniętymi drzwiami - same, w ciszy. Ciszę natychmiast zakłóciła Ingrid.

- Co się stało? zapytała głosem zarazem ostrym i drżącym. - Co się stało z moim mężem?

Reese mówiła powoli, niemal cedziła odpowiedź:

- Pani mąż nie żyje, pani Santerre. Jak to się stało?

- Wypadek - odparła Reese przeciągle, niewyraźnie, z ociąganiem.

Słowo zawisło w powietrzu.

- Jaki wypadek?

Najwyraźniej przedawkował narkotyki. - Reese mówiła teraz krótko i zwięźle. - Heroinę.

- Ależ mój mąż nic bierze heroiny! - Ingrid spojrzała teraz na Carver.

- Ty... Ty tam byłaś.

Carver po prostu skinęła głową.

- Mój Boże! - westchnęła Ingrid. Przenosiła wzrok od Carver do Reese i z powrotem.

Pukanie do drzwi przerwało tę błogą scenę. Gdy Reese otworzyła, ujrzała Millera. Ale nawet przed nim miała się na bacności.

- Tak? - spytała rzeczowo.

- Dzwoni Eleanor. Co mam jej powiedzieć?

Reese obejrzała się na obie kobiety. Doszła do wniosku, że Carver i Ingrid powinny spędzić chwilę na osobności - Carver zasłużyła na to.

- Porozmawiam z nią zdecydowała Reese. - Ale ty się stąd nie ruszaj. Nikt nie może tu wejść ani stąd wyjść.

Za drzwiami, których strzegł teraz Miller, Ingrid i Carver nadal wpatrywały się w siebie.

- Mój Boże! - powtórzyła Ingrid. - Myślałaś, że tego właśnie chciałam? Zrobiłaś to dla mnie?

- Och, daj mi spokój. Ale ty tego nie potrafisz, co? W każdym razie nie mnie. Żadnej z nas by tu nie było, gdybyś mogła zostawić mnie w spokoju. Czy przez sekundę dasz radę myśleć o kimś innym prócz siebie?

- Nino, kochanie, proszę...

- To nie jest moje imię i nic z tego nic będzie. Nie masz żadnego usprawiedliwienia. Nie masz mi nic do powiedzenia. Ani teraz, ani nigdy. Rozumiemy się? Czy wreszcie się rozumiemy?

Pod wpływem słów Carver Ingrid ograniczyła się do niemego kiwania głową. Siedziała spokojnie - spokojnie i w milczeniu.

Weszła Reese i spojrzała na Carver.

- Skończyłaś sprawę? - zapytała.

- O tak, absolutnie.

Wyszły. Zostawiły Ingrid, by broniła się sama. Opuściły posterunek. Reese nie przejmowała się - niech sobie myślą, co chcą. Harris może poczekać. I będzie czekał. A jeśli nie ma pojęcia, jak to się wszystko skończy, ona wie. I wie, że wyszła z tego bez szwanku. Pokazała im się od tej strony, od której woleliby jej nie oglądać, ale której nie mogą lekceważyć. Udowodniła im, że potrafi prowadzić grę. Niezależnie od tego, jak bardzo oszukiwali, wyszło na to samo. Ona nadal trzyma wszystkie karty.

Rozdział trzydziesty drugi

Na chodniku Reese zapytała Carver:

- Napijesz się kawy albo w ogóle czegoś ciepłego?

Od paru godzin dziewczyną co jakiś czas wstrząsały dreszcze.

- Muszę wypić drinka. To mnie trochę przyhamuje. Reese prawie zapomniała.

- Dawno jesteś na głodzie?

Dzień, może dwa. Trochę alkoholu i wizyta w banku powinny postawić mnie na nogi. Chcę wziąć pieniądze i zabieram się stąd.

Kupiły pół litra wódki, po czym Reese zatrzymała taksówkę. Carver podała adres: Madison Avenue, w okolicach ulic Sześćdziesiątych. Przekazywały sobie wzajemnie butelkę, póki taksówka nie zatrzymała się przed jednym z prywatnych banków na Upper East Side, mieszczącym się, a jakże, w rezydencji. Reese zaczęła wysiadać, ale Carver powstrzymała ją.

- Ja tu wysiadam.

- Ale co zrobisz? Dokąd pójdziesz?

Najpierw tu. Potem, dokąd mi się żywnie spodoba. Skończyłam swoją robotę. Pani swoją chyba też?

- Mniej więcej odparła Reese.

Carver zaczęła wysiadać, już prawie była na zewnątrz, gdy odwróciła się po raz ostatni. Pospiesznie uściskała Reese i złożyła na jej policzku coś na kształt pocałunku. Potem zostawiła policjantkę, która patrzyła, jak znika, chowa się za drzwiami domu wyłożonego piaskowcem.

- Licznik bije, proszę pani. Chce pani jeszcze czekać? Reese podała kierowcy adres Eleanor.

Gdy taksówka wioząca Reese jechała do dzielnicy podmiejskiej, Carver zaprowadzono do jej skrytki depozytowej. Wyjęła z niej pliki banknotów, paszport oraz książeczkę bankową - szwajcarską. Rzeczy te wpakowała do ciężkiej brezentowej torby, którą dostarczył bank.

Do pustej już teraz skrytki wrzuciła fiolkę i łańcuszek. Z rozkoszą słuchała dźwięku spadających przedmiotów, echo szkła

i łańcuszka uderzającego o metal sprawiło jej prawdziwą satysfakcję. Potem zamknęła skrytkę, uniosła ją i wsunęła z powrotem w ścianę.

Gdy znowu znalazła się na Madison, weszła do najbliższego z licznych tu sklepów i kupiła torbę. Wrzuciła do niej tę brezentową z banku. Niebawem Carver jechała taksówką na dworzec międzynarodowy lotniska imienia Kennedy'ego.

Taksówka wioząca Reese zatrzymała się przed domem Ble-anor. To już końcówka. Ostatni fragment, który miał znaczenie. Rozmowa z Eleanor była bardzo rzeczowa. Reese umówiła się z nią tylko na spotkanie. Lekkim krokiem przeszła obok odźwiernego do windy. I, choć przybyła wcześniej, wiedziała, że Eleanor będzie jej oczekiwać.

Winda zatrzymała się przy znajomym holu. Reese kilkakrotnie zapukała ostro do jedynych drzwi. Usłyszała kroki, po czym drzwi się otworzyły. Przyjaciółka, na wpół za nimi skryta, miała minę ostrożną, a może zmartwioną.

Czy to prawda? - spytała Eleanor, wpuszczając Reese do środka.

- Co?

Że Santerre nie żyje? Że ty tam byłaś? Czy to wszystko prawda?

- Tak.

- Ale jest w tym coś więcej, zgadza się?

- Tak.

Więc opowiedz mi.

- Ty pierwsza.

- Co takiego?

- Najpierw ty mi coś opowiedz, o Franku. Co wtedy wiedziałaś. Co robiłaś. Co, twoim zdaniem, ja robiłam. Wtedy zobaczymy, co ci powiem.

- Caroline...

- Nie, tak zrobimy, i to zaraz.

- Co się stało? Czyżby Harris...?

Owszem. Nie owijał niczego w bawełnę. Powiedział mi mniej więcej wszystko, z wyjątkiem twojej roli. W którym momencie ty weszłaś. Powiesz mi? Czy mam zgadywać?

- Przecież odeszłam.
- Wiem. Teraz powiedz, z jakiego powodu, i nie kręć.
- Odeszłam, kiedy nie mogłam już tego znieść. Za dużo mnie to kosztowało. I nie mogłam znieść tego, co wyprawiali z tobą...
- A co?
- Słuchaj, nadal nie wiem, czy cię wystawili. Czy dali ci do pary Franka w oczekiwaniu na konkretny rezultat.
- Konkretny rezultat. Tak to się dzisiaj nazywa?
- Caroline, wiedziałam o ich zagrywkach dokładnie tyle, ile ty.
- Ale ty dowiedziałaś się szybciej.
- Bo nie chciałaś przejrzeć na oC2y. Próbowалам ci o tym powiedzieć ze sto razy na różne sposoby, ale nie chciałaś mnie słuchać. Dochodziło do ciebie, co ci mówiłam? Nie, po prostu waliłaś do przodu, ślepa i głucha na to, co się stało. Na to, co się wokół ciebie działo. Choć byłaś pionkiem w ich grze. Caroline, wyniosłam się stamtąd, bo nic dałaś mi wyboru. Ile razy musiałam słuchać, jak się zadręczasz! Zabiłaś człowieka, którego chcieli widzieć trupem, i sownie ci za to zapłacili. I od tamtej pory płacisz za ich względy. W głębi duszy. W sposób, o którym oni nie mają pojęcia, bo oni tak nie działają. A ty nadal pracujesz tak samo? Jak teraz pracujesz? Jak masz zamiar to rozwiązać, skoro w końcu ujrzałaś całą prawdę? Co? Dobrze byłoby, gdybyś mi jednak powiedziała.

Może w ogóle tego nie rozwiążę. Może czas, żebym też odeszła.

- Przecież wiesz, że nie odejdziesz. Gdybyś w ogóle miała to zrobić, już by cię tam nie było. Rozwiążesz to na swój sposób. I pójdzie ci lepiej, skoro już wiesz, co jest grane. Już ci lepiej idzie, co?

- Co takiego?

- Z Santerre'em poradziłaś sobie zupełnie nieźle. Nikt nie będzie po nim płakał. Nawet ty.

Reese wysłuchiwała tego. Wysłuchiwała uważnie od początku do końca. I wzięła to sobie do serca. A zastanawiając się nad słowami przyjaciółki, wsunęła rękę głęboko do kieszeni. Wymacała tam kawałki skóry. Ważyła je w dłoni niczym na szali, na drugiej złożyła ciężar argumentów Eleanor, po czym zaczęła wyrównywać szale.